

# PRZEGŁĄD

powszechny



12 (1096)

grudzień 2012

Ankieta na pożegnanie



Wywiady z Teresą Żylis-Garą  
i Andrzejem Sewerynem



# DEON.PL



ŚWIAT I KOŚCIÓŁ Z LEPSZEJ STRONY

[www.deon.pl](http://www.deon.pl)

# PRZEGŁĄD powszechny



miesięcznik  
poświęcony sprawom religijnym,  
kulturalnym i społecznym  
założony w roku 1884

12 • (1096) • 2012

J E Z U I C I – W A R S Z A W A

## WYDAWCA

Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

Wydawnictwo RHETOS

Pismo stowarzyszone w Konsorcjum Prasowym WAM

## RADA REDAKCJI

Magdalena Bajer, Tessa Capponi-Borawska, Grzegorz Dobroczyński SJ, Robert Firmhofer, Andrzej Godlewski, Michał Jagiełło, Dorota Kielak, Jan Kieniewicz, Krzysztof Michalski, Jerzy Olędzki, Mieczysław Orski, Krzysztof Renik, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Adriana Szymańska, Joanna Świącicka, Edmund Wnuk Lipiński

### ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Sebastian Duda

Jakub Halcewicz-Pleskaczewski

Tomasz Jędrzejewski

Krzysztof Ołdakowski SJ (redaktor naczelny)

Przemysław Panicz SJ

Marta Szymczyk

### PROJEKT GRAFICZNY

Robert Maciej

### PROJEKT LOGO

Teresa Wierusz

### OPRACOWANIE TECHNICZNE,

SKŁAD I ŁAMANIE

Bożena Goślicka

### ADMINISTRACJA

Katarzyna Włodarczyk

### „PRZEGLĄD POWSZECHNY”

#### Redakcja:

ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa

tel. (22) 54-28-726

e-mail: [redakcja@przegladpowszechny.pl](mailto:redakcja@przegladpowszechny.pl)

#### Wydawca i administracja:

Wydawnictwo RHETOS

tel./fax (22) 849 02 71

[www.rhetos.pl](http://www.rhetos.pl)

e-mail: [wydawnictwo@rhetos.pl](mailto:wydawnictwo@rhetos.pl)

#### Konto redakcji:

Bank BPH O/Warszawa, nr konta:

35 1060 0076 0000 3200 0102 7014

**ISSN 0209-1127**

Druk: ARWIL s.c., ul. Czereśniowa 16, 02-456 Warszawa, tel. (22) 722-03-17

Numer zamknięto 25 XI 2012 r.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych i zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie odsyłamy.

Maksymalny planowany nakład – 2000 egz.

[www.przegladpowszechny.pl](http://www.przegladpowszechny.pl)

# SPIS t r e ś c i

|                                                                                                                                                                                                                   |    |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| <b>Krzysztof Ołdakowski SJ</b><br><b>Pomysł tylko – „Przegląd Powszechny”</b>                                                                                                                                     | 7  |
| <hr/> <b>Magdalena Bajer, Halina Bortnowska, Dorota Kielak,<br/>Jan Kieniewicz, Jerzy Olędzki, Mieczysław Orski,<br/>Barbara Sułek-Kowalska</b><br><b>Pożegnanie papierowego „PP”</b><br><b>Ankieta</b>           | 15 |
| <p>Z końcem 2012 roku „Przegląd Powszechny” przestaje ukazywać się w wersji drukowanej. Odtąd będzie funkcjonował na portalu Deon.pl. Do udziału w ankiecie na temat roli „PP” zaprosiliśmy przyjaciół pisma.</p> |    |
| <hr/> <b>Dk. Bogdan Sadowski</b><br><b>Bóg powiedział raz, dwa razy usłyszałem (Ps 62,12)</b>                                                                                                                     | 25 |
| <hr/> <b>Maria Ciostek</b><br><b>O miłości romantycznej – między „Walerią”<br/>a „Dziadami”</b>                                                                                                                   | 31 |
| <p>Mimo że powieść Julianne de Krüdener „Waleria” przywołano w „Dziadach”, nikt przez tyle lat nie zainteresował się związkami tej powieści z jednym z najważniejszych dramatów literatury polskiej.</p>          |    |
| <hr/> <b>Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało</b><br><b>Z Andrzejem Sewerynem rozmawia Klaudia Iwanicka</b>                                                                                                       | 51 |
| <p>Dziękuję Panu Bogu, że mnie wrzucił do aresztu śledczego. Jestem szczęśliwy. W takim miejscu człowiek spotyka się ze swoją słabością.</p>                                                                      |    |
| <hr/> <b>Jerzy Klechta</b><br><b>Zamordowanie prezydenta</b>                                                                                                                                                      | 59 |
| <p>Dziewięćdziesiąt lat temu zamordowano pierwszego polskiego prezydenta Gabriela Narutowicza. Jedni wynosili pod niebiosa</p>                                                                                    |    |

zamachowca, drudzy opłakiwali prezydenta i próbowali chronić demokrację. Ten podział stał się narodowym przekleństwem.

---

75

## **Śpiewak uczy się przez całe życie**

**Z Teresą Żylis-Garą rozmawia  
Agnieszka Lewandowska-Kąkol**

Teatr operowy przeżywa różne okresy, więc i ten przeminie – nie tak dawno prym wiodli dyrygenci, obecnie wiodą prym reżyserzy. Trzeba to przeczekać. Szkoda, że śpiewaków rzadko traktuje się pierwszoplanowo.

---

89

## **Stan niemożności**

**Z Marcinem Bornusem-Szczypińskim  
rozmawia Marcin J. Witan**

O śpiewaniu chorału gregoriańskiego na razie nie ma mowy, opór wiernych przyzwyczajonych do piosenek religijnych jest zbyt duży. Niestety nie umiemy należycie korzystać z naszego dziedzictwa. Nie zrażam się jednak.

---

101

## **Proste pomysły**

**Z Janem Gondowiczem rozmawia Sławomir Kwiecień**

Czytam od czwartego roku życia. W domu była niesamowita mieszanka książek w paru językach, wielkie encyklopedie Brockhousa, Meyera, Gutenberga i sowiecka, komplet Brehma, całe półki o wojnach dawnych i tej ostatniej.

---

110

**Agnieszka Lewandowska-Kąkol**

## **Pianista**

**Reportaż**

---

121

## **Seks bezpieczny**

**Zapis debaty z cyklu „Rozmowy na zaproszenie”, w której  
udział wzięli Andrzej Komorowski, Jerzy Grzybowski,  
Magdalena Lipniacka, Małgorzata Mąsiorska,  
Mira Jankowska. Prowadziła Ewa Kiedio.**

Czy katolik ma prawo po prostu cieszyć się seksem, czy też sfera symbolicznych znaczeń musi stale być w jego głowie? Czy w relacji małżonków może zaistnieć seks niebezpieczny?

---

**Wojciech Chmielewski**  
**Popielec**  
**Opowiadanie**

---

131

TEATR

**Paulina Borek-Ofiara: Historia, której na imię codzienność**

134

(Teatr Powszechny im. Z. Hübnera w Warszawie, Artur Pałyga, „Nieskończona historia”; reżyseria – Piotr Cieplak)

FILM

**Sławomir Kwiecień: Uczta na DVD**

136

(„Rękopis znaleziony w Saragossie”, „Sanatorium pod Klepsydrą”, reżyseria – Wojciech Jerzy Has; „Ze snu sen”, reżyseria – Adam Kuczyński; „Ślady”, reżyseria – Robert Gliński)

TELEWIZJA

**Jan Kłossowicz: Jubileusz**

139

(„I wystarczy...”)

WYSTAWA

**Sławomir Kwiecień: Uchwycić piękno Schulzowskich wizji**

142

(„Bruno Schulz: Rzeczywistość przesunięta”, Muzeum Literatury w Warszawie)

KSIĄŻKI

**Adriana Szymańska: Poezja bólu i ocalenia**

145

(Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, „Imię i znamię”)

**Mieczysław Orski: Sztuka życia, życie sztuką**

148

(Stanisław Różewicz, „Było, minęło...”)

**Anna Maziuk: Amatorka rupieci i słowa**

151

(Anna Bikont, Joanna Szczęsna, „Pamiątkowe rupiecie. Biografia Wisławy Szymborskiej”)

- 151     **Jacek Uglik: Kolekcjoner rzeczy nietrwałych**  
(Walter Benjamin, „Dziennik moskiewski”)
- 155     **Sławomir Kwiecień: Wizjoner Ford**  
(Greg Grandin, „Fordlandia. Henry Ford i jego miasto-państwo w amazońskiej dżungli”)
- 158     **Marcin Cielecki: Pod poranną szubieniczką**  
(Sławomir Mrożek, „Dziennik, tom 2: 1970–1979”)
- 160     **Małgorzata Felicka: Niekonwencjonalnie o wierze**  
(Sławomir Zatwardnicki, „Katolicki Pomocnik Towarzyski. Jak pojedynkować się z ateistą”)
- 162     **Justyna Krocak: Kobiety i filozofia**  
(Lilianna Kiejzik, „Kobiety w filozofii. Filozofowie o kobietach. Eseje subiektywne”)
- 164     **Dariusz Gardocki SJ: Niezwykły człowiek, niezwykły naukowiec**  
(Dorota Kielak, Józef Kulisz SJ /red./, „Pamięć i wdzięczność ks. prof. Ryszardowi Rumiankowi. Wiara i kultura sercem teologii”)





# Pomyśl tylko – „Przegląd Powszechny”

**T**wórcy pisma, poprzez nadanie przed laty tytułu „Przegląd Powszechny”, wskazywali na różnorodność tematów, które chcieli poruszać. Zwracali również uwagę na wielość spojrzeń na najważniejsze problemy współczesnego świata. „Przegląd...” chciał słyszeć, co myślą różni ludzie, a nie tylko odwzorowywać podglądy tych, którzy tworzyli zespół redakcyjny. Słowo „Powszechny” zwraca uwagę na połączenie wymiaru pionowego z poziomym, ziemskim. Chodziło o przenikanie rzeczywistości duchem chrześcijańskim oraz ogarnięcie refleksją całości życia człowieka. „Powszechny” dlatego, że pismo jest poświęcone tematyce religijnej, społecznej i kulturalnej. Wszelkie ograniczenie się do jednej sfery życia byłoby sprzeniewierzeniem się misji zawartej w nazwie miesięcznika.

## **Trudne początki oraz założenia ideowe miesięcznika**

„Przegląd Powszechny” zrodził się w trudnym czasie przemian społeczno-kulturowych XIX wieku. Był odpowiedzią Kościoła i Towarzystwa Jezusowego na szok spowodowany wybuchem Wielkiej Rewolucji Francuskiej, a następnie Wiosną Ludów, socjalizmem, koncepcjami Darwina, nowymi prądami w bibliistyce oraz ideami i praktyką modernizmu w kulturze<sup>1</sup>. Poprzednikiem „Przeglądu Powszechnego” był „Przegląd Lwowski”, który ukazywał się w latach 1871–1883 pod redakcją księdza Edwarda Podolskiego. Dwutygo-

---

<sup>1</sup> M. Jagiełło, *Zrozumieć swój wiek*, „Przegląd Powszechny” 2009, nr 1, s. 13-14.

dnik ten borykał się z wieloma trudnościami materialnymi i tracił społeczne poparcie, dlatego też jego twórca kilkakrotnie zwracał się do jezuitów z prośbą, aby przejęli redakcję. W listopadzie 1883 roku ówczesny prowincjał ojciec Henryk Jackowski SJ ustalił z księdzem Podolskim, że jezuici przejmą periodyk i będą go wydawać jako miesięcznik pod nazwą „Przegląd Powszechny”. Pierwszym redaktorem naczelnym został znany i ceniony filozof ojciec Marian Morawski SJ. Pismo pojawiło się w Krakowie w styczniu 1884 roku. W artykule wprowadzającym „Cel i zadanie «Przeglądu Powszechnego»” Marian Morawski sformułował dwie podstawowe zasady: aktualność i zasadniczość. Chodziło po pierwsze o podejmowanie tematów najbardziej aktualnych ze względu na ich wpływ na życie kulturalne, religijne i społeczne, a z drugiej strony sytuowanie ich w perspektywie niezmiennych zasad wiary katolickiej. Zamyśłem ojca Morawskiego było stworzenie pisma, które pomoże Kościołowi wyjść z oblężonej twierdzy i umożliwi przejście do pracy na terenie dotychczas opanowanym wyłącznie przez przeciwnika. Chodziło także o zerwanie ze stereotypem, że wszystko, co katolickie, jest zacofane, a katolicyzm jest wrogiem wszelkiego rozwoju. W zamyśle swojego twórcy miesięcznik jezuicki miał trzeźwo oceniać rzeczywistość oraz właściwie reagować na zmiany zachodzące w społeczności katolickiej. Rozgraniczanie tego, co nienaruszalne, od tego, co powinno podlegać zmianom, stało się naczelną zasadą pisma; dotyczyło to wszystkich zagadnień poruszanych w „Przeglądzie...” od początku jego istnienia, nie tylko tematów religijnych. Twórcy miesięcznika chcieli udowodnić, że nie ma sprzeczności pomiędzy religią i nauką, wiarą i rozumem, katolicyzmem i wolnością jednostki. Dewizą miesięcznika był werset z Psalmu 143: *Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego*, co odczytywano jako wyznanie, że najwyższym dobrem jest Bóg, ostatecznymi normami postępowania – prawo Boże, a celem – szerzenie Królestwa Bożego we wszystkich przejawach życia<sup>2</sup>. Miesięcznik, wyważony w treści i unikający wszelkich skrajności, był w pierwszych latach

---

<sup>2</sup> Tenże, *Trwałość i zmiana. Szkice o „Przeglądzie Powszechnym” – 1884–1918*, Warszawa 1993, s. 215.

istnienia dobrym polem obserwacyjnym dla zmian zachodzących w świadomości katolickich elit, które miały ambicje intelektualnego rozwijania swojej wiary przy równoczesnym zachowaniu niezmienności jej podstawowych prawd. „Przegląd Powszechny” wychodził nieprzerwanie do 1914 roku. Pierwsza wojna światowa uniemożliwiła regularne wydawanie miesięcznika, dlatego w 1915 roku nie wyszedł żaden numer, zaś w latach następnych „Przegląd Powszechny” ukazywał się niesystematycznie. Pierwsze powojenne spotkanie redakcji odbyło się 20 września 1918 roku. Po wojnie pismo musiało odnaleźć się w nowej rzeczywistości, a także poradzić sobie z problemami finansowymi, związanymi także z szybkim wzrostem kosztów druku i brakiem odpowiedniego papieru. W okresie międzywojennym „Przegląd Powszechny” nadal stawiał sobie za zadanie obronę wiary i Kościoła przed atakami oraz błędami, a także prezentację prawdziwego oblicza katolicyzmu. Pismo w reakcji na różne polityczne i gospodarcze wydarzenia podejmowało refleksję nad ustrojem państwowym, demokracją i problemami społecznymi. Wybuch drugiej wojny światowej zmusił jezuitów do zawieszenia wydawania „Przeglądu Powszechnego”. Ostatni numer wyszedł na lipiec–sierpień 1939 roku. 3 sierpnia 1944 roku nazistowscy żołnierze doszczętnie spalili archiwa warszawskie redakcji. Po zakończeniu wojny pierwszy numer ukazał się w grudniu 1947 roku. Czasy stalinowskie oznaczały nieustanny nadzór cenzury i presję ideologiczną wywieraną na redaktorach i współpracownikach. Gwoździem do trumny była odmowa publikacji nekrologu Stalina w 1953 roku. O trudnościach z regularnym wydawaniem świadczy chociażby fakt, że ostatni numer „Przeglądu...” datowano „styczeń–czerwiec 1953”. W tym właśnie roku przerwano wydawanie pisma, a jego symboliczną kontynuacją był londyński miesięcznik (pod tym samym tytułem) ukazujący się do roku 1982, redagowany przez ojca Jerzego Mirewicza.

### **Wskrzeszenie „Przeglądu Powszechnego” i zmagania z cenzurą**

W roku 1980 wydarzenia związane z protestem robotniczym i powstaniem „Solidarności” utorowały drogę do reaktywacji „Prze-

glądu Powszechnego". Ojciec Zygmunt Perz, ówczesny zwierzchnik Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej, powierzył ojcu Stanisławowi Opieli misję wskrzeszenia miesięcznika. Rozpoczęły się rozmowy na temat charakteru pisma, co nie było łatwe w zróżnicowanym środowisku jezuickim. Nowy tytuł musiała zatwierdzić komisja państwowo-kościelna, zajmująca się sprawami wydawnictw katolickich, również tych, które chciały po wielu latach wznowić swoją działalność. Stosowne dokumenty przygotowano jesienią 1980 roku. Decyzją prezesa Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk z dnia 19 marca 1981 roku jezuici otrzymali zgodę na wydawanie pisma – na własnym papierze. Przydziałem papieru zajmowała się również wspomniana komisja. W praktyce uniemożliwiało to inicjowanie nowej działalności oraz skłócało podmioty kościelne, które widziały w innych tytułach rywala w walce o papier. Dużą jego część trzeba było sprowadzać z zagranicy, płacić obcą walutą zdobywaną u przyjaciół na Zachodzie. W przypadku „Przeglądu Powszechnego” to najprawdopodobniej Urząd do spraw Wyznań wpłynął na zmianę decyzji komisji, która 22 maja 1981 roku unieważniła zastrzeżenie: „na własnym papierze” i pozwoliła na ubieganie się o jego nieokreśloną pulę<sup>3</sup>. Wkrótce skompletowano skromny zespół redakcyjno-administracyjny oraz utworzono zaplecze dla jego pracy. Redakcja nawiązała niebawem szerokie kontakty z autorami z zewnątrz, aby podtrzymać praktykę „prze-glądową”, istniejącą od początku pisma. Wydanie pierwszego numeru zaplanowano na styczeń 1982 roku. Aby mogło dojść do wydawania miesięcznika w warunkach realnego socjalizmu, trzeba było pokonać wiele trudności, między innymi znaleźć drukarnię, która chciałaby wydawać „jezuickie pismo”. Ta nazwa działała na wielu zniechęcająco. Wymusiło to z czasem zakupienie fotoskładu. Był to wówczas sprzęt najnowszej technologii (elektroniczne opracowanie techniczne, zachowywanie tekstu na dużej dyskietce i nanoszenie poprawek na fotograficznym wydruku, bez konieczności przygotowania „szczotek” i składów matryc ołowianych), który nie tylko przyspieszał, lecz również obniżał koszty druku.

---

<sup>3</sup> S. Opiela, *Zaistnienie*, „Przegląd Powszechny” 2004, nr 12, s. 398-399.

Treść każdego numeru od strony merytorycznej musiała być również zatwierdzona przez cenzurę. Jednak w roku 1981 uchwalono ustawę (wywalczoną przez „Solidarność”) dającą redakcjom prawo zaznaczania w tekście (w nawiasach kwadratowych) ingerencji cenzorskich i ich podstaw prawnych. W fazie przygotowania należało dostarczyć do urzędu trzy maszynopisy. Po naniesieniu „poprawek” jeden egzemplarz otrzymywała redakcja i na jego podstawie przygotowywano „szczotki”, które ponownie należało poddać urzędowej kontroli nad drukiem. Po opublikowaniu istniał również obowiązek dostarczenia cenzorom jednego egzemplarza<sup>4</sup>. Gdy wydawało się, że te wszystkie trudności udało się już pokonać i nowy numer wyjdzie o czasie, przyszedł 13 grudnia 1981 rok – stan wojenny. „Przegląd...” znowu zawieszono i trzeba było starać się o kolejne pozwolenie, tym razem u słynnej WRON-y, czyli Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Pozytywną decyzję podjęto 7 maja 1982 roku. Wkrótce wydano pierwszy podwójny numer: lipiec–sierpień 1982. Zmaganie się z cenzurą kosztowało zespół wiele sił. Od wznowienia w 1982 do listopada 1989 roku zaznaczono 264 ingerencje, w tym 24 razy odmówiono prawa do publikacji całego tekstu. Rekordzistą pod tym względem był Krzysztof Kłopotowski, którego 11 artykułów całkowicie odrzucono. W 1983 roku cenzura sprawiała ogromne trudności z publikowaniem tekstów homilii Jana Pawła II z pielgrzymki do Polski<sup>5</sup>. Redakcja „Przeglądu Powszechnego” była w okresie początkowym swojego istnienia miejscem spotkań opozycji demokratycznej, wywodzącej się z różnych środowisk. Dyskutowano o tym, jaką przyjąć postawę w obliczu stanu wojennego, a potem, u schyłku socjalizmu, o kształcie przyszłej Polski. Ingerencje cenzury najczęściej dotyczyły publikowanych dyskusji, które organizowała redakcja. Szczególnie surowo traktowano te dotyczące społeczeństwa i kultury. Cenzura aż czterynastokrotnie ingerowała w debatę z 1985 roku: „Co znaczy sprawiedliwość społeczna?”.

---

<sup>4</sup> G. Dobroczyński, *Okno ku wolności słowa*, „Przegląd Powszechny” 2010, nr 2, s. 89.

<sup>5</sup> Tamże, s. 90-91.

Wyjątkowym wydarzeniem w potyczkach „Przeglądu Powszechnego” z urzędem cenzury był proces wygrany przed Naczelnym Sądem Administracyjnym. Przedmiot sporu stanowił artykuł „Prasa o kulturze (4)”, podpisany kryptonimem mgm (Michał Jagiełło). W związku z końcem roku szkolnego autor omawiał dyskusję o programie nauczania języka polskiego, która odbyła się na III Forum Polonistycznym jeszcze w 1983 roku, a obszernie przedstawioną na łamach pisma „Polonistyka”. Skarga „Przeglądu...” do NSA bazowała na dwóch podstawowych argumentach. Po pierwsze, artykuł składał się głównie z publikowanych cytatów z pisma „Polonistyka”, a więc dopuszczonych już przez cenzurę do rozpowszechniania (w latach 1983 i 1985). Po drugie, intencją było wykazanie, że organy administracji szkolnej oraz instytucje i placówki oświatowo-wychowawcze cechuje bierność wobec społecznych dążeń do zreformowania programu nauczania języka polskiego w szkołach. Chodziło tutaj szczególnie o podkreślenie wartości moralnych, roli rodziny i tradycji chrześcijańskiej w literaturze polskiej. Wygranie tego procesu przez „Przegląd...” skutkowało nowym sposobem działania cenzury. Urząd, oprócz zwykłych administracyjnych mechanizmów zakazu, zaczął nagminnie stosować „demokratyczną” praktykę i wykorzystywał prawo do sprostowań<sup>6</sup>.

### **Czasy stabilizacji i rozwoju**

Od upadku systemu socjalistycznego oraz zniesienia cenzury w 1989 roku można już było pisać o wszystkim oraz publikować dowolnych autorów. Kolejne zespoły redakcyjne, kierowane przez różnych naczelnych: ojca Stanisława Opiełę, ojca Grzegorza Schmidta, ojca Jacka Bolewskiego, ojca Wacława Oszajcę oraz ojca Tomasza Kota, wprowadziły różnorodność do pisma: raz przeważały tematy związane z literaturą i sztuką, innym razem dominowały problemy społeczne i teologiczne. W 2004 roku pismo obchodziło stodwudziestolecie istnienia. Ówczesny redaktor naczelny Wacław Oszajca SJ w jednym z wywiadów wspominał, że zadania „Przeglądu Powszechnego” nie zmieniły się od czasu, kie-

---

<sup>6</sup> Tamże, s. 92-97.

dy określił je pierwszy redaktor, Marian Morawski. *Chcemy nadal przenikać rzeczywistość, która nas otacza, duchem chrześcijańskim. Zajmujemy się tym, co dzieje się w świecie religii, kultury, polityki i ekonomii, wyszukujemy zwiastunów nadejścia nowych czasów.*

W 2009 roku otwarto archiwum cyfrowe „Przeglądu Powszechnego”. Otrzymaliśmy na ten cel wsparcie od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W archiwum można znaleźć teksty ze wszystkich zeszytów miesięcznika, począwszy od 1884 roku. Wystarczy podać trzyliterowe hasło, wpisać datę i znajdziemy autora lub temat. Działa również strona internetowa naszego miesięcznika: [www.przegladpowszechny.pl](http://www.przegladpowszechny.pl). W ostatnich latach najbardziej zwracaliśmy uwagę na to, jak w perspektywie wiary chrześcijańskiej przeżywać najważniejsze przemiany cywilizacyjne współczesnego świata. „Przegląd Powszechny” był miejscem wymiany poglądów, prezentował sprawy społeczne, kulturalne i religijne na najwyższym poziomie oraz ukazywał zrównoważone spojrzenie na problemy otaczające nas. A więc trwałość i zmiana, jak na początku. Warto było sięgnąć po „Przegląd Powszechny”, ponieważ dotyczył nie tylko duchowości skupionej na rozwiązywaniu osobistych kłopotów oraz nie poruszał się w zamkniętej przestrzeni kościelnej. Starał się odczytywać złożoność problemów kulturowych, religijnych i społecznych oraz tych z pogranicza nauki i wiary, a także wiary i kultury. Pomagał wyczuć puls przemian oraz zrozumieć je. „Przegląd Powszechny” dostarczał ponadto mądrej i wyważonej odpowiedzi, jaką przyjmować postawę wobec najważniejszych wyzwań współczesności. Nie był przy tym środowiskiem zamkniętym; przeciwnie – otwierał się na wiele opinii. W tym sensie nie zakończył swojej misji, ale będzie starał się ją kontynuować w nowy sposób. Czas pokaże, czy to się uda. Czy przetrwa i zaistnieje w nowej formie? Oby nie poległ ostatecznie pod presją komercjalizacji, tabloidyzacji i nowych technologii tak, jak kiedyś w konfrontacji z systemem stalinowskim i wojnami. Dzisiaj bardzo potrzebna jest wrażliwość charakterystyczna dla naszego pisma i podobnych ośrodków myśli. Ta wrażliwość nie może być tłumiona i ograniczana, ale tym bardziej rozwijana w dobie dynamicznych przemian

kulturowych, im bardziej zanika duch dialogu, porozumienia i szukania dróg spotkania.

### **Nowe wyzwania**

Pisałem już kilka miesięcy temu, że świat mediów dynamicznie zmienia się i trzeba mieć to cały czas na uwadze. W tym duchu pismo stara się odczytywać swoją dalszą misję, aby podejmować wyzwania współczesności w języku bardziej dostosowanym do wrażliwości odbiorców. Trudno kierować się jedynie chwalebą przeszłością w sytuacji, kiedy rynek narzuca swoje wymagania. Z końcem tego roku wstrzymujemy wydawanie miesięcznika w dotychczasowej formie. W porozumieniu z Prowincją Polski Południowej naszego zakonu zdecydowaliśmy się przekształcić „Przegląd Powszechny” w dział portalu społecznościowego Deon.pl. Tam również będą mogli Państwo korzystać z naszego archiwum. Deon.pl to portal zawierający zarówno najważniejsze wiadomości z kraju i ze świata, jak i artykuły o współczesnych problemach Kościoła oraz publicystykę. „Przegląd Powszechny” stanie się dostępny w ramach portalu, a także pod dotychczasowym adresem [www.przeglادpowszechny.pl](http://www.przeglادpowszechny.pl). Będzie kontynuował tradycję miesięcznika oraz wzbogacał portal Deon.pl treściami z zakresu problematyki religijno-kulturalno-społecznej.

Wyrażam wdzięczność osobom tworzącym Radę Redakcji, kolejnym zespołom redakcyjnym, autorom tekstów, wszystkim współpracownikom zaangażowanym w proces tworzenia pisma, naszym przyjaciółom oraz wiernym czytelnikom. Dziękujemy Państwu za wierne trwanie przy „Przeglądzie Powszechnym”. Ufamy, że jego nowa forma wzbudzi również państwa zainteresowanie.

*Krzysztof Ołdakowski SJ*



# Pożegnanie papierowego „PP”

---

*Ankieta*

## **Gdzie są areopagi?**

Magdalena Bajer

publicystka, dziennikarka naukowa, wieloletnia przewodnicząca Rady Etyki Mediów

Ubolewamy nad upadkiem autorytetów, co wynika być może ze zmian cywilizacyjnych (prawa człowieka zrównały tradycyjne hierarchie), historycznych (w naszym rodzimym przypadku lansowanie przez kilkadziesiąt lat ideologii zaprzeczającej wszelkiej pozamaterialnej trwałości i ciągłości), psychologicznych (indywidualizm, który towarzyszy kapitalizmowi).

Brakuje nie tylko wzorów osobowych – te najłatwiej kwestionować. Mało jest w przestrzeni publicznej miejsc, które miałyby autorytet starożytnego Areopagu; takich, z których opinie – formułowane w gorących dysputach i ufundowane na argumentach zrozumiałych dla wszystkich uczestników – wędrują do ludzi i stają się normami.

Nie jest współczesnym areopagiem internet, mimo szalonej frekwencji na portalach społecznościowych, choćby dlatego że przeważają w nim opinie wypowiedziane anonimowo. A w kulturze naszego kręgu, w kulturze łacińskiej, anonim naznaczony jest wzgardliwą nieufnością, by nie powiedzieć po prostu „wzgardą”.

Rolę Areopagu – miejsca dysputy o sprawach ważnych dla ogółu, a toczonej przez przedstawicieli elity tego ogółu – pełnią (jeszcze?) czasopisma ogólnospołeczne czy też ogólnokulturalne, do

jakich należy „Przegląd Powszechny”. Dotykają one istoty opisywanych zjawisk, które wskutek szybkich przemian otaczającego nas świata przestały być jednoznaczne. Chodzi o kwestie takie jak: homoseksualizm, bioetyka, współczesny język nauczania Kościoła, tolerancja, edukacja, przemiany w sztuce...

Miesięcznik katolicki nie lęka się głosu niewierzących. Wszyscy wiedzą, że na jego stronach nie pojawią się wypowiedzi banalne, płytkie, publikowane ze względów innych niż merytoryczne.

Świętemu Pawłowi zdarzyło się być przegnanym z ateńskiego wzgórza mędrców – zbyt daleko poszybował myślami, słuchacze jeszcze nie byli gotowi, by za nim nadążyć. Redaktorzy „PP” bywają śmiali w rozszerzaniu horyzontów i zawsze niezawodnie rozróżniają dobro od zła.

Świat zmienia się gwałtownie i radykalnie. Tym bardziej potrzeba miejsc, w których można się trudzić nad rozpoznawaniem tego, co niezmiennie.

### **Chronić przed gettowością**

Halina Bortnowska

filozof, teolog, publicystka, przewodnicząca rady Helsińskiej  
Fundacji Praw Człowieka

Częstą czytelniczką „Przeglądu Powszechnego” byłam wiele lat temu, jeszcze jako uczennica w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej. Głosowi płynącemu z redakcji można było zaufać, dlatego „Przegląd...” był cenny – podobnie jak „Tygodnik Powszechny” i „Znak”.

„PP” był i jest potrzebny, ponieważ należy do wachlarza prasy, która porusza sprawy religijne. Przy dzisiejszym natłoku informacyjnym jest potrzebny szczególnie, by pogłębiona refleksja mogła się przebić. Coraz więcej osób nie rozumie języka wyznaniowego. Trzeba podejmować wysiłek jego tłumaczenia. Nie zostawiamy tego kaznodziejom, bo w kazaniach na taką refleksję jest za mało miejsca i rzadko można ją spotkać.

Będzie mi brakowało „Przeglądu...” na scenie. Obecność poważnej publicystyki chroniła nas przed gettowością; prasa gettowa

mówi tylko do swoich, nie pełni funkcji ewangelizacyjnej ani nie włącza się do przestrzeni kultury.

### **Pilna potrzeba poszukiwania sensu**

Dorota Kielak

profesor literatury polskiej na Uniwersytecie im. Kardynała  
Stefana Wyszyńskiego

Gdy w 1884 roku ukazał się pierwszy numer „Przeglądu Powszechnego”, przejmującego w dużej mierze intelektualną spuściznę po „Przeglądzie Lwowskim”, jego redaktor ojciec Marian Morawski SJ w artykule programowym pisał o potrzebie wydawania pisma, które byłoby płaszczyzną scalenia dla różnych nurtów społecznego oraz kulturalnego życia przełomu XIX i XX wieku. Widząc, jak w ślad za (...) *organicznym rozwojem społeczeństwa mnożą się pojęcia i zdania różnych odcieni i ścierają się żywo*, odczuwał potrzebę stworzenia takiej płaszczyzny refleksji, która by *ten ruch duchowy w całości obejmowała, nadawała mu wyraźne kształty i poddawała go dokładnej i zasadniczej krytyce* (cytaty z pierwszego numeru „PP”).

Ojciec Morawski wypowiadał te słowa w momencie, w którym na łamach warszawskiego „Wędrowca” polscy naturaliści rozpoczęli kampanię publicystyczną o nowe rozumienie sztuki i kategorii prawdy przez nią realizowanej; w momencie, który poprzedzał znaczące wydarzenia w historii ruchów społeczno-politycznych, dających poczucie nienaturalnego zdynamizowania świata i projektujących postawy negujące scjentystyczny optymizm światopoglądowy. Ujawnił jednocześnie silnie odczuwaną potrzebę ówczesnej inteligencji, by temu doświadczeniu nowości i nowoczesności nadać kształty zgodne z polską świadomością narodową i kulturową, zgodne z wyłaniającymi się coraz wyraźniej potrzebami cywilizacyjnymi, a także by doświadczenie to w całej jego ogromnej różnorodności móc przeżywać jako całość, której sens wyłania się tylko w odniesieniu do filozofii i teologii. „Przegląd Powszechny” miał za zadanie utworzyć szczególnego rodzaju filtr w oglądzie świata, który ogląd ten czynił *de facto* gestem zgłębiania jednej Prawdy poprzez wielo-

wątkową refleksję o wszystkim, co nowe, nowoczesne, różnorodne, niespodziewane i niepoddające się łatwemu uporządkowaniu.

Współczesne realia historyczne, polityczne czy kulturowe różnią się diametralnie od tych sprzed niespełna stu trzydziestu lat. Jednak potrzeba poszukiwania sensu w rzeczywistości i życiu człowieka wydaje się być taka sama. A może teraz w postmodernistycznym świecie, który zwraca się w stronę „inhumanizmu”, w świecie zdominowanym przez polisemię, jest ona nawet bardziej paląca niż kiedyś.

### **Jestem za opcją wytrwania**

Jan Kieniewicz

historyk, profesor zwyczajny na Uniwersytecie Warszawskim

„Przegląd Powszechny” pozostanie dla mnie na zawsze tą pierwszą Redakcją po wznowieniu (w 1982 roku), w której odnajdywałem przyjaznego partnera. Z czasem uznałem się za stałego autora i odczuwałem szczególną więź z pismem i jego kręgiem. Jego miejsce w ówczesnej panoramie było określone jasno, nie tylko odredakcyjną deklaracją, ale stałą praktyką. Otwartość i jasne kryteria. Jedno z nielicznych miejsc, w których godziło się publikować. Nie zastanawiałem się nad jakimś rankingiem, ale uważam nadal, że „PP” znalazł się natychmiast w czołówce czasopism tego typu. A ponieważ to tam chciano mnie drukować, pozostaję „Przeglądowi” wierny, także i w tej trudniejszej epoce, jaka nastąpiła po 1989 roku.

Nie od razu stało się jasne, że inteligencja nie będzie skłonna czytać, czy tylko kupować, tego typu czasopism. Współczesna prasa tygodniowa przeszła całkowicie na format amerykański, a obfitość tytułów nie powinna zwodzić. Ta prasa jest nastawiona na zupełnie innego odbiorcę niż prasa kulturalno-społeczna w czasach PRL. Ugiął się nawet „Tygodnik Powszechny”. Miesięczniki straciły chyba dawny powab, w przyspieszonych czasach nie szukamy trudniejszej lektury i głębszej refleksji. „Przegląd Powszechny” przez ostatnie trzydzieści lat pozostał wierny pierwotnej formule. My, czytelnicy nie zdołaliśmy go utrzymać i to jest dość gorzka prawda o środowisku, do którego był adresowany.

Z tej też przyczyny nie jest oczywiste, czy „Przegląd Powszechny” odzyska swą rolę przy zmienionej formie, wydawany w postaci elektronicznej. Jak wiele osób odczuwa potrzebę podzielenia się opiniami o kwestiach ważnych, związanych z tematyką religijno-społeczno-kulturalną? Jak liczni są odbiorcy dla takiej problematyki? Pozornie można sądzić, że z obu stron występuje gotowość i oczekiwanie, a tematów nie brakuje. Nie jestem jednak pewien, czy znowu nie ulegam złudzeniu. Jestem jednak za podjęciem próby.

Mam wrażenie, że mocną stroną „PP” była gotowość do dialogu bez odstępstwa od wyznawanych zasad. Tego dziś trzeba bardziej niż kiedykolwiek.

### **„Przegląd Powszechny” w mediamorfozie**

Jerzy Olędzki

profesor doktor habilitowany, pracownik Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego

Studenci dziennikarstwa podczas wykładów z historii prasy polskiej poznają „Przegląd Powszechny” jako pierwsze w Polsce czasopismo katolickie, które umiało pod koniec XIX wieku pioniersko połączyć tematykę religijną ze społeczno-kulturalną i w życie wcielać jezuicką zasadę obecności wśród elit. Mimo różnych zakrętów politycznych, ideologicznych i społecznych, jakie spotkały kraj w ostatnim stuleciu, „Przegląd Powszechny” pozostał wierny pierwotnej misji. Poszukuje, jak to określił swego czasu redaktor ojciec Wacław Oszejca, „zwiastunów nadejścia nowych czasów”. Nie jest to przecież łatwe zadanie. Nie tylko opiniotwórcze środowiska laickie – i nazywające się ateistycznymi – lecz także i niektóre kręgi duchowieństwa katolickiego z podejrzliwością patrzyły i interpretowały treści artykułów zamieszczanych w tym czasopiśmie.

Kościół katolicki jeszcze w połowie XX wieku mógł jawić się nie tylko jako jedyna w świecie tak długowieczna instytucja społeczna, ale także jako twierdza konserwatyzmu, tradycjonalizmu i podejrzliwości wobec nowinek czy mód cywilizacyjnych. Dopiero reformy Soboru Watykańskiego II sprawiły, że stereotyp twierdzy za spiżową bramą zaczął gwałtownie słabnąć. Pierwsze czasopismo katolickie

pojawiło się dopiero w połowie XIX stulecia. Kolejne tytuły zaczęły masowo powstawać za sprawą poparcia papieża Leona XIII, gorącego zwolennika wykorzystania prasy do krzewienia wartości chrześcijańskich. Oficjalna akceptacja kinematografii nastąpiła dopiero w 1929 roku – nieufność wobec filmu była na początku tak silna, że wcześniej obowiązywał nawet zakaz odwiedzania kin przez duchowieństwo.

Czy zamiana formy wydawania pisma – przeniesienie go na portal społecznościowy Deon.pl – zmienia misję „Przeglądu Powszechnego”? Moim zdaniem nie, a efekty pracy uczyni bardziej dostępnymi szerokim kręgom odbiorców. Zwiększy obowiązki oraz zadania redakcji i autorów. Światowy magnat medialny Rupert Murdoch trzy lata temu w Waszyngtonie stwierdził, że *istotą czasopism nie jest to, że są drukowane na papierze, lecz to, że dostarczają informacji. Papier jest tylko sposobem przekazu, a nie jego istotą*. Nie jest ważne, czy to jest periodyk papierowy czy cyfrowy, ważniejsze jest pytanie, co, po co i dla kogo publikuje. Nie dysponujemy jeszcze wiarygodnymi badaniami nad recepcją informacji i opinii otrzymywanych drogą elektroniczną, ale wiemy, że przekaz internetowy jest coraz bardziej popularny i ma możliwość dotarcia do wybranych segmentów czytelnich. Czytelnicy coraz więcej wymagają od nadawców i, co jest chyba obecnie najważniejsze, potrafią sami uczestniczyć we współredagowaniu. Oto największe wyzwanie obecnej zmiany i niezwykła szansa dla realizacji idei nowej ewangelizacji.

W Polsce dostęp do internetu w domu ma obecnie (2012 rok) już niemal 60 procent mieszkańców. Internet staje się najpopularniejszym medium. Zapewnia on niespotykane dotychczas możliwości komunikowania – globalny zasięg, nieograniczony dostęp, interaktywność i multimedialność komunikatu, dużą pojemność informacyjną i szybkość w przesyłaniu i pozyskiwaniu danych. Efektem synergii tych wszystkich cech przekazu internetowego stała się idea web 2.0 znamionująca nowe podejście do pojmowania klasycznej roli nadawcy i odbiorcy w akcie komunikacji. W przeciwieństwie do tak zwanych starych mediów, odbiorca ma równe prawo do oddziaływania na nadawcę. Idea web 2.0 oznacza także nowe

podejście do tworzenia treści – jest to idea tworzenia systemów otwartych, gdzie użytkownicy mogą dodawać informacje i stać się w rezultacie współtwórcami.

Sztandarową formą komunikacji web 2.0 są cztery (jak dotychczas) portale społecznościowe – nazywane też globalną czwórką dzieci internetu: Facebook, Twitter, YouTube, Pinterest. Prawie czterdzieści pięć procent spośród około 16,7 mln Polaków, którzy korzystają z internetu, deklaruje, że codziennie ich używa.

Nowe możliwości dla „Przeglądu Powszechnego” są wzmacniane przez ewolucyjny proces konwergencji wszelkich form multimedialnych, które integrują tekst, muzykę, słowo mówione, wideo, grafikę, fotografie. Tylko od granic wyobraźni zależy, jak to wszystko zostanie spożytkowane w następnych edycjach „Przeglądu...”. Ambitne wyzwanie: wykorzystać nowe technologie komunikacyjne przez tytuł prasowy, który był nowoczesny w końcu XIX wieku?

Historia powstania i rozwoju „Przeglądu Powszechnego” jest przykładem potwierdzającym racje twórców koncepcji mediamorfozy – Roger Fidler określił tak w 1997 roku transformację wszystkich mediów komunikowania, wywołaną przede wszystkim skomplikowaną grą ludzkich potrzeb i oczekiwań, presji politycznej, presji konkurencji oraz społecznych i technologicznych innowacji. Zdaniem Fidlera nowe media nie pojawiają się spontanicznie i „znikąd” – lecz są wynikiem metamorfozy wcześniejszych mediów. Gdy pojawiają się nowe formy mediów, dawne nie giną, lecz ewoluują i dostosowują się do nowych realiów. Decyzja „społecznościowego zinternetowania” „Przeglądu Powszechnego” jest zatem egzemplifikacją procesu mediamorfozy.

### **Otwarty na sprawy literatury**

Mieczysław Orski

poeta, prozaik i krytyk literacki, redaktor naczelny miesięcznika „Odra”

Gdy znikają kolejne czasopisma kulturalne i regionalne, gdy Rzeczpospolita wciąż nie dorobiła się bodaj jednego tygodnika czy

dwutygodnika kulturalnego, gdy życie wspólnoty artystycznej, literackiej, intelektualnej poddane jest w dużej mierze dyktatowi marketingu i komercji (i gdy rażą już mierne szczątki dawnych działań kulturalnych pod koniec na przykład „Polityki” czy „Newsweeka”, jak i wątle odpowiednie kolumny w gazetach...), zamknięcie papierowego wydania „Przeglądu Powszechnego” nie tylko mnie nastraja pesymistycznie. Podobnie obserwuje się malejące zainteresowanie polską literaturą w Europie: na palcach można policzyć dziś tłumaczone i omawiane w licznych wciąż (!) tygodnikach kulturalnych Niemiec, Francji czy Anglii nasze książki czy nominowane na festiwalach polskie filmy. Ileż kiedyś tego było, jakżeż ustępujemy tu miejsca Ukrainie, nie mówiąc o Rosji czy Czechach, a ostatnio Albanii...

„PP” pełni rolę rzetelnego i obiektywnego – co w przypadku czasopisma reprezentującego określoną formację duchową liczy się po dwakroć za zasługę – obserwatora i komentatora procesów, zjawisk i wydarzeń z zakresu szeroko rozumianej kultury, w tym wąskiej elitarnej sztuki. Poczytywałem sobie za zaszczyt współpracę z „PP” w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, kiedy w niewielu tytułach prasowych można było dać wyraz prawdziwym przekonaniom – w moim przypadku na temat wartości i poziomu ukazujących się książek oraz generalnie nurtów, kierunków przemian w literaturze; jako jeden z pierwszych krytyków zaproszonych przez redaktorów nakreśliłem później syntetyczny obraz polskiej prozy po roku 1990.

Niezwykle cenne i godne podkreślenia grubą kreską było to, że nigdy w trakcie długoletniej, systematycznej współpracy z pismem nie spotkałem się z próbami ingerencji w moje teksty czy wybór tematów, a omawiałem czasem książki, które kiedyś w innych miejscach wzbudzały zastrzeżenia i wątpliwości – i dopiero dzisiaj ich autorzy cieszą się zasłużoną sławą. Tego otwarcia poznawczego, zrozumienia dla spraw i praw literatury jest coraz mniej w naszych czasopiśmach, nie ma go w gazetach i prawie nie ma w wydawnictwach, które pozbyły się generalnie recenzentów wewnętrznych. Wydają, co wydają, bo oczekują, że napisze o tym „Gazeta Wyborcza”, „Uważam rze”, może „Polityka”, ale nie „PP”.



## **A jednak mi żal...**

Barbara Sułek-Kowalska

dziennikarka i publicystka, sekretarz redakcji katolickiego tygodnika „Idziemy”

Dziennikarska młodzież była rozemocjonowana w najwyższym stopniu: amerykański „Newsweek” schodzi do internetu! Koniec papierowego wydania! Co pani na to?

A ja na to zaczęłam się nerwowo śmiać, z niejaką ulgą zresztą: już nie muszę się martwić, co napisać na pożegnanie papierowego „PP”, początek ułożyło samo życie. Amerykański „Newsweek” nie jest młodzieniaszkiem, ma wprawdzie nieco mniej lat niż nasz „Przegląd...”, ale – ho ho – co to za lata! Amerykański, a też się zwija!

A może my nic nie rozumiemy? Może właśnie się rozwija? Wersja elektroniczna nie jest przecież prostym przeniesieniem przygotowanych tekstów na stronę internetową, wymaga innych przygotowań, innej grafiki, innego podania tekstu. Na podyplomowych studiach dziennikarskich Uniwersytetu Warszawskiego już kilka lat temu powstał na moich zajęciach wielki reportaż o stanie i przyszłości mediów tradycyjnych i elektronicznych. Jego autorka Dorota Armiak, zresztą – paradoksalnie – redaktorka miesięcznika „Poligrafika”, z wielkim wyczuciem i wizjonerskim uporem sprawdziła różne koncepcje, zestawiała statystyki i odpytywała znawców rynku. I nieustępliwie broniła swojej tezy: że już się przełomu nie powstrzyma, że może jeszcze nie ma przewagi w czytelnictwie wersji elektronicznych, ale to tylko kwestia czasu.

Dziś już nikt by z nią nie dyskutował. A jednak mi żal... Z papierowym „PP”, który w latach stanu wojennego był miejscem wspaniałych spotkań i dyskusji, przeżyłam w ostatnich latach przygodę jako „matka chrzestna” drukowanych w nim reportaży. Powstały na prowadzonym przeze mnie seminarium w Podyplomowym Studium Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UW. Ojciec Krzysztof Ołdakowski z wielką pasją poszukiwał tekstów dla miesięcznika. Zaczęliśmy kooperację ku obopólnej – jak było widać po efektach – satysfakcji. Najwięcej jednak satysfakcji – i radości

– mieli przede wszystkim młodzi autorzy. Publikowali – najczęściej były to debiuty – duże teksty w objętości, na jaką nie stać dziś innych tytułów. Mogli twórczo współpracować z wymagającym naczelnym. Dzwonili potem, żeby powiedzieć, jaka to przyjemność. Wielka sprawa, Księżo Redaktorze. I wielkie dzięki!



---

Dk. Bogdan Sadowski

# *Bóg powiedział raz, dwa razy usłyszałem*

(Ps 62,12)

## **I niedziela Adwentu (2 grudnia)**

(Jr 33,14-16; Ps 25,4bc-5ab,8-9,10 i 14; 1 Tes 3,12-4,2; Łk 21,25-28.34-36)

Rozpoczynamy kolejny rok kościelny. Adwent ma nas wprowadzić nie tyle do świętowania Bożego Narodzenia (choć to też), ile raczej do ponownego osobistego i indywidualnego przeżywania go w nas samych. Tegoroczny Adwent obchodzimy w duchu trwającego Roku Wiary. Jaka jest moja wiara w Boże Narodzenie – jaka jest moja wiara w przyście Zbawiciela na świat? Czy moja wiara pomaga mi stosować się do pouczenia świętego Pawła kierowanego do mieszkańców Salonik: *stawajcie się coraz doskonalszymi?*

Pierwsza część Adwentu odnosi się nie tylko do narodzin Syna Bożego w Betlejem, ale przede wszystkim do Jego przyścia w czasach ostatecznych. To także będzie Boże Narodzenie, choć częściej nazywamy je „końcem świata”. Ciekawe, że dla wielu z nas ma to być jakoby czas trwogi i strachu, choć sam Jezus mówi o tym czasie: *nabierzcie ducha i podnieście głowy, ponieważ zbliża się wasze odkupienie.*

Skąd w nas, chrześcijanach, takie nastawienie, ten strach? Niewątpliwie sumienie wyrzuca nam niejedno, choć rzadko się do tego przyznajemy. Pamiętamy też przestrogę samego Jezusa: *Uważajcie na siebie, aby wasze serca nie były ociężałe wskutek obżarstwa, pijaństwa i trosk doczesnych, żeby ten dzień nie przypadł na was znienacka jak potrzask*. Gdy oddajemy się modzie na libertynizm, wszechobecnej dzisiaj, i rozwijamy swój narcyzm, staramy się stłumić ciche i łagodne upominanie sumienia. Obyśmy chcieli uwierzyć w słowa Jezusa Chrystusa i mogli stanąć z prawdziwą radością przed Synem Człowieczym w ów dzień.

## **II niedziela Adwentu (9 grudnia)**

(Ba 5,1-9; Ps 126,1-2ab,2cd-4,5-6; Flp 1,4-6.8-11; Łk 3,1-6)

Kolejna niedziela Adwentu i kolejne wezwanie do przygotowania się na ostateczne przyjście Jezusa Chrystusa na koniec czasów. Apostoł Paweł, kiedy chwalił mieszkańców Filipi i ich wiarę, zachęcał jednocześnie do ciągłego wzrastania na drodze do nieba. Zachęcał bardzo gorąco: *aby miłość wasza doskonaliła się coraz bardziej i bardziej w głębszym poznaniu i wszelkim wyczuciu dla oceny tego, co lepsze, abyście byli czysti i bez zarzutu na dzień Chrystusa*.

Wydaje się, że ta zachęta wynika z zaufania, które ma do adresatów święty Paweł. Tylko tym, którzy okazują postęp w wierze, można ukazywać wciąż szerszą perspektywę. Jeżeli mamy trudności w autentycznym kochaniu siebie, a co za tym idzie: w kochaniu Boga i innych ludzi, to trudno nam przyjmować wezwanie do *bardziej i bardziej*. Jeżeli dzięki łasce Bożej potrafimy zaakceptować siebie takimi, jakimi jesteśmy (bez pobłażania wadom, choć ze świadomością ich istnienia), będziemy umieli także pogłębiać nasze wyczucie oceny tego, co lepsze.

Ewangelia zwraca naszą uwagę na pewną kolejność naszego nawracania się. Jan Chrzciciel *obchodził więc całą okolicę nad Jordanem i głosił chrzest nawrócenia na odpuszczenie grzechów*, czym spełniał prorocstwo Izajasza. Nawrócenie, do którego wzywał, polegało na uznaniu Boga i otwarciu się na Jego przyjście. Każdy,

kto rzeczywiście zechce przyjąć takie wydarzenia w swoim życiu, doświadczy widocznej łaski w codziennych trudnościach: *każda dolina niech będzie wypełniona, każda góra i pagórek zrównane, drogi kręte niech staną się prostymi, a wyboiste drogami gładkimi*. Trudność wiąże się z ostatnim fragmentem: *I wszyscy ludzie ujrzą zbawienie Boże*. Słowo „ujrzą” nie oznacza „dostąpią zbawienia”. Choć zapewne należy wierzyć, że w ostatecznym momencie końca czasów największy nawet grzesznik będzie miał szansę – dzięki Miłosierdziu Bożemu – w pokorze przyjąć wielki Dar Zbawienia. Oby tak było.

### **III niedziela Adwentu (13 grudnia)**

(So 3,14-18a; Iz 12,2-3,4bcd,5-6; Flp 4,4-7; Łk 3,10-18)

Dość rzadko mamy okazję zobaczyć celebransą w ornacie koloru różowego; nadarza się ona właśnie dziś i jeszcze tylko w czwartą niedzielę Wielkiego Postu. Obie te niedziele mają charakter przerwy w dyscyplinie pokutnej Adwentu i Wielkiego Postu. Dzisiejsza niedziela nosi też nazwę niedzieli „Gaudete”, od pierwszych słów antyfony na wejście: *Radujcie się zawsze w Panu, raz jeszcze powiadam: radujcie się! Pan jest blisko*. (Czwarta niedziela Wielkiego Postu to niedziela „Laetare”, podobnie od antyfony: *Wesel się Jerozolimmo...*).

Róż otrzymuje się ze zmieszania fioletu (a więc koloru używanego zarówno w czasie Adwentu, jak i Wielkiego Postu) z białym. Dziś przytoczone słowa antyfony słyszymy także w pierwszym czytaniu i warto słuchać ich szczególnie uważnie: *Radujcie się zawsze w Panu; jeszcze raz powtarzam: radujcie się! Niech wasza łagodność będzie znana wszystkim ludziom: Pan jest blisko! O nic się już zbytnio nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem*. Bliskość Pana jest podstawowym powodem radości. Ciekawe, że wspomniana radość jestłączona niejako z łagodnością, zaufaniem do Boga i z modlitwą – nie tylko błagalną, lecz także dziękczynną.

Dzięki takiej postawie, jak zapewnia apostoł Paweł, będziemy mogli doświadczać najcenniejszej „rzeczy” na tym świecie – „pokoju Bożego”.

W Ewangelii Jan Chrzciciel nie tylko wzywa do nawrócenia (jak słyszeliśmy tydzień temu); odpowiada też na konkretne pytania słuchaczy: *Cóż mamy czynić?* To pytanie, mimo radosnej niedzieli „Gaudete” (a może ze względu na nią), trzeba sobie zadawać nieustannie, z należytą uwagą. Od odpowiedzi naszego serca zależy, czy będziemy: *pszenicą zebraną do spichrza, czy plewami spalonymi w ogniu nieugaszoneym.*

#### **IV niedziela Adwentu (23 grudnia)**

(Mi 5,1-4a; Ps 80,2ac i 3b.15-16.18-19; Hbr 10,5-10; Łk 1,39-45)

Dziś oczy Kościoła zwrócone są w stronę Matki Bożej. Gdy będziemy przeżywać w kolejnych dniach Święta Bożego Narodzenia, zwróćmy uwagę na pierwszy owoc Wcielenia. Ciężarna Miriam, młoda izraelska dziewczyna, tuż po Zwiastowaniu nie zostaje sama z sobą, by rozważać wielki zaszczyt, którego dostąpiła. Idzie pomóc starszej krewnej, która jest w bardziej zaawansowanej ciąży.

Nigdy nie zapomnę, kiedy pierwszy raz zobaczyłem w Ain Karrem rzeźbę przedstawiającą obie święte. Rzeźba niewielka, współczesna, ale bardzo wymowna. Od razu rzuca się w oczy stan błogosławiony obu kobiet. Stoi ona przed świątynią, przed murem z tekstami „Magnificat” w różnych językach. Cała tajemnica rozważana w różańcu jest w zasadzie jednym wielkim hymnem życia nienarodzonego. Tak wiele się tu dzieje. Pojawia się wzajemna relacja nie tylko obu matek, lecz także ich nienarodzonych synów. Trudno o dokładne wyliczenia, w którym miesiącu ciąży była Miriam, ale gdyby to się działo dziś – na przykład – w Polsce, to nie wiadomo, czy dane byłoby im się urodzić. Nie jest moim zamiarem, tuż przed Bożym Narodzeniem, podsycać dyskusję o życiu od poczęcia do naturalnej śmierci, ale mam wrażenie, że nikt, kto dopuszcza choćby myśl o aborcji, nie powinien spokojnie zasiadać do wigilijnego stołu.

Święto, które przeżywamy, jest nie tylko czasem przyjścia Syna Bożego na nasz świat, lecz także wielkim świętem wszystkich obrońców życia. Wspomniana rzeźba mogłaby być ikoną ich wszystkich. Podobnie zresztą jak cudowny wizerunek Matki Bożej z Guadalupe w Meksyku, chyba najślawniejszy wizerunek Matki Bożej w ciąży.

Życzę wszystkim błogosławieństwa nowo narodzonego Niemowlęcia.

### **Święto Świętej Rodziny: Jezusa, Maryi i Józefa (30 grudnia)**

(Syr 3,2-6.12-14; Ps 128,1-2,3,4-5; Kol 3,12-21; Łk 2,41-52)

Pięknie się składa, że na koniec roku kalendarzowego wypada uroczystość Świętej Rodziny.

Rodzina jest w naszych czasach i w naszej kulturze tym, co zagrożone najbardziej. Widziałem niedawno w programie jednego z kabaretów skecz: syn komunikuje ojcu, że niestety... jest heteroseksualny! Zdumiony ojciec próbuje „wytłumaczyć” mu, jak to jest niewłaściwe.

Odwrócenie, zdawałoby się, utwierdzonych wizji rodziny i małżeństwa miało, jak rozumiem, rozśmieszać. Tyle tylko, że to wcale nie jest śmieszne. W zasadzie dość łatwo wyobrazić sobie sytuację przedstawioną w owym kabarecie jako absurd – że chłopak, który planuje związać się z dziewczyną, „musi” się tłumaczyć i właściwie odwoływać się do tolerancji dla mniejszości. Może jeszcze aż tak „nowocześni” nie jesteśmy (przynajmniej w Polsce), ale wszystko wskazuje na to, że bardzo się staramy nadrobić to „opóźnienie cywilizacyjne”.

Kilka lat temu miałem okazję uczestniczyć w programie telewizyjnym jako przedstawiciel tych, którzy są za nierozzerwalnością małżeństwa. Po moim krótkim wystąpieniu o tym, że niedługo trzeba będzie się „tłumaczyć” z bycia z tą samą żoną od trzydziestu lat, zostałem brutalnie zaatakowany przez znanego artystę (już nieżyjącego, dlatego nie wymieniam nazwiska), który natychmiast skontrolował moją wypowiedź słowami: „A bo wy zawsze...”.

Uderza nas przecież często, że doniesienia o celebrytach, którzy jak rękawiczki zmieniają mężów i żony, są traktowane przez wiele mediów jako bardziej interesujące od doniesień o celebrytach wiernych wyborowi i przysiędze.

Przy tym wywracaniu najwyższych wartości naszej cywilizacji jedyną isierkę nadziei daje właśnie Święta Rodzina. Skoro Syn Boży przyszedł na nasz fizyczny, materialny świat, możemy my-

śleć, że zawsze znajdą się ludzie, którzy będą bronić rodziny nie jako dopustu Bożego, ale jako wielkiego Bożego Daru.

Święta Rodzino, módl się za naszymi Rodzinami.

BOGDAN SADOWSKI, ur. 1956, diakon stały, dziennikarz. Dyrektor programowy Centrum Myśli Jana Pawła II. Pracował w redakcji Programów Katolickich TVP oraz w TV Puls. Mieszka w Piasecznie.





---

Maria Ciostek

## O miłości romantycznej – między „Walerią” a „Dziadami”

Powieść Julianne de Krüdener „Waleria”, tak popularna w epoce romantyzmu, dzisiaj w Polsce jest już niemal całkowicie zapomniana. Jedynym znakiem, który uwiecznił ją dla naszej literatury, było wspomnienie w pierwszej części „Dziadów” Adama Mickiewicza. Mimo że „Walerię” przywołano w jednym z najważniejszych dramatów literatury polskiej, nikt przez tyle lat nie zainteresował się związkami tej powieści z „Dziadami”. Badacze piszą o niej bardzo pobieżnie, najczęściej wskazują na sentymentalny, a więc niezbyt interesujący styl lub na wątpliwą wartość literacką romansu. Brakuje jakichkolwiek większych informacji o treści utworu. Można sądzić, że żaden z badaczy sam nie przeczytał „Walerii”. Jedynie Wacław Borowy streszcza (niezbyt szeroko) tę powieść, jednak drobne niezgodności streszczenia z oryginałem sugerują, że autor również poznał przebieg akcji z jakiegoś innego opisu, a nie z oryginału<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> W. Borowy, *O poezji Mickiewicza*, Lublin 1999, s. 152-155. Nieścisłości w streszczeniu dotyczą drobnych szczegółów, ale podaje to w wątpliwość znajomość utworu przez Borowego. Napisano między innymi, że hrabia jest ambasadorem Szwecji i że zatrudnia Gustawa w ambasadzie jako sekretarza. Nigdzie w *Walerii* nie ma takiej informacji podanej wprost – wiemy jedynie, że Gustaw robi karierę dypl-

Zresztą „Walerię” wcale nie tak łatwo przeczytać. Co prawda powieść tę przetłumaczono na polski i wydano w naszym języku w 1822 roku, ale od tamtego czasu przekład jest niedostępny, egzemplarze zaginęły. Co ciekawe, za granicą „Waleria” nadal jest ogólnodostępna i na pewno niezapomniana. Zdumiewają cisza okrywająca temat tego romansu w naszym kraju albo lekceważące wzmianki. Jarosław Marek Rymkiewicz nazywa Madame de Krüdener grafomanką i dodaje, że problemy podjęte przez nią są niedobitnie sformułowane i mało istotne<sup>2</sup>. Czy możemy jednak podchodzić pogardliwie do książki, która wywarła tak duży wpływ na „Dziady” wileńsko-kowieńskie?

Borowy zarzuca powieści, że uwydatnia dużą subtelność psychologiczną i wdzięk przedstawienia obok pomysłowości niesmacznej i jaskrawego sentymentalizmu<sup>3</sup>. Rzeczywiście, rozbuchana uczuciowość, egzaltacja i zawiłość stylu mogą dzisiaj drażnić, zwłaszcza że sentymentalizm od dawna uważa się za śmieszny, a nie za wzruszający. Trzeba jednak pamiętać, że na początku XIX wieku ten styl pisania miał zupełnie inny odbiór. *Ta egzaltacja, która jest w „Walerii”, musiała wtedy mieć swoją siłę i oddziaływać na czytelników* – przyznaje Rymkiewicz<sup>4</sup>. Mickiewicz musiał uważać Madame de Krüdener za dobrą pisarkę, skoro odwołuje się do jej dzieła i czerpie z wielu jej pomysłów. Trzeba też zwrócić uwagę, że język francuski, w którym powieść powstała, znacznie lepiej niż język polski odpowiada sentymentalnemu stylowi i zawiłym metaforom. Słowa, które po francusku brzmią naturalnie, po polsku często brzmią śmiesznie i egzaltowanie.

\* \* \*

„Waleria” to powieść epistolarna. Pierwsze skojarzenia prowadzą do „Cierpień młodego Wertera”, wydanych zresztą w przekła-

---

matyczną, a hrabia ma duże wpływy i zajmuje się sprawami publicznymi, ale na pewno nigdzie nie są określone ich stanowiska; możemy się ich jedynie domyślać.

<sup>2</sup> A. Poprawa, J.M. Rymkiewicz, *Mickiewicz czyli wszystko*, Warszawa 1994, s. 86-87.

<sup>3</sup> W. Borowy, dz. cyt.

<sup>4</sup> A. Poprawa, J.M. Rymkiewicz, dz. cyt.

dzie Kazimierza Brodzińskiego w tym samym – 1822 roku. Podobny jest styl obu powieści, pełen uczucia i wrażliwości, oraz – oczywiście – motyw czułej korespondencji. Główny bohater pisze listy do najlepszego przyjaciela, Ernesta, i tak samo jak Werter zwraca się do niego z ogromną tkliwością. Madame de Krüdener wydaje „Valérie” w 1803 roku, gdy romantyzm dopiero zaczyna się formować. Jednak sentymentalizm tego romansu to pozór, podobnie jak w „Cierpieniach...” – miłość i jej skutki okażą się znacznie poważniejsze niż w prostych sentymentalnych powieściach.

Forma powieści epistolarnej posłużyła autorce do nadania całej historii rysu autentyczności (to ówczesnie częsty zabieg literacki): *Historia młodego Szweda została mi opowiedziana przez tę samą osobę, która była niewinną przyczyną jego nieszczęścia. Dostałam kilka urywków pisanych przez niego samego. (...) Po kilku latach dostałam pozwolenie na opublikowanie ich. Zmieniłam imiona, miejsce i czas. Uzupełniłam luki, dodałam szczegóły, które wydały mi się konieczne; ale, mogę rzec z całą prawdziwością, być może nie udało mi się pokazać wszystkich cnót Gustawa, chociaż byłam daleka od upiększania jego charakteru. (...) Starałam się oddać prosty i uczuciowy język Gustawa*<sup>5</sup>. Madame de Krüdener występuje więc jako rekonstruktorka prawdziwej historii.

Główny bohater „Walerii” nazywa się Gustaw. Nawiązanie do tego utworu w „Dziadach” jest oczywiste<sup>6</sup>. Mickiewicz daje do zrozumienia, że ci dwaj bohaterowie – dwaj Gustawowie – będą mieli ze sobą wiele wspólnego. Kim więc jest Gustaw, któremu poświęcono „Walerię”?

W pierwszym liście Gustaw relacjonuje początki podróży po krajach europejskich, w którą wyrusza wraz z hrabią i jego młodą żoną, Walerią. Stosunek bohatera do tego małżeństwa jest skomplikowany. Hrabia to stary przyjaciel nieżyjącego ojca Gustawa; postanowił więc zaopiekować się synem zmarłego. Gustaw pisze

---

<sup>5</sup> Wszystkie tłumaczenia dokonane przez autorkę tego artykułu na podstawie wydania: Madame de Krüdener, *Valerie*, 1878.

<sup>6</sup> W. Borowy, dz. cyt.

o hrabim: *Podoba mu się myśl, że już się nie rozdzielimy, że będzie mógł mnie wprowadzić w tę nową karierę (...) i że będzie mógł, dokańczając mojej edukacji, wypełnić świętą powinność, której się podjął, i mnie adoptować. Co za przyjaciel, Erneście, co za drugi ojciec! Co za wspaniały człowiek! To przyłączenie do nowej rodziny miało rozpocząć karierę Gustawa. Wraz z początkiem wojaży główny bohater poznaje też Walerię, która to właśnie ma się stać ową niewinną przyczyną jego nieszczęść. Jednak miłość do niej nie jest miłością od pierwszego wejrzenia. Gustaw zauważa: Ona wygląda na dziecko! Jest bardzo żywa, ale jej dobroć jest ogromna.*

Bohater podkreśla też miłość i dopasowanie małżonków: *Waleria wydaje się bardzo kochać swojego męża; nie dziwi mnie to. Chociaż jest między nimi duża różnica wieku, nigdy się o tym nie myśli. Gustaw będzie więc podróżował z małżeństwem, które przedstawia wszelkie cnoty i darzy się wzajemną miłością. Wspomniana różnica wieku rzeczywiście jest duża – dowiadujemy się później, że hrabia ma trzydzieści siedem lat, a jego żona zaledwie szesnaście. Gustaw zaś, który ma być dla nich jak syn, jest dwudziestolatkiem. Bliżej mu więc wiekowo do Walerii, którą zresztą – według życzenia małżonków – traktuje jak siostrę, a nie jak przybraną matkę. Cała trójka podróżuje przez Niemcy, Austrię i Włochy, a w ostatnim kraju zatrzymuje się na dłużej. Gustaw już po krótkiej znajomości z Walerią zakochuje się w niej, a jego nieszczęśliwa miłość z czasem się nasila. Obserwujemy wszystkie stadia tego uczucia, w których możemy znaleźć motywy powtórzone później w „Dziadach”.*

W pierwszej części „Dziadów” Dziewica, która wygłosi monolog, czyta romans „Valérie” i zachwyca się idealną miłością Gustawa oraz marzy o takim uczuciu:

*Twórca mi dał to serce, choć w codziennym tłumie  
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie,  
Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,  
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnymi lata!  
O, gdybyśmy dzielące rozerwawszy chmury,*

*Choć przed zgonem tęsknymi spotkali się pióry,  
Lub słowem tylko; wzrokiem, – dosyć jednej chwili;  
Dosyć, by się dowiedzieć tylko, żeśmy żyli<sup>7</sup>.*

Brzmi to podobnie do myśli i nadziei Gustawa z początku powieści, kiedy jeszcze nie był zakochany. Czy ja nigdy nie będę kochany? Czy nigdy nie zobaczę spełnienia się tych palących (...) pragnień? Czy kiedykolwiek będę mógł dać szczęście, które zdołam odczuć? Zarówno Gustaw, jak i Dziewica mają przy tym przeświadczenie o wyjątkowości swojego odczuwania, o wrażliwości innej niż u większości osób. Dziewica mówi, że nikt nie rozumie jej serca, ale wierzy, że znajdzie jeszcze idealnego wybranka, który będzie czuł tak samo jak ona. Gustaw dodaje w ostatnich słowach listu: *Żeby narodziły się te głębokie emocje, które przychodzą z nieba, trzeba znaleźć na ziemi takie dusze żarliwe i rzadkie, które otrzymały słodką i być może zgubną moc kochania jak ja.* Osobom o wyjątkowej wrażliwości trudno odnaleźć bratnią duszę. Tym mocniejsze pragnienie uczucia i tęsknota za znalezieniem właściwej osoby. Gustaw z „Dziadów” również będzie się odznaczał takim niezwykłym odczuwaniem.

\* \* \*

Gustaw z powieści szybko przekonuje się, że taka wrażliwość serca może się okazać zgubna. Im lepiej poznaje Walerię, tym bardziej zachwyca się jej charakterem, cnotami i pięknnością. Jednak nie dopuszcza do siebie żadnej myśli o głębszym uczuciu – aż do dnia, w którym razem czytają poezję poświęconą miłości Amelii i Volnisa. W wierszu jest mowa o *czarnych oczach pełnych ognia*. Gustaw dokładnie opisuje moment, kiedy nagle zdaje sobie sprawę ze swoich uczuć: *Uśmiechnęła się i patrząc na mnie powiedziała: „Wie pan, że to pana bardzo przypomina?”. Zaczerwieniłem się z zakłopotania i pomyślałem: „Ach, gdyby pani była moją Amelią!”. Ale nagle poczułem wyrzuty sumienia za tę zbrodni-*

---

<sup>7</sup> Wszystkie cytaty z *Dziadów* na podstawie: A. Mickiewicz, *Dziady* [w:] tegoż, *Dzieła*, Warszawa 1995, t. 3.

czą myśl; taką właśnie była. Przerażony Gustaw w pośpiechu odchodzi od Walerii i stara się odkryć, co właściwie się stało z jego uczuciami. Machinalnie zrywa polny kwiatek i zaczyna sobie wróżyć. Powiedziałem sobie: „Jak Waleria mnie kocha?”. Odrywałem płatki jeden po drugim i na ostatni wypadło: „Wcale”. Uwierzysz w to? Zasmuciłem się. Chciałem też się dowiedzieć, jak ja kocham Walerię. Ach, wiedziałem to dobrze! Ale przeraziłem się, gdy zamiast „Bardzo” wyszło „NAMIĘTNIE”. Erneście, sądzę, że zbladłem. Zacząłem wróżyć od początku i jeszcze raz płatki powiedziały: „NAMIĘTNIE”. Wróżba z kwiatków, jakkolwiek może wydać się banalna, odsłania dwie rzeczy.

Po pierwsze, Waleria nie jest zakochana w Gustawie. Bohaterka traktuje go cały czas jak brata. Takie odkrycie może być zdumiewające – oczekujemy wielkiej historii miłosnej, a tymczasem już na początku powieści dowiadujemy się, że główna bohaterka, obiekt wielkich uczuć, wcale ich nie odwzajemnia. Rzuca to też inne światło na wypowiedź Dziewicy z pierwszej części „Dziadów”.

*Waleryjo! ty przecież spomiędzy ziemianek  
Zazdrości godna! Ciebie ubóstwiał kochanek,  
O którym inna próżno całe życie marzy,  
Którego rysów szuka w każdej nowej twarzy (...)*

Dziewica czyta „Walerię”, a więc na pewno dokładnie wie, że miłość Gustawa jest jednostronna, a jednak zazdrości bohaterce. Czego więc tak naprawdę pragnie? Czy rzeczywiście chodzi o doświadczenie miłości, czy też może o chęć wywierania tak dużego wpływu na innych? Przecież jeżeli Dziewica będzie dla kogoś tym, kim była Waleria dla Gustawa, sama nie odkryje w sobie miłości. Mało tego, ledwie będzie mogła domyślać się uczuć drugiej osoby. Znacząco to odbiega od popularnego ideału miłości, w którym obie strony doświadczają wielkich uczuć, a jeżeli są nieszczęśliwe, to ze względu na jakieś inne czynniki. W „Dziadach” przeszkodą są względy majątkowe, w „Cierpieniach młodego Wertera” małżeństwo Lotty, jednak bohaterki obu tych dzieł na pewnym etapie kochają swoich wielbicieli. W „Walerii” natomiast wszystkie uczucia

i nieszczęścia związane z nimi dotyczą tylko Gustawa. Wypowiedź Dziewicy stawia ją w nie najlepszym świetle – pragnienie tak silnego i tragicznego wpływu na czyjeś życie, bez żadnych konsekwencji dla siebie samej, zdaje się egoistyczne.

Druga rzecz to przerażenie Gustawa po odkryciu swojej miłości. Kwestia moralności uczuć jest tutaj zupełnie inaczej przedstawiona niż u późniejszych romantyków, którzy uważali, że żadna miłość nie jest niemoralna. W czwartej części „Dziadów” Pustelnik mówi do Księdza:

*Grzechy? i proszę, jakież moje grzechy?  
Czyliż niewinna miłość wiecznej godna męki?  
Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki.  
On dusze obie łańcuchem uroku  
Powiązał na wieki z sobą!*

Można wnioskować, że każda miłość pochodzi od Boga, a więc każda jest dobra i bezgrzeszna. To ludzie przez brak poszanowania dla bożego porządku niszczą miłość, zakazy społeczne sprawiają, że staje się ona niemoralna. Małżeństwo dla pieniędzy powinno być większym grzechem niż uczucie do kobiety zamężnej, ponieważ poświęcanie uczucia dla interesu jest wystąpieniem przeciw zamierzeniu Boga, który na wieki połączył miłością dwie dusze. Takie małżeństwo oznacza też śmierć miłości i duchową śmierć osoby, która wchodzi w taki związek. Pustelnik mówi o swojej ukochanej jak o zmarłej:

*Nie wierz, choćby ci szyderce  
Po tysiąc razy mówili:  
Słuchaj, co mówi to serce:  
Nie masz, nie masz Maryli!*

Maryla popełnia śmiertelny grzech, kiedy odrzuca prawdziwą miłość dla bogactw drugiego kandydata.

Natomiast Gustaw z powieści z całą bolesnością odczuwa niestosowność swojego uczucia. Nie tylko jest skrępowany względami

religijnymi czy społecznymi, ale przede wszystkim wiąza go uczucia do hrabiego. Bohater kocha opiekuna jak ojca. Mało tego, w obliczu zaadoptowania Gustawa przez hrabiego miłość do Walerii ma rys kazirodztwa. Samą myśl o tym Gustaw uważa za zbrodniczą.

Gustaw nie wyznaje uczuć Walerii, a także bardzo dba, żeby się niczego nie domyśliła. Jednak nie może całkiem ukryć miłości. Przez cały czas ich wspólnych podróży we wszystkim jej pomaga, jest na każde jej zawołanie. Gustaw z zadowoleniem relacjonuje Ernestowi: *Jest tak pewna, że nic, czego zażąda, nie spotka się z mojej strony z odmową, że nie pyta „Czy mógłby pan ze mną pojechać?”, ale mówi „Prawda, Gustawie, że pojedzie pan ze mną?”*. Waleria również jest przywiązana do głównego bohatera. Darzy go przyjaźnią i zaufaniem. Domyśla się, że Gustaw cierpi z miłości, nie przychodzi jej jedynie do głowy, że to ona jest tego przyczyną. Stara się nawet wydobyć z niego zwierzenia i ulżyć nieco w zmartwieniu. Gustaw kłamie, że zakochał się w pięknej Szwedce, która została w kraju i która nigdy go nie pokocha, ponieważ jest już zamężna. Widzimy, że wersja bohatera nie jest całkiem zmyślona<sup>8</sup>, wszystko zgadza się z rzeczywistością oprócz miejsca przebywania ukochanej. Waleria prawie do samego końca nie ma pewności co do uczuć przyjaciela. W pewnych sytuacjach aż dziwne, że bohaterka niczego się nie domyśliła, ale Gustaw tłumaczy to sobie prosto: Waleria jest zbyt dobra i czysta. Bohater kilkakrotnie błogosławi tę dobrą naiwność, a jednocześnie często skarży się na niebezpieczną rodzinność, która cechuje ich stosunki.

Mimo że Gustaw nie zamierza wyznać Walerii miłości ani ubiegać się o jej względy, cały czas dręczy go przecucie, że stanowiliby idealną parę. *Żyłem w tym samym kraju, w tej samej prowincji; moje nazwisko, mój wiek, mój majątek, wszystko mnie do niej przybliżało; co mnie odsunęło od odkrycia tego niezmiernego szczęścia?* Podobny żal wyraża bohater „Dziadów”:

*O nie! nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu,  
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu,*

---

<sup>8</sup> Waleria też jest Szwedką.



*Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekim,  
Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem,  
Ten sam powab we wszystkim, toż samo niechcenie,  
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie.  
Gdy nas wszędzie tożsamość łączy niedościgła,  
Bóg osnuł przyszłe węzły, a tyś je rozstrzygła!*

Obaj bohaterowie czują, że pasują idealnie do swoich ukochanych. Wszystko wydaje się przygotowane na ich połączenie: wiek, majątek, wrażliwość, wreszcie braterstwo dusz. W „Dziadach” pojawia się nawet pomieszanie przeznaczenia z wolą Boga. Te dwie teorie uzupełniają się – Bóg dał ludziom wszystko, żeby mogli razem być szczęśliwi, zesłał na nich w końcu miłość, ale zostawił im też wolną wolę. I ta ostatnia zaważyła niszcząco na losach miłości – Maryla odrzuca Gustawa. W „Walerii” natomiast główny bohater przede wszystkim głęboko odczuwa straconą szansę na szczęście. Ma niemiłe wrażenie, że przeoczył moment, w którym mógłby zdobyć ukochaną; że gdyby poznał ją wcześniej niż hrabia, udałooby mu się ją dostać za żonę.

\* \* \*

W „Dziadach” i w „Walerii” uwidocznia się ta sama gwałtowność odczuwania, która przeradza się niemal w szaleństwo. W dramacie Mickiewicza obłęd bierze się z bólu po odrzuceniu, który odczuwa człowiek o wielkiej wrażliwości. Pustelnik ma cechy szaleńca – dziwnie wygląda, chodzi w łachmanach, mówi niezrozumiale.

W „Walerii” szaleństwo głównego bohatera nie jest stanem stałym. Ujawnia się, kiedy obok niezmiernej miłości zaczynają się też pojawiać silne negatywne emocje. Gustaw przez większą część akcji postrzega swoją miłość jako coś wstydliwego i zbrodniczego. Z czasem jednak ukryta miłość przeradza się w obsesję, a następnie w szaleństwo. Obsesja Gustawa zaczyna się wraz z odłączeniem od Walerii. Główny bohater postanawia zostać w Wenecji, podczas gdy małżonkowie zamierzają zwiedzać resztę Włoch. Jednak samotność nie pomaga, a tęsknota jedynie wzmacnia uczucie do Walerii. Największą obsesją Gustawa staje się portret ukochanej,

przysłany przez małżonków z podróży. Podobieństwo wizerunku jest niezwykle, a Gustaw spędza przed nim bardzo dużo czasu. *Każdego ranka odwiedzam obraz; napętniam się słodkim podziwem; odnajduję Walerię. (...) Kilka razy zdarzyło mi się do niego mówić, zdawać sprawę z tego, co robiłem.* Bohater traktuje obraz ukochanej jak ją samą – rozmawia z nim, opowiada o swoich zajęciach, wpatruje się w niego z uwielbieniem. Gustaw znajduje także żywy odpowiednik Walerii – poznaje piękną Włoszkę, która z urody i głosu przypomina ukochaną. Bohater często ją odwiedza, prosi, żeby mu śpiewała te same pieśni, które kiedyś słyszał od Walerii, a nawet obdarowuje ją przedmiotami, które mają jeszcze bardziej upodobnić obie kobiety; kupuje Biance kosztowny szal – taki sam, jaki miała Waleria. Młodzieniec zachowuje się wobec Bianki jak adorator, chociaż zależy mu tylko na jej fizycznym podobieństwie do prawdziwej ukochanej. Taka obsesja przypomina nam manię bohatera „Dziadów”, który także przywiązuje się do obrazu Maryli i uważa go niemal za żywy.

*Ale tak, przypominam... tak, jednego razu,  
Kiedy przez czarodziejski pędzla wynałazek  
Odkradzione jej wdzięki przeniosłem w obrazek (...).  
Ach! ja tak ją na martwym ubóstwiał obrazku,  
Że nie śmiem licem skazić jej bezbronnych ustek,  
I gdy dobranoc daję przy księżycu blasku  
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,  
Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,  
Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię.*

Mickiewiczowski bohater może nie tylko rozmawiać z obrazem, lecz także zachowywać się w jego obecności jak w prawdziwym towarzystwie.

Pytanie, jak w ogóle rozumieć szaleństwo, kiedy mowa o bohaterze romantycznym. Gustaw z romansu, ze względu na swoją niestęchaną wrażliwość odczuwania, jest postawiony ponad normami, które można stosować wobec zwykłych ludzi. On sam pisze: *Ludzie nazywają romantycznymi te dusze bardziej uzdolnione,*

które chcą żyć tylko tym, co przynosi zaszczyt życiu, a którym uniesienie nie wydaje się niebezpieczną gorączką, lecz odkryciem uczynionym najbardziej wyróżnionym duszom. Z takiego punktu widzenia wszystko, co u bohatera romantycznego odbiega od normalnego zachowania, wynika z objawionej mu mądrości, a nie z szaleństwa. Jednak sam Gustaw niektóre swoje zachowania uważa za obłądne.

W „Walerii” prawdziwe szaleństwo Gustawa zaczyna się, kiedy małżonkowie wracają z podróży. Żal, dotychczas tłumiony, zmienia się w gwałtowne poczucie niesprawiedliwości i nienawiść. Gustaw boi się, że w końcu wyzna Walerii prawdę. W związku z tym nie chce też z nią zbyt długo przebywać, co dziwi małżonków. Pierwszy wybuch emocji następuje, kiedy Waleria postanawia wypłynąć do portu na spotkanie mężowi, który wyjechał na kilka dni w sprawach publicznych. Kobieta wypływa do weneckiego portu, chociaż morze jest wzburzone. Gustaw oczywiście jej towarzyszy. Hrabia przypływa szczęśliwie i wszyscy razem wracają do domu. Gustaw jest wściekły na hrabiego, że ten za mało zajmuje się swoją żoną, że mówi tylko o swojej podróży i nie zwraca uwagi na Walerię, która nadal boi się wzburzonego morza. Píše z oburzeniem: *Hrabia, zajęty sprawami publicznymi, tylko przez moment zajął się Walerią: uspokoił ją, powiedział jej że jest dzieckiem i że ludzie nie pamiętają przypadku, żeby barka zatонуła w lagunie. A w tym czasie ona była przy jego piersi, oddychał jej tchnieniem, jej serce biło koło jego, a on pozostał zimny, zimny niczym kamień! Ta myśl wywołała u mnie taką złość, że nie potrafię jej opisać. (...) Ja za jedną jej pieszczotę oddałbym całą krew, a on nie czuje swojego szczęścia!* Gustaw nie tylko jest chory z zazdrości, lecz także po raz pierwszy tak myśli o swoim opiekuń. Do tego czasu zawsze uważał hrabiego za najszlachetniejszego z ludzi, któremu szczęście się jasno należy. Teraz hrabia okazuje się niewdzięcznikiem. Jednocześnie w głębi serca Gustaw czuje wyrzuty sumienia: *Oto, Erneście, złe myśli, które robią ze mnie najnędnieszego, najbardziej zbrodniczego człowieka na świecie!*

Główny bohater męczy się tak całą drogę i coraz gorsze myśli przychodzą mu do głowy; zdaje się nie panować nad sobą. Po

dotarciu na brzeg przypadkiem rani sobie rękę o gałąź i mówi: *Z rozkoszą zobaczyłem kolor mojej krwi na rękach*. Kontrast między takimi myślami a dawną postawą Gustawa, pełną spokoju i pokory, jest ogromny – nagle pojawiają się symptomy szaleństwa. Jednak, jak wspomniałam, Gustaw nie wariuje naprawdę. Jest to raczej stan przejściowy, który następuje, kiedy najsilniejsze emocje biorą górę nad rozsądkiem. Takie szaleństwo nagle się pojawia i równie szybko przechodzi; łączy się też ze złym stanem zdrowia. W kolejnym liście Gustaw się usprawiedliwia: *Byłem chory, Erneście, od czasu mojego ostatniego listu. Mogłeś zobaczyć, jak bardzo mój umysł był nadwyrężony*. Bohater przyrównuje też to chwilowe szaleństwo do błędzenia bez celu i bez odpoczynku; męczą go też wyrzuty sumienia w stosunku do hrabiego. Gustawa zaczyna dręczyć choroba (nie wiemy, jaka konkretnie; można przypuszczać, że gruźlica). Nie podano żadnych szczególnych okoliczności, które wpłynęłyby niszcząco na zdrowie bohatera. Za to kilkakrotnie Gustaw porównuje swoje uczucia do choroby, nie mniej męczącej niż fizyczna słabość. Po jakimś czasie te dwa pojęcia łączą się ze sobą. Gustaw choruje śmiertelnie na miłość.

Gustaw postanawia wyjechać do Pizy na kurację. Chce w ten sposób raz na zawsze wyleczyć się z choroby ciała i choroby serca. Tego *straszego wieczoru* Gustaw zostaje sam na sam z ukochaną i mówi jej o zamiarze wyjazdu<sup>9</sup>. Waleria prosi przyjaciela, żeby nie wyjeżdżał lub przynajmniej odłożył wyjazd na później. Po odpowiedzi Gustawa Waleria może naprawdę zacząć coś podejrzewać. Wcześniej głównemu bohaterowi też wymykały się nierozważne słowa, ale nigdy nie były aż tak mocne i zawsze dało się je usprawiedliwić bliskimi stosunkami rodzinnymi; teraz jednak Gustaw wypowiada się gorzko i z rozpaczą. *„Proszę nie wyjeżdżać, Gustawie, jest pan zbyt chory żeby być samotnym. Potrzebuje pan przyjaźni, a gdzie pan jej znajdzie więcej, niż tutaj?”* (...). *Spojrzałem na nią. „Gdyby wiedziała pani, jak bardzo jestem nie-*

---

<sup>9</sup> W czwartej części *Dziadów* Pustelnik wspomina rozmowę z ukochaną: „Jutro, rzekłem, jutro jadę!”.

szczęśliwy, jak bardzo jestem winny – powiedziałem niskim głosem – nie zachęcałaby mnie pani do zostania”. Po raz pierwszy zobaczyłem w jej oczach zakłopotanie, wydawało mi się, że się zaczerwieniła. „Wobec tego proszę jechać – powiedziała zduszonym głosem – ale niech pan opanuje samego siebie, wygna mrok ze swojej duszy. (...) Proszę wracać szybko, Gustawie, żeby cieszyć się szczęściem (...)”. „Szczęście – powiedziałem – nie może już istnieć dla mnie”. Po tak rozpoczętej rozmowie Gustaw jest coraz bardziej wzburzony, a Waleria przestraszona. Wreszcie w kulminacyjnym punkcie złości bohater tak mocno przyciska głowę do framugi okna, że krew pojawia się na jego czole. Gustaw mdleje ze wzburzenia i z bólu. Jest bliski wyznania ukochanej swoich uczuć, ale Waleria, być może domyślająca się prawdy, zabrania mu mówić czegokolwiek. W końcu żegnają się, a Gustaw postanawia wyjechać jeszcze tej samej nocy.

Gustaw opuszcza ukochaną i wszystko, do czego był przywiązany. Wydaje się, że samobójstwo jest nieuniknione. Tutaj jednak postawa Gustawa znacznie różni się od postawy innych bohaterów romantycznych. *Nie bój się, Erneście, nigdy nie targnę się na własne życie. (...) Nie będę oskarżał Nieba o moje nieszczęścia, jak robi tylu do mnie podobnych. (...) Będę cierpiał, ale usnę niedługo. Pośpieszę na głos Nieskończonego, obciążony wieloma błędami, ale nie naznaczony winą samobójstwa.*

Werter, najstynniejszy wzór romantycznego kochanka, strzela sobie w głowę. Pustelnik z „Dziadów”, chociaż do końca nie wiemy, czy jest żywy czy umarły, przychodzi do domu Księdza prawdopodobnie jako duch, już po swoim samobójstwie. Mało tego, na wspomnienie swoich cierpień nawet chce się przebić jeszcze raz sztyletem.

#### PUSTELNIK

*Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem,  
Chyba śmiercią bole się ukoją;  
Jeślim płochym obraził zapalem,  
Tę obrazę krwią okupię moją.  
(dobywa sztylet)*

## KSIĄDZ

(wstrzymuje)

*Co to ma znaczyć?... szalony! czy można?*

*Odbierzcie mu żelazo, rozdejmijcie pięście.*

*Jesteś ty chrześcijanin? taka myśl bezbożna!*

*Znasz ty Ewangelię?*

## PUSTELNIK

*A znasz ty nieszczęście?*

W „Dziadach” samobójstwo naturalnie wynika z nieszczęścia, jest niemal usprawiedliwione i zrozumiałe dla każdego, kto cierpiał tak jak Pustelnik. Religia nie może go pocieszyć, nie wyjaśnia nieszczęść ani nie obdarza bohatera siłą wytrwania. Natomiast w „Walerii” główny bohater, do którego Mickiewicz nawiązywał w swoim dramacie, nie tylko jest daleki od samobójstwa, ale wręcz potępia je jako największy grzech i obrazę boską. Gustaw podkreśla, że życie jest darem od Boga i kładzie nacisk na szczególną rolę religii w znoszeniu ziemskich cierpień. Dziękuje rodzicom: *Błogosławię was za to, że wyrzyliście w moim sercu święte przykazania religii, które szczęście kazało mi umiłować, które nieszczęście sprawiło jeszcze bardziej niezbędnymi, które dają mi odwagę, żeby cierpieć.* Dla Gustawa z romansu samobójstwo jest nie tylko występkiem, lecz również tchórzostwem. Mimo śmiertelnej choroby, mimo nieszczęśliwej miłości – Gustaw czuje wstręt do samobójstwa i zamiast niego wybiera wyjazd.

\* \* \*

Podróż Gustawa jest samotna. Bohater zmienia pierwotny zamiar i nie jedzie do uzdrowiska w Pizie, zamiast tego wybiera się w góry. Najpierw zatrzymuje się w klasztorze położonym z dala od ludzi. Spędza tam jakiś czas, czyta żywoty świętych. Opisano tam życie świętego mnicha: *Nie lubił życia, ale nie wzywał śmierci.* Gustawa ten fragment podnosi na duchu.

Bohater przestaje wysyłać listy do Ernesta, prowadzi jedynie dziennik w formie listów, który potem ma zostać przesłany przyja-

cielowi. Gustaw zamieszkuje mały domek na pustelni i nie zamierza już nigdy stamtąd odchodzić. W końcu spływa na niego spokój. Jest całkiem świadomy, że musi umrzeć i że umiera z miłości: *Prze-czytają nieszczęście na mojej twarzy. Moja młodość, zmieniona, popsuta przez cierpienie, powie: Oto, co sprawia miłość! Nagłe pogodzenie się z losem jest u Gustawa niezwykle. Wydaje się, że kiedy przekonał się o nieuleczalności choroby, jego szaleńcze emocje odeszły, a pozostała czysta miłość. Borowy w swoim streszczeniu pisze, że Gustaw przed śmiercią ma jeszcze ataki obłądu<sup>10</sup>. To jednak nie do końca prawda – bohatera nie nękają już szaleństwa związane z silnymi emocjami. Jego dziwne zachowania są raczej majaczeniem w gorączce, a nie utratą panowania nad uczuciami<sup>11</sup>.*

Nie należy przypuszczać, że przyjaciele zostawili Gustawa samemu sobie. Późniejsza korespondencja obejmuje listy między Ernestem a hrabią. Przyjaciół Gustawa, zmartwiony długim brakiem wiadomości, alarmuje hrabiego. Z kolei hrabia, dotąd przekonany, że Gustaw przebywa w uzdrowisku, natychmiast wyrusza na poszukiwanie przybranego syna. Przed wyjazdem rozmawia jednak na ten temat z Walerią, która wyjawia swoje przeczucia, że Gustaw zachorował z miłości, i na dodatek może z miłości do niej: *On mi zawsze powtarzał, że kochał pewną Szwedkę. (...) Milczenie jest zbrodnią, jeżeli może być tak niebezpieczne. Mój przyjacielu, sądzę, że to ja mogłam być niewinną i nieszczęśliwą przyczyną stanu Gustawa. Nie mam pewności, ale tak przypuszczam. W końcu hrabia odnajduje Gustawa, który jest już wycieńczony chorobą. Hrabia po jakimś czasie mówi mu, że wie o jego uczuciu do Walerii i zapewnia, że nie ma o to żalu. Przynosi to ulgę Gustawowi: *Jak to! Pan mi przebacza! Umrę spokojny. Młodzieniec pisze wzruszające pożegnalne listy do swoich bliskich i Ernesta, ale najważniejszy list kieruje do Walerii. Po raz pierwszy wyznaje jej**

---

<sup>10</sup> W. Borowy, dz. cyt.

<sup>11</sup> W pewnej scenie Gustaw nocą wychodzi do ogrodu i mimo niskiej temperatury zanurza głowę w lodowatej fontannie. Kiedy już zostaje odnaleziony i zaprowadzony do pokoju, odzyskuje jasność myślenia i nie może sobie nic przypomnieć ze swojego wyjścia; jednak nie ma tu mowy o żadnym szczególnym wzruszeniu czy o obłądzie.

jasno wielką miłość i to, że teraz dla niej umiera. Dodaje jednak, że nie żałuje tego uczucia, że było to najlepsze, co mu się przytrafiło. *Żegnaj, moja Walerio. Jesteś moja, przez całą wszechmocność tego uczucia, którego nikt nie doświadczył tak jak ja. (...) Życie oboje szczęśliwi; umieram, kochając was.* Jedynym życzeniem umierającego Gustawa jest to, żeby Waleria wiedziała, że on umiera dla niej. Hrabia lituje się nad nim i zapewnia, że jego żona domyśliła się wszystkiego.

Opis ostatnich dni głównego bohatera jest niewspółmiernie długi do całości utworu – stanowi około jednej piątej powieści<sup>12</sup>. Widać tu pewne podobieństwo do realizacji średniowiecznego toposu dobrej śmierci. Podobne są konanie bohatera i konanie owego świętego mnicha. Gustaw ostatnie dni życia spędza w szczęściu i spokoju. Żegna się listownie z przyjaciółmi, ma czas na wybór miejsca swojego grobu. Prosi też hrabiego, żeby swojego pierwszego syna nazwał jego imieniem, żeby choć w ten sposób mógł być blisko Walerii. Gustaw umiera, patrząc na wschód słońca. Jego śmierć jest śmiercią świętego. Warto też zwrócić uwagę na małe motywy, który potem powtórzy się w trzeciej części „Dziadów” – w chwili śmierci bohatera jego zegarek zatrzymuje się. W dziele Mickiewicza zatrzymanie się zegarka to przepowiednia śmierci:

DOKTOR

*Co, już piąta? – ledwie oczom wierzę.*

*Mój indeks na dwunastej, na samym numerze*

*Stanął i na dwunastej sam indeksu nosek;*

*Żeby choć o sekundę ruszył, choć o włos!*

KS. PIOTR

*Bracie, i twój już zegar stanął i nie ruszy*

*Do drugiego południa. – Bracie, myśl o duszy.*

Wczesną śmierć główny bohater postrzega jako wielkie szczęście – mówi hrabiemu: *Umieram młodo, zawsze tego pragnąłem;*

---

<sup>12</sup> Tamże.



umieram młodo, a dużo już przeżyłem. Mój ojciec, czy nie sądzisz, że na tej przestrzeni dwudziestu dwóch lat były mi dane godziny i dni warte długiej egzystencji? Takie pragnienie śmierci wydaje się niepokojące, Gustaw najwyraźniej uważa, że swoimi dotychczasowymi doświadczeniami wyczerpał już treści swojego życia. Taka myśl jest zbieżna z wypowiedzą Starca z pierwszej części „Dziadów”:

*Boże! Coś mi rozkazał spełnić kielich życia  
I zbyt wielki, zbyt gorzki dałeś mi do picia,  
Jeśli względów twojego miłosierdzia godna  
Cierpliwość, z którą gorycz wychyliłem do dna,  
Jedynę, lecz największą śmiem żądać nagrody:  
Pobłogosław wnukowi – niechaj umrze młody.*

Określenia *zbyt wielki*, *zbyt gorzki* pokazują, że długie życie jest dla Starca udręką, którą trzeba znosić z woli Boga. Odejście w młodym wieku staje się zaś największą łaską.

\* \* \*

W papierach Gustawa znajduje się dziennik jego matki, gdzie pojawia się wyjaśnienie wielkiej uczuciowości bohatera. Matka opisuje swoją rozmowę z synem, który właśnie wrócił z samotnej wyprawy. *Wczoraj wrócił z jednego ze swoich samotnych spacerów. Zawołałam go. „Gustawie – powiedziałam – jesteś zbyt często sam”. „Nie, mam, nigdy nie byłem mniej samotny”. „Więc z kim przebywasz, synu, podczas twoich samotnych wycieczek?” (...). „Byłem z istotą idealną, uroczą. Nigdy jej nie widziałem, a widzę ją jednak. Moje serce bije, moje policzki płoną; (...) ona jest nieśmiała i młoda jak ja, ale jest dużo lepsza. Matka bohatera stara się zrozumieć syna, ale delikatnie zachęca go raczej do rzeczowego szukania dobrej żony niż do przebywania z ideałem. Piętnastoletni Gustaw dodaje: Jeden z naszych najbardziej zadziwiających ludzi, Swedenborg, wierzył, że istoty, które bardzo, bardzo się kochały tu na ziemi, odnajdują się po śmierci i tworzą razem jednego anioła. To piękna idea, nie sądzisz, mam?* Jak widzimy,

Gustaw, podobnie jak główny bohater „Dziadów”, poszukuje idealnej miłości. Swedenborg również twierdził, że pary małżeńskie są z góry przeznaczone sobie przez Boga i kiedy się spotkają, rozpoznają się nieomylnie<sup>13</sup>. Bohater będzie więc od wczesnej młodości poszukiwał idealnej miłości i idealnej kochanki. Niewątpliwie wpływają na to lektury – Gustaw czyta Swedenborga i Osjana, zachwyca się ujęciem istoty uczuć. Wszystko to będzie miało wpływ na bohatera „Dziadów”.

*Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki;  
Której na podłonecznym nie bywało świecie,  
Którą tylko na falach wyobraźnej pianki  
Wydęło tchnienie zapachu,  
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie.  
Lecz gdy w czasach tych zimnych nie ma ideału,  
Przez teraźniejszość w złote odleciałem wieki,  
Bujałem po zmyślonym od poetów niebie,  
Goniąc i błędząc, w błędach nieznużony goniec;  
Wreszcie, na próżno zbiegłszy kraj daleki,  
Spadam i już się rzucam w brudne uciech rzeki:  
Nim rzucę się, raz jeszcze spojrzę koło siebie!  
I znalazłem ją na koniec!  
Znalazłem ją blisko siebie,  
Znalazłem ją!... ażeby utracił na wieki!*

Lektury obu bohaterów różnią się – Gustaw z powieści Madame de Krüdener, zgodnie ze swoim północnym pochodzeniem, czyta tamtejszych autorów, a Pustelnik wspomina o „Cierpieniach młodego Wertera” i o „Nowej Heloizie”, najpopularniejszych wtedy na ziemiach polskich historiach miłosnych. Mimo różnic efekt jest ten sam – obaj bohaterowie pod wpływem literatury wytworzą w swojej wyobraźni wizerunek idealnego uczucia i idealnej ukochanej. W obu przypadkach starcie marzeń z rzeczywistością kończy się tragicznie. Ukochana Pustelnika nie zachowuje się jak

---

<sup>13</sup> W. Borowy, dz. cyt.

idealna heroina. Zamiast pozostać wierną miłości lub niechętnie wstępować w narzucone więzy małżeńskie, po prostu wybiera propozycję bogatszego adoratora. Waleria może z kolei służyć jako przykład idealnej kochanki, ale znalazła już miłość swojego życia i jest jej wierną.

Bohaterowie postrzegają też swoje ukochane jako spełnienie ideału, za którym gonią. Idealizacja sięga tak daleko, że obaj posuwają się niemal do bluźnierstwa. W „Walerii” tytułowa bohaterka zachodzi w ciążę i źle znosi ten stan. Kiedy dochodzi do porodu, Gustaw nie może opanować strachu i jak w obłąkaniu biega po całej Wenecji. W końcu wchodzi do pobliskiego kościoła, żeby modlić się o szczęśliwe rozwiązanie. Klęczy przed obrazem Najświętszej Panny: *Patrzyłem na Madonnę. Wydawało mi się, że niebiańskie spojrzenie, czyste jak nieboskłon, wzniosłe i czułe zarazem, spływało na moje serce. (...) To spojrzenie przypominało Walerię.* Główny bohater porównuje więc swoją ukochaną do Maryi. Takie zestawienie jest bluźniercze tym bardziej, że nie chodzi tylko o podobieństwo fizyczne, ale przede wszystkim o dobroć, którą da się wyczytać ze spojrzenia. Waleria będzie więc tak samo dobra i święta jak Madonna, najświętsza ze wszystkich kobiet świata. W pierwotnym tekście „Dziadów” również napotykamy na podobnie bluźniercze porównanie, jednak z listów autora wiemy, że zostało ono usunięte (wskutek nacisków Lelewela) przed wydaniem tekstu jako zbyt kontrowersyjne. W utworze Mickiewicza pojawia się porównanie Pierwszej Komunii Świętej do pierwszego pocałunku z ukochaną:

#### PUSTELNIK

*Przyjąc po raz pierwszy Ciało i Krew Pańską;  
Gdy w dziecinnego uniesieniu ducha  
Usteczka do stulonych przycisnęłaś dłoni  
Ku ziemi zgięła cię skrucha  
Łzę pokuty oko roni;  
a wtem się na ołtarzu rozdarły obsłonki,  
Błysnął kielich, dzwonią dzwonki  
I kapłan na twych ustach złożył Pańskie Ciało!*

KSIĄDZ

*Ach! natenczas mnie się zdało,*

*Że serce we mnie rozstanie!*

(...)

PUSTELNIK

*Zginąłem w niebie,*

*Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!*

KSIĄDZ

*Stój! Dosyć! Stój, dla Boga! nieszczęsny bluźnierca.*

*Panie! Daruj szaleństwu zranionego serca!*

Miłość w obu tych utworach jest podniesiona do rangi świętości. Mickiewicz niechętnie przystał na usunięcie obrazoburczego fragmentu, który ukazywał miłość romantyczną jako wykraczającą poza ramy ówczesnej moralności.

Wiele motywów z „Walerii” powtarza się w „Dziadach” – i ten romans zapomniany w Polsce uzupełnia charakterystykę romantycznej miłości i wzorca romantycznego kochanka. Utwór Madame de Krüdener wpisuje się w nurt literatury zapoczątkowany przez Goethego i Byrona, pokazuje miłość jako uczucie determinujące los ludzki, ale także niszczące.

Dzisiejsze zarzuty o sentymentalizm czy zbytnią egzaltację „Walerii” należy odrzucić, ponieważ w XIX wieku takie zabiegi literackie odpowiadały stylowi epoki oraz wywierały duży wpływ na ówczesnych czytelników – między innymi na Mickiewicza.

MARIA CIOSTEK, studentka Wydziału Polonistyki UW.

# Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało

---

*Z Andrzejem Sewerynem, aktorem, rozmawia Klaudia Iwanicka*

– Od dwóch lat jest pan dyrektorem warszawskiego Teatru Polskiego. Czterdzieści sześć lat temu, w marcu 1968 roku, kiedy siedział pan w areszcie śledczym na Rakowieckiej, przypuszczał pan, że tak się potoczy życie?

– Nie pamiętam, jakie miałem wtedy plany. Siedziałem dwa razy. Raz po demonstracji przeciwko zdjęciu „Dziadów” Dejmką w 1968 roku...

– Poszedł pan na tę demonstrację, bo...

– ...wydawało mi się to oczywiste. Niedawno Olgierd Łukasiewicz na spotkaniu poświęconym Halinie Mikołajskiej na pytanie, czy artysta jest osobą polityczną, powiedział, że zaangażowanie polityczne bierze się z serca, z umysłu, z wrażliwości. Jeśli ktoś dostaje w mordę, to człowiek się oburza i staje w jego obronie. Albo nie staje. Mnie wydawało się jasne, że należy protestować przeciwko zdjęciu „Dziadów”, tak samo jak przeciwko wejściu naszych i nie tylko naszych wojsk do Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku.

Poza tym byłem wychowankiem Jacka Kuronia, należałem do kręgu walterowskiego. Dzisiaj już wiem, kim był generał Walter, czyli Karol Świerczewski, i nawet mam pretensję, że wtedy mi tego wprost nie powiedziano. Ale tak czy inaczej, to krąg walterowski wychował mnie na społecznika, nauczył współodpowiedzialności nie tylko za swoje podwórko, lecz także tak zwyczajnie i po ludzku za to, co się dzieje w Polsce.

– *Czy miał pan wtedy jeszcze inne autorytety?*

– Jacek Kuroń miał na mnie bardzo duży wpływ i w pewnym sensie mnie ukształtował. Nasza znajomość trwała lata i to było dla mnie bardzo cenne. Dużą rolę odegrała też profesor Anna Radziwiłł, która uczyła mnie historii w liceum. Zdarzało się, że prześiadaliśmy u niej z Ryszardem Bugajem, Mirkiem Sawickim, Sewerynem Blumsztajnem, Krzysztofem Michalskim. Na pewno bardzo się przyczyniła do tego, kim się staliśmy. Często śmiała się, że zapominamy o duchu, bo wtedy religia nie była pierwszym tematem naszych rozmów. Opowiadała nam, że kiedy była młoda, to ze swoim pokoleniem dużo rozmawiała o Bogu. Miała takie ulubione powiedzenie, że w życiu trzeba umieć wybierać mniejsze zło. Uwielbiałem ją i szanowałem, chociaż była dla mnie bezlitosna. Mówiła: „chyba nie pójdziesz do szkoły teatralnej, nie zostaniesz aktorem”. Dla niej aktor to był ktoś, kto coś udaje. Łagodnie mówiąc, nie miała wielkiego szacunku do tego zawodu.

– *Ale w końcu doceniła pana pracę?*

– Przez lata próbowałem ją zapraszać na różne przedstawienia, jednak nie przychodziła. Dla niej teatr był marnowaniem czasu. Natomiast obejrzała moją „Antygone”, którą reżyserowałem w Teatrze Telewizji, i bardzo serdecznie mi pogratulowała. W pewnym sensie pani profesor odeszła po pobłogosławieniu mojej pracy.

– *W latach siedemdziesiątych angażował się pan w działalność KOR-u. To był odruch moralny czy zdecydował temperament działacza politycznego?*

– Nigdy nie byłem członkiem KOR-u. Co najwyżej jego serdecznym sympatykiem. Jeżeli ktoś staje w obronie bitego robotnika radoskiego, to od razu jest uważany za działacza politycznego, czyli za osobę walczącą o władzę. W związku z tym zaczyna być traktowany tak, jak by myślał o tym Machiavelli: jako księżę B, który chce zająć tron księcia A. To jest nie w porządku, bo to oznacza, że najlepiej milczeć i nic nie robić. Wtedy jest się czystym, spokojnym i unika wszelkich podejrzeń. Tyle że ktoś za nas zmieni system, ktoś za nas przygotowuje społeczeństwo do tej zmiany i tak dalej...

– *Sam pobyt w areszcie śledczym to niezwykle doświadczenie.*  
– Co za lekcja? Że wszyscy, którzy siedzą ze mną w celi, są do-  
nosicielami? Czego to uczy?

– *Że człowiek jest słaby...*  
– Dobra literatura często o tym pisze, nie trzeba po to iść do  
więzienia. Chociaż mogę powiedzieć: jestem szczęśliwy, że tam  
trafiłem. Dziękuję Panu Bogu, że mnie tam wrzucił. To był areszt  
śledczy, a w takim miejscu człowiek spotyka się również ze swoimi  
słabościami.

– *Czego konkretnie pana to nauczyło?*  
– Na przykład tego, z czego mogłem skorzystać w przyszłości  
jako aktor. Było to obserwowanie ludzi, którzy próbowali mną ma-  
nipulować. Obserwowanie oficerów śledczych, więźniów, zmaganie  
się ze sobą. Pamiętam jak w okresie, kiedy jeszcze odmawiałem  
zeznań, zastanawiałem się, jak zareaguję, kiedy pokażą mi zezna-  
nia kolegów. Najbardziej agresywne spośród prokuratorów były  
kobiety, widocznie byłem dla nich wrogiem osobistym. Ale nie spo-  
wodowało to, że mniej ufam ludziom. Myślę, że zwyczajnie trzeba  
uważać, bo ludzie są różni.

– *Czy te więzienne doświadczenia przydały się potem panu  
jako aktorowi, jakoś je pan wykorzystał?*

– Jestem pewien, że wykorzystałem, ale gdzie i jak, nie wiem.  
Bardzo trudno przekazać swoje doświadczenia, mówić o nich,  
a jeszcze trudniej uczynić z nich sztukę. Problemem aktora i re-  
żysera w takim wypadku jest pytanie, czy mam prawo grać i reży-  
serować tylko to, co przeżyłem. Co mi pozwala grać to, czego nie  
przeżyłem? Moja wyobraźnia. A na ostateczny efekt i tak składają  
się różne okoliczności.

– *A widz, jego wrażliwość, wiedza też są chyba ważne?*  
– Ważna jest pomoc widza, który przecież współtworzy moją  
rolę. Interpretuje ją, a w gruncie rzeczy nawet opisuje. Często jest  
tak, że po przedstawieniach ludzie komentują rolę, mówią o świe-

tle, o kostiumach. I zdarza się, że ich interpretacja wręcz zaskakuje artystów, ponieważ nie pomyśleli, że ich praca może być rozumiana akurat w ten sposób. Z mojego skromnego podwórka pamiętam, że kiedy grałem Szatowa w „Biesach” Dostojewskiego w reżyserii Janusza Warmińskiego, w Ateneum, po którymś z przedstawień podszedł do mnie widz i powiedział: „Dziękuję za lekcję pokory, której mi pan udzielił...”. Mógłbym mu oczywiście odpowiedzieć: „Ja się po prostu nauczyłem tekstu i zagrałem rolę najlepiej, jak mogłem. Moją intencją nie było udzielanie panu jakiejkolwiek lekcji”. Ale byłby to dowód mojej głupoty. Po tym spotkaniu zdałem sobie sprawę, że moja praca należy nie tylko do mnie i nie wiem o niej wszystkiego. Moim zdaniem tak właśnie jest w sztuce, przynajmniej mojej. A co dopiero powiedzieć o obrazach czy muzyce!

– *Czyli najważniejsza jest dla pana wyobraźnia?*

– Bardzo ważna – aktor działa wyobraźnią, wrażliwością. Nigdy nikogo nie zabiłem, ale mam nadzieję, że dobrze grałem zabijanie. Nigdy nie umierałem, a mam nadzieję, że dobrze to parę razy zagrałem. W naszym zawodzie własne doświadczenie bywa paradoksalnie inne.

– *Pana wyjazd do Francji w 1980 roku był szukaniem nowych doświadczeń?*

– To był wyjazd zawodowy. Chociaż pojawiły się też pewne okoliczności osobiste i chciałem trochę wyrwać się z Warszawy. Nie była to jednak decyzja typu: wyjeżdżam na zawsze z Polski, bo jej nienawidzę. Albo: wyjeżdżam na dwa miesiące i wracam. Po prostu jechałem do pracy i do nowej przygody. Byłem tam umówiony na rolę Spiki Tremendozy w „Onych” Witkacego. Czekало mnie żmudne zadanie. Trzeba się było nauczyć grać po francusku i żyć w nowych warunkach. Po skończeniu tej pracy mogłem wrócić do Polski, ale wybuchł stan wojenny. Zaangażowałem się w działalność Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” w Paryżu. Czy zaangażowałem się obywatelsko, patriotycznie, politycznie, solidarnościowo, czy społecznie, emocjonalnie? Dla niektórych, na przykład dla ówczesnego sekretarza partii Olszowskiego, dla



policji i władzy w Polsce, byłem bandytą, który chciał wywrócić system i obrażał władzę. Mieli na mnie paragraf, po latach konsul we Francji mi to wszystko wyłożył. Dla mnie była to solidarność z chłopakami, z przyjaciółmi, którzy siedzieli w więzieniach, albo z tymi, którzy działali w podziemiu.

– *Nie bał się pan, że już nigdy nie będzie mógł wrócić do kraju?*

– Nie, rano 13 grudnia 1981 roku razem z Jackiem Kaczmarem szliśmy w pochodzie spod pomnika Mickiewicza pod ambasadę Polską, gdzie były tysiące ludzi i zastanawialiśmy się, ile ten system jeszcze potrwa: dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat? A potem wracamy. Tego byliśmy pewni, że kiedyś wrócimy.

– *Pana pobyt we Francji trwał dość długo. Jako jeden z nielicznych aktorów zagranicznych został pan doceniony w Comédie-Française.*

– Wolałbym, żeby mówili o tym inni.

– *W porównaniu z Francją Polska może wydawać się zaściankowa.*

– Nigdy nie myślałem, że Polska jest czy była zaściankowa. Polska to wspinały kraj, uwikłany, bardziej lub mniej, tak jak inne kraje, w swoją przeszłość. Tu są moje miejsce, moje zapachy, mój język, moi przyjaciele i nieprzyjaciele. Zawsze mówiłem publicznie, że nie należy zrywać dialogu między przeciwstawnymi grupami społecznymi, nawet agresywnymi wobec siebie, chociaż zawsze nazywano mnie wtedy naiwniakiem. Dla mnie najważniejsze jest pytanie o przeszłość, co z nią zrobić. Odpowiadam sobie, że muszę ją poznać i na tej podstawie budować jutro. Krytycznie, niekrytycznie, z uwielbieniem, ale muszę ją poznać, poznać i jeszcze raz poznać. I tutaj, na moją miarę, staram się rozpocząć taki proces w Teatrze Polskim.

– *Przez sto lat działa się w budynku tego teatru wiele ważnego dla naszej historii.*

– Dlatego 29 stycznia 2013 roku zaczniemy rok jubileuszowy naszego teatru przedstawieniem „Irydion” Zygmunta Krasińskiego. Sto lat wcześniej właśnie „Irydion” otworzył działalność Teatru Polskiego w Warszawie. Wtedy był wyreżyserowany przez ówczesnego dyrektora Arnolda Szyfmana. Sto lat później również dyrektor tego teatru wyreżyseruje tę sztukę. Uważam, że trzeba wykorzystywać każdą szansę, którą daje rocznica, i dlatego cały rok – szczególnie, ponieważ skłania on do refleksji nad tym, co się stało przez lata w teatrze polskim przez małe „p” – będziemy grać polski repertuar. Pod koniec roku zorganizujemy konferencję naukową. Zostaną wydane książki Edwarda Krasińskiego o Arnoldzie Szyfmanie i Barbary Osterloff o Teatrze Polskim i o jegoownikach, szczególnie technicznych. W Teatrze Wielkim 28 stycznia zostanie otwarta wystawa z naszymi eksponatami zorganizowana przez Muzeum Teatralne. Zapraszamy wiele teatrów spoza Warszawy: Dzieci z pogranicza, Teatr Ósmego Dnia, Teatr ze Lwowa, a także Teatr Więźniów z Opola Lubelskiego, którzy zagrają „Sen Nocy Letniej”. Będą organizowane Salony Poezji Polskiej, gdzie wystąpią między innymi Krystyna Janda i Daniel Olbrychski. Przy każdej premierze odbędzie się Forum Dyskusyjne. Atrakcyjną propozycją wydaje nam się także cykl Listów Teatru Polskiego, w którym przeczytamy między innymi korespondencję między Leszkiem Kołakowskim a Jerzym Giedroyciem, którą mają wydać „Zeszyty Literackie”.

– *Bardzo bogaty program.*

– Będzie się działo dużo więcej. Jeśli chodzi o repertuar, to z radością mogę powiedzieć, że wystawimy „Zemstę” Aleksandra Fredry w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego, z Olbrychskim w roli Cześnika. Będzie też premiera „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza w wersji Janusza Wiśniewskiego – myślę, że to będzie piękne i atrakcyjne przedstawienie. W czerwcu odbędzie się prapremiera najnowszej sztuki Sławomira Mrożka „Karnawał” w reżyserii dyrektora Gajewskiego, z muzyką Zbigniewa Preisnera. A pod koniec roku „Wesele” i „Bolesław Śmiały” Stanisława Wyspiańskiego. „Bolesław Śmiały” w adaptacji Jacka Popioła to sztuka, która mówi

o wielkim polskim problemie: stosunku władzy świeckiej i duchownej. Wszystkie te plany zależą od sytuacji finansowej naszego teatru, ale w tej chwili wydają się możliwe do zrealizowania, mimo zmniejszonego budżetu.

– *Jako jeden z nielicznych budynek Teatru Polskiego nie został zniszczony w czasie drugiej wojny światowej.*

– Rzeczywiście. Dyrektor Szyfman wraz z pracownikami starali się chronić budynek i natychmiast reperowali szkody. Podczas inauguracji obchodów 29 stycznia 2013 roku wmurujemy tablicę pamiątkową z cytatem, który umieszczono w fundamentach teatru przy okazji wmurowania kamienia węgielnego w 1913 roku: „...na pożytek i chwałę oraz celem rozwoju polskiej sztuki scenicznej krzewiącej piękno ojczystej mowy naszej...”. Przypomnienie tego jest bardzo ważne. Mimo że ten tekst nie wyczerpuje tego, czym obecnie zajmujemy się w teatrze. Uważam bowiem, że samo słowo nie jest ekscelencją, której istnienie wyczerpuje życie dworu. Słowo bez intelektu, bez wrażliwości, bez ciała jest słabiutkie i mało przekonujące. Wiem jednak, że w 1913 roku był to wielki akt polityczny.

– *Chce pan wystawiać tylko polski, patriotyczny repertuar?*

– Nie, cieszę się bardzo, że w moim teatrze jest grana sztuka Claudela „Zwiastowanie”. Zapewnia ona choć minimalną obecność problematyki boskiej w teatrze. Dlatego „Zwiastowanie” sprawia mi wielką radość. W refleksjach o moim programie artystycznym skupiam się również na problemach wiary. Stąd także wybór „Irydiona” Zygmunta Krasińskiego, który porusza problemy: mścić się czy nie mścić...

– *To podstawowe pytanie!*

– Ciągłe powtarzam, że najważniejszy jest dialog. Na Areopagu organizowanym parę lat temu przez arcybiskupa Gocłowskiego mówiłem o tym. Uważam, że jest to obowiązek nie tylko chrześcijanina, lecz także każdego myślącego człowieka. Zresztą w tym kraju są setki mędrców i ich należy słuchać.

– *A więc wrócił już pan tu na stałe?*

– Tak, skończyłem grać w Comédie-Française. Ostatnie przedstawienie zagrałem niedawno – 28 października – i zostałem uznany za honorowego societeriusza, co oznacza, że mam prawo grania w Comédie-Française w przyszłości, jeśli mnie zaproszą oczywiście. Po trzydziestu trzech latach pobytu we Francji zakończyłem etap powrotów do kraju.

– *Dzisiaj nie ma pan już wątpliwości, że dobrze wybrał zawód?*

– Na ten temat mam ograniczoną wiedzę. Nie wiem, czy gdybym wybrał zawód lekarza, to nie otrzymałbym Nagrody Nobla – albo odwrotnie, czy nie zapiłbym się na śmierć, bo jakiś pacjent umarłby pod nożem na stole operacyjnym. Wiem natomiast, że próbowałem wykorzystać wszystko, co dali mi moi rodzice i los. Ten zawód jest bardzo narażony na krytykę. Inaczej ocenia się aktora, inaczej dyrektora teatru. Jeśli są złe przedstawienia, zawsze się mówi o dyrektorze, a jeżeli dobre, to nikt o nim nie pamięta. Ale nie mam pretensji, „sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało”, jak mówi Molière. Wszystko jest w porządku.

ANDRZEJ SEWERYN, ur. 1946, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Początkowo związany z Teatrem Ateneum. Od 1980 mieszkał we Francji. Wieloletni członek Comédie-Française.

KLAUDIA IWANICKA, ukończyła Wydział Informatyki Uniwersytetu Warszawskiego. Mieszka w Warszawie.

---

Jerzy Klechta

# Zamordowanie prezydenta

---

*Dziewięćdziesiąta rocznica tragicznej śmierci Gabriela  
Narutowicza*

Oto główni uczestnicy wydarzeń: Naczelnik Państwa i Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski, pierwszy prezydent w dziejach Polski Gabriel Narutowicz oraz artysta malarz – morderca prezydenta – Eligiusz Niewiadomski. Występują między innymi: przychylny Narutowiczowi kardynał Aleksander Kakowski (hamujący bogoojczyźniane manifestacje organizowane przez skrajną prawicę) oraz generał Józef Haller (na polu walki świetny dowódca, jako endecki polityk zagrzewał „prawdziwych Polaków” do rozprawienia się z „niby-Polakami”). Rolę komentatorów grają: żona Marszałka Aleksandra Piłsudska, pisarze, poeci (Maria Dąbrowska, Julian Tuwim), inni. Funkcję chóru greckiego w tragedii wzięło na swoje barki wielu księży; błogosławiono masowe pochody przeciwko wyborowi Narutowicza na prezydenta, potem odprawiano modły nad grobem tego, który go zabił. Młodzież akademicka trzymała wartę przy grobie „bohatera narodowego”. Tłumy warszawiaków przelewały się ulicami stolicy. Media (głośnie i napastliwe) podgrzewały atmosferę. Miejsce akcji: Warszawa – gabinety polityków, Sejm, Belweder, Zamek Królewski, archikatedra warszawska świętego Jana Chrzciciela oraz ulice. Miejsce mordu: Zachęta – w pobliżu dzisiejszego placu Piłsudskiego. Rok 1922.

W 1918 roku Józef Piłsudski został Naczelnikiem Państwa. Po czterech latach od odzyskania niepodległości Sejm Drugiej Rzeczypospolitej przystąpił do wyboru prezydenta. W myśl konstytucji głosować miało Zgromadzenie Narodowe (Sejm i Senat). Jedno nie ulegało wątpliwości: prezydentem powinien zostać ten, kto okrył się legionową sławą, dwa lata wcześniej pobił bolszewików, a obecnie dzierżył marszałkowską buławę – Józef Piłsudski. Co prawda miał przeciwko sobie endecję i jej zwolenników, jednak większość posłów – jeśli chodzi o prezydenturę – była po jego stronie. Datę wyboru ustalono na 9 grudnia 1922 roku. Nic nie mogło bardziej zaskoczyć od decyzji Marszałka. Pięć dni przed wyborami oświadczył w Radzie Ministrów: *Na mnie proszę nie głosować. Proszę wybrać człowieka, który by miał cięższy chód, lecz lekką rękę*. Przyznał, że nie przywykł do kompromisów: *Kompromis jest nieszczęśliwym słowem. W wielu umysłach łączy się ono z pojęciem zdrady. Tymczasem kompromis jest ściśle związany z istotą demokracji. Zaczęto więc szukać kandydatów, partie zgłosiły kilku*.

Między 4 grudnia (oświadczenie Marszałka) a datą wyboru (9 grudnia) toczyły się zakulisowe gry – kto kogo, z kim, dlaczego i za jaką cenę. Cztery głosowania nie przyniosły rezultatu, piąte (wszystkie tego samego dnia) 289 głosami rozstrzygnęło, że prezydentem zostanie Gabriel Narutowicz. Jeszcze nie wszyscy posłowie i senatorowie zdążyli opuścić gmach sejmowy, a już uformowały się przed Sejmem pikiety przeciwko rezultatowi wyborów. Na Narutowicza głosował między innymi klub mniejszości narodowych, którego największe koło parlamentarne skupiało Żydów, czyli – stwierdziła narodowa prawica – polskiego prezydenta wybrano głosami Żydów. Młodzież akademicka i gimnazjalna ruszyła Nowym Światem na Aleje Ujazdowskie pod dom, w którym mieszkał generał Józef Haller. Tam gromadziły się już tłumy. Autorytet wojskowy nie krył swego antysemityzmu. Haller wygłosił z balkonu swojego mieszkania przemówienie do tłumów: *Rodacy i towarzysze broni! Wy, a nie kto inny, piersią swoją oślanialiście, jakby twardym murem, granice Rzeczypospolitej, roгатki Warszawy. W swoich czynach chcieliście jednej rzeczy, Polski. Polski wielkiej, niepodległej*.

*W dniu dzisiejszym Polskę, o którą walczyliście, sponiewierano. Odruch wasz jest wskaźnikiem, iż oburzenie narodu, którego jesteście rzecznikiem, rośnie i przybiera jak fala.*

Tłumy protestujących przelewały się z jednej ulicy w drugą. Młodzież akademicka mieszała się z motłochem. Na wiecu w alei 3 Maja (zorganizowanym „spontanicznie”) uchwalono rezolucję wzywającą Narutowicza do natychmiastowego ustąpienia, przed zaprzysiężeniem. Hieny prasowe to nie wymysł dzisiejszych czasów. Pisano, że jest to z pochodzenia kresowiec z Kowieńszczyzny, z rodziny litwomianów (...), mason, niewierzący emigrant, nie znający stosunków w Polsce, elekt żydowski, co obraża naród polski, złodziej, żydowski pacholek („Gazeta Warszawska”). Podobne epitety znajdujemy w „Kurierze Warszawskim”, który uznał, że niczego dobrego po takim prezydencie nie można się spodziewać, tym żydowskim elekcie, zaporze i zawadzie. Nie zabrakło zachęty do zbrodniczego czynu: *Jakieś ptasie mózgi urzędnicze biedzą się nad ceremoniałem objęcia władzy przez prezydenta Narutowicza... Ludność polska prowokacji tej nie zniesie... zamiast strumienia popłyną krwi tej rzeki („Gazeta Poranna”).* Poseł ksiądz Kazimierz Lutostański wołał rozpaczliwie: *Jak śmieli Żydzi narzucić Polsce swego prezydenta? Wszystkie gazety endeckie opublikowały oświadczenie zapowiadające przeciwstawianie się wyborowi: Grupy Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej nie mogą wziąć na siebie odpowiedzialności za bieg spraw państwowych i odmawiają wszelkiego poparcia rządowi powołanym przez prezydenta narzuconego przez obce narodowości: Żydów, Niemców, i Ukraińców... Stronnictwa Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej podejmują stanowczą walkę o narodowy charakter Państwa Polskiego, zagrożony tym wyborem.*

Ruszyła lawina anonimów i gróźb. Nie brakło zapowiedzi zbrodniczego czynu. Oto koperta zaadresowana po francusku: *Monsieur le Président République Polonaise Gabriel Narutowicz, Varsovie-Warszawa-Belweder.* Na znaczku stempel pocztowy: *Lwów 2, 12 XII 22.* W kopercie kartka następującej treści: *Pozostaje Panu do oznaczonego terminu już tylko 4 doby i godzin 20.* Przypominam, że *grozi Panu śmierć naturalna z powodu ataku sercowego.*

Czas zrobić testament. Pozdrowienia. Kolejny anonim: Warszawa 10 grudnia 1922 roku. Szanowny Panie ministrze! Wobec wyboru pana ministra na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej głosami lewicy i mniejszości narodowych, bloku nam wrogiego, będąc pewnymi, że pan minister będzie ugodowcem, będzie zmuszony wywdzięczać się blokowi mniejszości, że p. minister nie stworzy rządu o silnej ręce, rządu, że tak powiemy, poznańskiego, wreszcie, że pan minister śmiał przyjąć ofiarowaną sobie kandydaturę, grozimy panu ministrowi jak najfantastyczniejszym mordem politycznym. Z poważaniem polski faszysta. List z 11 grudnia 1922 roku wysłany z Wilna: Warszawa, Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Panu ministrowi Narutowiczowi do rąk własnych. Panie Ministrze! Dosięże Pana kara śmierci, o ile Pan natychmiast nie złoży godności Prezydenta!!! dnia 10 XII 22. Patriota.

Po tych ulicznych protestach i zajściach, prasowych groźbach i anonimach Piłsudski odwiedził Narutowicza. Pod datą 11 grudnia zanotował: Siedział w fotelu głęboko poruszony. Nie chciał mi opowiadać szczegółów. (...) Rzucił na stół plik listów i kopert. „Patrz pan!” – zawołał. Spojrzałem na niektóre. Były to anonimy wszelkiego rodzaju, pełne brudu, inwektyw, płaskich dowcipów, groźb. Nie mogłem się powstrzymać od głośnego śmiechu. Spojrzałem na mnie zdziwiony. A telefony? – zapytałem – rozmyślne pomyłki, pytania, zadawane udawanym żydowskim akcentem, czy zdarzają się już u pana?

Zerwał się z fotela. (...)

Skąd pan o tym wie?

– Ależ panie, ja byłem w Polsce Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, więc wszy wyłaziły zewsząd. Zwykle rzeczy! To „narodowa robota”. (...)

Nie mógł się z tym pogodzić. (...) Musiałem go uspakajać.

– Po co te brudy? – wołał.

\* \* \*

Tego dnia Aleksandra Piłsudska (żona Marszałka) zanotowała w dzienniku: W Warszawie zorganizowano 12-godzinny strajk na znak protestu. Młodzież Narodowej Demokracji obrzuciła błotem



*powóz Narutowicza, kiedy jechał do Sejmu na złożenie przysięgi. (...) W ścisiku nie mogłam się prawie ruszyć. Z jednej strony parla na mnie stara, przygłucha chłopka, która bez przerwy pytała, o co chodzi, z drugiej – gruba, wielka służąca. Ta ostatnia, z czerwoną twarzą, podrygiwała całym ciałem, wymachując pięściami i krzycząc: „Precz z Narutowiczem! Precz z Żydem!” . Gdy jej zabrakło oddechu, powiedziałam, że znam dobrze rodzinę Narutowiczów i nikt z nich nie pochodzi z Żydów. Ale to był groch o ścianę. Za chwilę zaczęła wrzeszczeć: „Żydzi nie będą nami rządzili!”.*

Dzień zaprzysiężenia prezydenta – 11 grudnia 1922 roku. Od rana po stolicy krążył bojówki, przede wszystkim w okolicach Belwederu, w Alejach Ujazdowskich i po placu Trzech Krzyży. Akcję dokładnie przygotowano. W Alejach Ujazdowskich postawiono barykadę z ławek i skrzyń na śmieci. Policjanci przydzieleni do kordonu na czas przejazdu prezydenta milcząco, ale z wyraźnym przyzwoleniem przyglądają się ustawianiu blokad przez bojówkarzy. Do marszałka Sejmu Macieja Rataja skierowano formalne zapytanie, czy Narutowicz jako bezwyznaniowiec może przysięgać na Biblię. Bezwyznaniowcem ani ateistą, ani Bóg wie kim – a oczerniano profesora Narutowicza na różne sposoby – nie był. Ulicami Warszawy maszerowała młodzież i hurrapatrioci różnych zawodów i w różnym wieku, którzy prowadzili – jak głosiły transparenty – *walkę o narodowy charakter państwa*.

Scenariusz był następujący: opóźnić przejazd prezydenta, aby nie zdążył na wyznaczoną godzinę zaprzysiężenia, a potem się zobać. Wojna domowa wisiała na włosku. Demonstranci zatrzymywali posłów, którzy głosowali na Narutowicza – poturbowano sędziwego senatora Bolesława Limanowskiego, a do bramy na placu Trzech Krzyży wciągnięto Ignacego Daszyńskiego i pobito go. Uparty Narutowicz odrzucił eskortę policji. Jechał odkrytym powozem otoczony szwadronem szwoleżerów. Towarzyszył mu wyłącznie szef protokołu dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Stefan hrabia Przeździecki (premier Julian Nowak ze strachu zrezygnował z jazdy prezydenckim powozem). Trasa wiodła z Belwederu na ulicę Wiejską. Tłum wrzał. Triumfowało słownictwo rynsztokowe. Nie

pierwszy i nie ostatni raz w naszej historii politycznej. Jedna osoba zginęła, dwadzieścia osiem osób zostało rannych, w tym dziewięć ciężko. Na wysokości alei Róż obrzucono Narutowicza kijami, kamieniami, celowano w niego bryłami lodu i śniegu. Kilka z nich trafiło go w głowę. Jeden z bandziorów, przedarłszy się przez kordon szwoleżerów, wskoczył na powóz i próbował uderzyć prezydenta łaską. Narutowicz obłocony i lekko poturbowany zdążył na godzinę dwunastą, aby złożyć przysięgę. Powiedział potem: *Lepiej, że ja oberwałem, niż gdyby policja skrzywdziła któregoś z tych małych chłopców biorących udział w tej łobuzerce ulicznej. Przecież oni są niewinni. Bezmyślność tej burdy ulicznej bije każdego w oczy, przecież krzykami kilkudziesięciu, a nawet kilkuset smarkaczy nikt kierować się nie może. Sytuacja jest dla mnie bardzo przykra, gdyż nie chodzi mi o moją osobę, nie mogę jednak dopuścić do poniżenia godności Rzeczypospolitej.*

Pani Piłsudska zaproponowała Narutowiczowi, aby dla bezpieczeństwa zamieszkał u nich – nie skorzystał. Przekazanie władzy przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego zaprzysiężonemu prezydentowi Gabrielowi Narutowiczowi odbyło się 14 grudnia 1922 roku o dwunastej w Belwederze. Marszałek wniósł jako pierwszy toast na cześć pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej: *Panie Prezydencie Rzeczypospolitej! Czuję się niezwykle szczęśliwy, że pierwszy w Polsce mam wysoki zaszczyt podejmowania w moim jeszcze domu i w otoczeniu mojej rodziny Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej Polskiej. Panie Prezydencie! Jako jedyny oficer polski czynnej służby, który dotąd przed nikim nie stawał na baczność, stoję oto na baczność przed Polską, którą Ty reprezentujesz, wznosząc toast: Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej niech żyje!* Ostatnie słowa marszałek Piłsudski wypowiedział, stojąc na baczność. Toast był przeznaczony nie tyle dla obecnych, ile dla opinii publicznej. Marszałek Piłsudski przestrzegając, zdawał się wołać: *Rodacy! Ocknijcie się!*

\* \* \*

Gabriel Narutowicz urodził się w rodzinie szlacheckiej 17 marca 1865 roku w Telszach na Żmudzi. Ojciec Gabriela – Jan Naru-

towicz – był właścicielem wsi Brewik (wbrew obowiązującemu prawu zniósł „swoim” chłopom pańszczyznę). Za udział w powstaniu styczniowym skazano go na więzienie. Gabriela, chorowitego od dzieciństwa – późniejszego prezydenta – wysłano do kurortu Davos w Szwajcarii. Gabriel Narutowicz podjął studia na Wydziale Inżynierii Budowlanej na politechnice w Zurychu. Aresztowano go za udział w spisku na życie niemieckiego cesarza Wilhelma II. W wyniku denuncjacji władz szwajcarskich Rosjanie nakazali mu, jako poddanemu, powrót do kraju, a gdy nie wracał, wydali nakaz aresztowania. Był to dostateczny powód, aby pozostać na emigracji. Szybko pokazał się jako wybitny inżynier konstruktor. Projekty wielu elektrowni wodnych wybudowanych w Europie Zachodniej były jego autorstwa. Jako światowej sławy specjalista odbywał podróże do Francji, Niemiec, Finlandii, Turcji, Algieru. W 1911 roku odwiedził Galicję, gdzie opracował projekt wykorzystania Dunajca w celach elektryfikacyjnych. W 1906 roku, na prośbę rządu szwajcarskiego, objął katedrę na politechnice w Zurychu.

Podjął działalność polityczną i filantropijną na rzecz rodaków i odzyskania niepodległości Polski. Stał się, obok Ignacego Jana Paderewskiego, najbardziej znanym Polakiem w Szwajcarii i innych krajach Europy. Udzielał rodakom bezzwrotnych pożyczek, pomagał im finansowo, często bez ich wiedzy. W 1915 roku został członkiem dykcji Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce (tak zwanego Komitetu z Vevey), założonego przez Henryka Sienkiewicza i Ignacego Jana Paderewskiego. Był jednym z założycieli Polskiego Komitetu Społecznego w Zurychu, pełnił w nim funkcję prezesa. W czasie pierwszej wojny światowej brał udział w pracach Szwajcarskiego Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce, należał do stowarzyszenia La Pologne et la Guerre w Lozannie i tą drogą zbliżył się do koncepcji Józefa Piłsudskiego. Gdy tylko nadeszła wiadomość o rodzącej się niepodległej Rzeczypospolitej, z dnia na dzień podjął decyzję o powrocie do kraju. Zrezygnował z funkcji akademickiej, nie podejmował się realizacji gotowych już projektów konstrukcyjnych. Szybki powrót wstrzymała śmiertelna choroba żony – Ewy Krzyżanowskiej. Wrócił do ojczyzny po trzydziestu czterech latach nieobecności i natychmiast

włączył się w życie publiczne. Jeszcze w tym samym, 1920 roku objął tekę ministra do spraw robót publicznych (do czerwca 1922 roku). W tym krótkim czasie zajął się regulacją Wisły na odcinku od Warszawy do Modlina oraz budową hydroelektrowni w Porąbce na Sole. Na obszarze południowej Polski zaplanował utworzenie wielkiej sieci elektrowni wodnych. Został pierwszym prezesem Akademii Nauk Technicznych. Znajomość języków obcych, umiejętność poruszania się na międzynarodowych salonach sprawiły, że wiosną 1922 roku wziął udział w konferencji w Genui poświęconej nowemu układowi sił w Europie. Wkrótce powołano go na stanowisko ministra spraw zagranicznych Drugiej Rzeczypospolitej. Mimo że był nim krótko, zdążył zyskać miano „ministra pokoju”.

\* \* \*

16 grudnia 1922 roku plan zajęć prezydenta Narutowicza przedstawiał się następująco: jedenasta trzydzieści – wizyta u kardynała Aleksandra Kakowskiego; dwunasta – otwarcie salonu sztuki w Zachęcie; dwunasta trzydzieści – wysłuchanie relacji bliskiego współpracownika z czasów pracy w MSZ Tadeusza Jackowskiego, który wrócił z Gdańska, gdzie w imieniu prezydenta powiadomił Komisarza Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku Leona Plucińskiego o propozycji powierzenia mu misji tworzenia rządu; Pluciński propozycję przyjął; trzynasta trzydzieści – spotkanie prezydenta z Kapitułą Orderu Orła Białego; w godzinach wieczornych prezydent miał prowadzić dalsze rozmowy z kandydatami na ministrów w nowym rządzie. Przed wyjazdem na spotkanie z kardynałem Kakowskim prezydent podpisał akt łaski dla pewnego więźnia skazanego na śmierć. Uznał, że to dobry znak. Była to jedyna formalna decyzja prezydenta Narutowicza. Przed wyjazdem do kardynała jednemu ze swoich współtowarzyszy z koła myśliwskiego, Leopoldowi Skulskiemu, powiedział: *pamiętaj Panie Leopoldzie, w razie nieszczęścia proszę zaopiekować się moimi dziećmi*. Wizyta u kardynała trwała ponad pół godziny. Jej przebieg zadał kłam rzekomej niechęci Narutowicza do Kościoła i jego rzekomemu ateizmowi, rozmówców łączyła zażyłość, jeśli nie przyjaźń. Kardynał nie krył zadowolenia z wyboru Narutowicza

na urząd prezydenta. W ostrych słowach potępiał niewybredne ataki środowisk prawicowych, prasy katolickiej i dużej części kleru na osobę prezydenta. Po zamordowaniu Narutowicza wydał zakaz organizowania demonstracji religijnych i modłów nad grobem mordercy (zakaz okazał się mało skuteczny). W czasie wizyty kardynał powiedział, że prezydent Narutowicz jest człowiekiem prawym i wybitnym, i dodał, że *uliczna gawiedź to jeszcze nie cała Polska*. Poprosił Narutowicza, aby mężnie zniósł chwilowe udręki i upokorzenia, bo wszystko, co czyni, dzieje się dla wspólnego dobra. Jeszcze nie skończyło się spotkanie u kardynała, gdy w Zachęcie pojawił się Eligiusz Niewiadomski.

\* \* \*

Urodził się w Warszawie 1 grudnia 1869 roku, syn literata i uczestnika powstania styczniowego. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Petersburgu, potem studiował w Paryżu, był uczniem Wojciecha Gersona. Od 1897 roku wykładał rysunek na Politechnice Warszawskiej, był jednym z założycieli Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, brał udział w pracach przy reorganizacji Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, wydał dwutomowe dzieło „O sztuce średniowiecznej”. Działał w konspiracji, przemyślał nielegalne publikacje narodowo-demokratyczne. W 1901 roku aresztowano go i na kilka miesięcy osadzono w X pawilonie Cytadeli. Z uwagi na wiek (pięćdziesiąt jeden lat) nie mógł wziąć udziału w wojnie bolszewickiej. Z polecenia generała Kazimierza Sosnkowskiego przyjął go do pracy kontrwywiadowczej w II Oddziale Sztabu Głównego. Od 1921 roku pracował w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

16 grudnia 1922 roku około godziny dwunastej dziesięć samochód z prezydentem zajeżdżał przed gmach Zachęty. Publiczność powitała Narutowicza oklaskami i wiewatami. Prezydent przywitał się z grupą malarzy organizujących wystawę, każdemu uściśnął dłoń. O godzinie dwunastej dwanaście wszedł do sali wystawowej numer jeden, znajdującej się na pierwszym piętrze. Do Narutowicza podszedł ambasador angielski w Polsce William Grenfell Max-Müller z żoną, która powiedziała: *Permettez-moi Monsieur le Président de Vous féliciter (pozwoli pan pogratulować sobie,*

panie prezydencie), on na to: *Oh, plutôt faire les condoléances* (raczej złożyć kondolencje). Na wystawę wpuszczano jedynie z zaproszeniami, zainteresowanie galerią było niewielkie, uwagę skupiała osoba prezydenta. Narutowicz zatrzymał się na dłużej przed obrazem Teodora Ziomka „Szron”. Wówczas padły trzy strzały z rewolweru. Prezydent upadł. Był zalany krwią. Na skutek krwotoku wewnętrznego i zatrzymania akcji serca zgon nastąpił natychmiast. Niedaleko stał spokojnie zabójca. W rękę nadal trzymał rewolwer skierowany w kierunku już nieżyjącego pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Nie krył dumy ze swojego czynu. Podczas procesu wyraził żal, bynajmniej nie dlatego, że pozbawił życia, lecz dlatego, że chciał zabić także kogoś innego – Piłsudskiego: *Doznałem uczucia męki i goryczy, że oto ten człowiek, twórca Judeo-Polski, główny w moich oczach sprawca nieszczęść ostatnich czterech lat, będzie dalej grał wybitną rolę w życiu Polski. (...) Piłsudski nie dorósł do roli, jaką przeznaczyły mu dzieje. (...) Przez cztery lata ja i całe moje pokolenie patrzyliśmy na poniewierkę Rzeczypospolitej, na wszystkie zniewagi, jakie jej wyrządzono, na najstraszniejszą rzecz, jaka może naród spotkać: rozkład ducha, który dzisiaj objął wszystkie klasy.*

Sąd skazał Niewiadomskiego na karę śmierci. W dniu wykonania wyroku „Dziennik Poznański” opublikował list mordercy „do wszystkich Polaków”: *Czyn mój dopiero zakwitnie obłany krwią moją. Zakwitnie, to znaczy przemówi do narodu. Głupcy i hipokryci widzą w nim akt szaleństwa lub fanatyzmu. Tak nie jest. (...) To, na co patrzą nasze oczy, nie jest jeszcze Polską. (...) To jest dopiero Polska Piłsudskiego – Judeo-Polska. Naród polski do głosu w niej jeszcze nie doszedł. Polskę prawdziwą trzeba dopiero zdobywać i zbudować. W walce o nią niech się hartuje duch pokolenia.*

W pogrzebie zabójcy prezydenta Rzeczypospolitej uczestniczyły tłumy. Młodzież trzymała wartę przy jego grobie. W mowach pogrzebowych żegnano wielkiego syna ojczyzny, wojownika za polskość Polski. Jego grób na warszawskich Powązkach długo jeszcze pozostawał miejscem manifestacji narodowców i licznych zwolenników „Polski dla Polaków”. We Włoszech już podnosił głowę fa-

szym. Wkrótce wybuchnie w Niemczech w nieludzkim wymiarze. W Polsce narodził się kult zabójcy. Nie tylko kardynał Kakowski, lecz także cały Episkopat Polski zabronił księżom uczestnictwa w marszach nienawiści. Nadal bezskutecznie.

*Dla Piłsudskiego – pisał jego przyjaciel i biograf Wacław Jędrzejewicz – tragedia narodowa była jednocześnie wielką tragedią osobistą, z której już nigdy nie mógł się otrząsnąć. Śmierć Narutowicza zmieniła jego charakter. Głębokie oburzenie i wstręt do stosunków panujących w polskich ugrupowaniach politycznych, których wyrazem była ta śmierć, będzie charakterystyczną cechą dla Marszałka w dalszych latach jego życia. A że źródłem dramatu była polityka Narodowej Demokracji, przeto dawny, krytyczny stosunek Piłsudskiego do tego ugrupowania spotęgował się jeszcze bardziej. Podobną opinię wyraził historyk Władysław Pobóg-Malinowski w „Najnowszej historii politycznej Polski”: Morderstwo dokonane przez prawicę na Narutowiczu i zupełna bezkarność tej zbrodni dla głównych, moralnych jej sprawców przywiodły Marszałka już wtedy do przekonania, iż dobrocią i perswazją nic w Polsce zrobić się nie da, że trzeba narzucać i wymuszać, być twardym i bezwzględny. Elita intelektualna, poeci, pisarze, ludzie kultury i sztuki byli solidarni w rozpaczy, żalu i proteście. Najgłośniej, najmocniej zabrzmiały strofy Juliana Tuwima:*

*Zimny, sztywny, zakryty chorągwią i kirem,  
Jedzie Prezydent Martwy, a wielki stokrotnie.  
Nie odwracajcie oczu! Stać i patrzeć zbiry!  
Tak! Za karki was trzeba trzymać przy tym oknie!*

*Przez serce swe na wylot pogrzebem przeszyta,  
Jak Jego pierś kulami, niech widzi stolica  
Twarze wasze, zbrodniarze – i niech was przywita  
Strasznym krzykiem milczenia żałobna ulica.*

17 grudnia 1922 roku zabalsamowane ciało prezydenta wystawiono w sali audiencyjnej Belwederu. Eksportacja zwłok na Zamek Królewski nastąpiła 19 grudnia 1922 roku. Kondukt otwierały dwa

szwadrony 1 Pułku Szwoleżerów, za nimi podążały dwa bataliony piechoty i bateria artylerii. Głównym celebhransem był kardynał Aleksander Kakowski. Na trasie przejazdu Narutowicza zęgał pół-milionowy tłum. Na placu Zamkowym bojówka endecka przerwała kondukt, interweniowała policja konna. Następnego dnia trumnę z ciałem prezydenta Narutowicza wprowadzono do archikatedry świętego Jana Chrzciciela. Kardynał odprawił mszę pogrzebową. W trakcie żegnania zmarłego ksiądz profesor Antoni Szlagowski (późniejszy biskup) mówił o *zbrodniczej ręce, która targnęła się na nietykalną osobę pierwszego Urzędnika w Państwie, sponiewierała dostojęństwo Rzeczypospolitej, zdeptała cześć, zniesławiła imię Polski w świecie. Swój to był, nie obcy!* Senator i ówczesny biskup (późniejszy kardynał) ksiązę Adam Sapieha wydał odezwę piętnującą zbrodnię. Prezydenta Gabriela Narutowicza pochowano w podziemnej krypcie katedry.

\* \* \*

Bezpośrednim sprawcą zamachu był Niewiadomski. Nie był jednak – jak usprawiedliwiali zbrodnię liderzy prawicy endeckiej – chory i nie zrównoważony. Ideolog i działacz Narodowej Demokracji Jędrzej Giertych poszedł jeszcze dalej. Domniemywał, że Niewiadomskiego sprowokowały służby oddziału II Sztapu Generalnego. Tworzenie mitów, rzucanie bzdurnych i nieumotywowanych oskarżeń to sposób na odwrócenie uwagi od własnej niegodziwości. Jędrzej Giertych: *Piłsudczycy i socjaliści szykowali na ten dzień zamach stanu, objęcie dyktatury przez Piłsudskiego i rzeź polityków narodowych. Zostało wreszcie ujawnione, że wybór Narutowicza był zdecydowanie niewygodny także i dla Piłsudskiego. Wniosek, jaki się z tego wszystkiego nasuwa, brzmi, że nie kto inny, tylko Piłsudski, brutalny i pozbawiony skrupułów rewolucjonista i kandydat na dyktatora, chciał sprzątnąć Narutowicza, ale wolał dokonać tego przez spowodowanie podburzenia do tego czynu człowieka, którego wina obciąży obóz narodowy, co będzie zarazem dobrym pretekstem do zrobienia dyktowanego rzekomym oburzeniem zamachu stanu. W najbardziej skrajnych kręgach narodowców nie szukano usprawiedliwienia. Obóz*



Narodowo-Radykalny oficjalnie uznał czyn Niewiadowskiego za *mniejsze zło, próbę ratunku zagrożonego państwa i czyn desperacki, ale bohaterski*. Dla ONR Niewiadomski to bohater, a dla wrogów Narodu Polskiego zapatrzonych w „zachodnie standardy” – zbrodniarz. Z kolei Narodowe Odrodzenie Polski stwierdziło, że Niewiadomski jest tym, który w jednoosobowym akcie bohaterstwa i największego poświęcenia zlikwidował uosobienie zdrady i antynarodowych sił w odrodzonym Państwie Polskim – Gabriela Narutowicza. Niewiadomski to męczennik do ostatniego tchu. Nic dziwnego, że na Jego pogrzeb przybyły tysiące Polaków, aby oddać Mu hołd. Jego czyn wstrząsnął sumieniami i walnie przyczynił się do zatrzymania rosnącej fali rewolucyjnej destrukcji. Narodowcy zbrodniczy czyn tłumaczyli wyższą koniecznością, wszak Niewiadomski postanowił wziąć odpowiedzialność za losy Ojczyzny, ponieważ nie mógł patrzeć, jak Polska pogrąża się w internacjonalistycznym i ateistycznym niebycie. Pogrzeb mordercy zamienił się w festyn jego uwielbienia i hołdu. Tłum wpadł w histerię. Modlono się przy akompaniamencie płaczu i okrzyków na cześć wielkiego syna narodu, niewinnie zgładzonej ofiary. Jakiś kombatant zerwał sobie z piersi krzyż za zasługi wojskowe i rzucił na trumnę bohatera nad bohaterami, tego nieustraszonego wojownika za polskość Polski. Prasa prawicowa, endecka, opatrywała swoje artykuły następującymi tytułami: *To aniołowie pełnią straż przy zwłokach „męczennika”*; *Niewiadomski jest nieśmiertelny*; *„Błogosławiony” Eligiusz*. Po latach zespół muzyczny NaRa (nazwa pochodzi od słów Narodowy Radykalizm) skomponował utwór poświęcony Eligiuszowi Niewiadomskiemu, przypisujący mu świętą misję: *Nieziemski głos Pana przekazał mu wieść. By z mocą uderzył w źródło zniewolenia. I zdradę ukarał. On Boży miecz. I zdradę ukarał. On Boży miecz. Niewiadomski, Niewiadomski, święta misja, święty cel*.

Trafne słowa nawiązujące do bzdur nasyconych nienawiścią znajdujemy na łamach „Myśli Wolnej”: *W taki to sposób obłąkańcy lub też udający obłąkańców starają się zatruwać umysły i sumienia narodu. Spirala głupoty i nienawiści nakręcała się, hierarchowie Kościoła nadal ostrzegali, aby księża nie brali udziału w mani-*

festacjach i nabożeństwach, których celem było budowanie kultu mordercy prezydenta. Podziały pogłębiały się, zaś – jak pisał po latach Adam Ciołkosz – *zamordowanie Prezydenta Narutowicza przez nacjonalistę polskiego za to i dlatego, że został na ten najwyższy urząd wybrany głosami także mniejszości narodowych, położyło się ponurym cieniem na całym polskim międzywojennym dwudziestolecu. Podział na dwie Polski trwał latami. Jedni wynosili pod niebiosa Eligiusza Niewiadomskiego, drudzy opłakiwali prezydenta Gabriela Narutowicza i próbowali chronić ideały demokracji. Obrońcy Niewiadomskiego tłumaczyli jego zbrodnię umiłowaniem ojczyzny, które wyraziło się protestem przeciwko jej zbrukaniu. Podczas procesu tak to tłumaczono: *Widział pohańbienie Polski w tym, że większość głosów polskich była za innym kandydatem. (...) Niewiadomski w całej istocie swojej był wstrząśnięty tym, że głosy obce, jak mówi – głosy wrogów państwa, spowodowały wybór człowieka polskiej mniejszości. Powiedział sobie: (...) oto tragedia czynu i tragedia jego głęboko kochającego serca. W ten sposób należy patrzeć na czyn jego. Nie jest to czyn zbrodniarza, lecz czyn człowieka oszalałego z bólu.**

Synowie tej samej ziemi, żyjący pod tym samym niebem, śpiewający ten sam hymn narodowy, czczący ten sam symbol polskości: biało-czerwoną flagę, odwrócili się do siebie plecami. Pod jednym niebem żyły dwie Polski. Ten podział stanie się poniekąd polską specjalnością, naszym przekleństwem. Dla jednych zbrodnia była narodową tragedią, drugich rozpierała duma z powodu „bohaterskiego” czynu artysty malarza. Czyżby w tym polskim dramacie sprzed dziewięćdziesięciu lat należało szukać późniejszych, po dzień dzisiejszy pojawiających się podziałów i przyczyn tak łatwo wybuchającej nienawiści?

Z „Dziennika” Marii Dąbrowskiej: *Powaga i wspaniałość iście królewskiego pogrzebu pierwszego prezydenta przyciszyła na chwilę zgraje wszelkiego duchowego i moralnego motłochu. Literze prawa stało się zadość. Skrytobójca poniósł karę śmierci. (...) Ale w istocie rzeczy i ta zbrodnia pozostała bezkarną, gdyż ukarano tylko „ślepy miecz”, a nie „rękę”, która nim kierowała. Co więcej, zbrodnia ta została ugloryfikowana. Grób skrytobójcy*

nie porósł chwastem zapomnienia, na grób ten pielgrzymowały tłumy nie mniejsze niż do trumny Narutowicza, pielgrzymowały nie dzień i nie dwa, lecz całe lata, znacząc swoje uczucia stosami kwiatów, a w dzień zaduszny – rojem światła, którymi już z daleka jarzył się grób mordercy. Wówczas to i pod wpływem tych faktów zrodziły się we mnie dwa poczucia, z którymi w sobie walczyłam, ale które, niestety, aż po dziś dzień wciąż wzmacniam i potwierdzam. Jednym z nich było wstrząsające odkrycie, że naród nasz składa się z dwu narodów, które język ust mają wspólny, ale nie język ducha. Drugim była tajemna trwoga, która się wówczas we mnie posiała, że ta zbrodnia u progu niepodległości na majestacie Rzeczypospolitej popełniona będzie się okrutnie mścić w przyszłości. Nie będąc wolną od magicznego myślenia, drżałam zabobonnie, że za tę rozlaną krew najniewinniejszego wówczas Polaka łać się może kiedyś krew mnóstwa niewinnych Polaków. Mogłabym dziś powiedzieć, że ta trwoga nie była bezzasadną, a choć zdaję sobie sprawę, że to jest prostacze stawianie sprawy, jednak sądzę, że najbardziej naukowy umysł, rozpatrujący nasze najnowsze dzieje, nie uniknąłby konieczności dostrzeżenia w zdarzeniach owego tragicznego grudnia jednego z zatrutych źródeł naszych klęsk i upadków.

Narutowicz był postacią znaną w Europie. Ceniony naukowiec, szanowany dyplomata. Postrzegany jako Europejczyk otwarty na świat i ludzi, wielki polski patriota. Prasa zachodnia podkreślała jego oddanie sprawom Polski i skromność, która cechuje jednostki wybitne, akcentowano jego szlachetną duchowość. Papież Pius XI (wcześniej był nuncjuszem apostolskim w Polsce, znali się osobiście) głęboko przeżył tragiczną śmierć polskiego prezydenta i wyraził ból w depeszy kondolencyjnej. Profesor Arthur Rohn – rektor politechniki w Zurychu – pisał na łamach „Neue Zürcher Zeitung”, że Narutowicza cechował *bezinteresowny patriotyzm*, (...) *porzucił wspaniałą zagraniczną karierę naukową i powrócił do Polski, aby pracować nad jej przyszłością*. Francuska prasa odnotowała, że zamordowany prezydent był wybitnym naukowcem, człowiekiem szerokich, europejskich horyzontów, szczerym demokratą. Jako członek polskiej delegacji na konferencji genewskiej zasłynął

umiejętnością jasnego wyrażania poglądów. „L'Osservatore Romano” było jedynym pismem włoskim, które poświęciło mu wiele uwagi. *Gabriel Narutowicz* – czytamy w watykańskim czasopiśmie – *był jednym z najgorętszych i najbardziej wpływowych zwolenników niepodległości Polski, (...) oddał Polsce wielkie zasługi dzięki swojej znajomości dyplomacji.*

Imieniem Gabriela Narutowicza nazwano w Polsce ulice, place, audytoria na wyższych uczelniach, domy akademickie, szkoły i szpitale, odsłonięto kilkadziesiąt popiersi i tablic pamiątkowych. Jego imię uhonorowała politechnika w Zurychu. Wybitny reżyser Jerzy Kawalerowicz nakręcił o nim film „Śmierć prezydenta”. W Polsce ustanowiono Medal imienia Narutowicza „dla zasłużonych dla techniki”.

JERZY KLECHTA, dziennikarz i publicysta. W TVP 2 prowadzi magazyn „Blżej świata”; autor wielu książek o tematyce historycznej i podróżniczej, a także watykańskiej.



# Śpiewak uczy się przez całe życie

---

Z *Teresą Żylis-Garą*

rozmawia *Agnieszka Lewandowska-Kąkol*

– *Czy w Monako mieszka dużo Polaków?*

– Nie, jest jednak pewna grupa Polaków, która się stale powiększa.

– *A jak to się stało, że osiadła pani właśnie tam?*

– Zawsze interesowały mnie język francuski, kultura francuska oraz wszystko, co z nią związane. Mieszkiałam jakiś czas w Paryżu, ale to miasto mnie męczyło. Chciałam osiąść w kraju francuskojęzycznym, ale spokojnym. I wybór padł na Monako, do którego przeprowadziłam się z Düsseldorfu, kiedy przestałam już śpiewać w tamtejszej operze, a zaczęłam współpracę z Metropolitan Opera w Nowym Jorku. To małe księstwo – choć teraz intensywnie się rozbudowuje – jest cudownym zakątkiem, oazą ciszy i spokoju, i jest mi tam bardzo dobrze już od ponad trzydziestu lat.

– *Czy można mówić o jakichś specyficznych cechach kulturowych tego księstwa?*

– Tam wszechobecne są kultura francuska i język francuski, choć propaguje się też monakijski, który jest zlepkiem francuskiego, łaciny i innych języków. Przeważnie jednak tylko raz w roku, w dniu święta narodowego, dzieci recytują wierszyki po monakijsku.

– Czy przywiązuje się tam dużą wagę do rozwoju kultury?

– Ogromną. Życie kulturalne jest tam bardzo bogate. Działa znakomita orkiestra symfoniczna. Teatr operowy ma co prawda nieco skrócony sezon, ale zapraszani są do niego rzeczywiście najlepsi śpiewacy. Jest sporo teatrów dramatycznych także na dobrym poziomie oraz balet klasyczny, który założyła księżna Grace. Na ulicach odbywają się słynne wyścigi formuły jeden, cieszące się ogromną popularnością. Wszystko jakby w pigułce, ale wysokiej klasy. Niestety do Monako przyjeżdża coraz więcej ludzi, szczególnie latem, i to mnie wcale nie cieszy. Pod względem estetycznym to wspaniałe miejsce, bo o każdej porze roku jest wręcz skąpane w kwiatach. Gdy chodzę tamtejszymi ulicami, nawet nocą, czuję się zupełnie bezpieczna. Jeśli więc mieszkać za granicą, to tylko w Monako. Ale do Polski także mnie ciągnie, z wiekiem coraz bardziej za nią tęsknię.

– *Śpiewak, który robi światową karierę, tak jak pani, oprócz talentu i odpowiedniego charakteru, musi mieć chyba łatwość przystosowywania się do różnych środowisk.*

– Nie mam z tym żadnego problemu. To nie jest trudna sztuka. Trochę czasu zajęło mi poznanie specyfiki życia w Ameryce, ale równocześnie ten czas, który na to poświęciłam, pozwolił mi pokochać ten kraj. Nowy Jork podczas pierwszej wizyty wydał mi się miastem brzydkim i chyba taki jest, ale pokochałam go za to, że każdemu oferuje wszystko, a już szczególnie w zakresie kultury. No i musi być ona na najwyższym poziomie, bo inaczej sponsorzy nie będą za nią płacić. Nie zasila jej bowiem budżet państwowy, ale utrzymują bogaci ludzie.

– *Miejscem, w którym najdłużej pani śpiewała, była Metropolitan Opera właśnie w Nowym Jorku. Spędziła tam pani aż szesnaście sezonów.*

– Tak, szesnaście lat bez żadnej przerwy.

– *Co sprawia, że Metropolitan jest świątynią sztuki?*

– Przede wszystkim ogromne możliwości finansowe. W Ameryce jest dużo bogatych ludzi i okazuje się, że kochają oni sztukę, w tym

muzykę. Budżet Metropolitan opiera się wyłącznie na datkach, często milionach lub nawet miliardach. Podobne kwoty są zapisywane również w spadkach. Śpiewacy zawsze otrzymują gaże adekwatne do ich poziomu – o takich w Europie trudno marzyć.

– *Czy styl pracy też jest tam inny niż w teatrach europejskich?*

– Plan pracy jest szczegółowo przygotowany. Każdy śpiewak solista otrzymuje w kopercie indywidualny plan na następny dzień, z dokładną informacją, co i w jakich godzinach będzie robił. Próba przy fortepianie, sceniczna, z orkiestrą, z reżyserem – wszystko to jest określone. To naprawdę bardzo mądry zwyczaj, którego nie ma w żadnym innym teatrze operowym, przynajmniej wśród tych, w których śpiewałam. Każdy sektor tej gigantycznej firmy jest utrzymywany na wysokim poziomie. Na przykład są tam znakomici akompaniatorzy pianiści, świetnie znający całą literaturę operową. Nie utrzyma się tam nikt poniżej pewnego poziomu umiejętności. Jest to warunek istnienia tego teatru. Na każde przedstawienie przychodzi ktoś z dyrekcji, często sam dyrektor, więc każdy spektakl jest od razu oceniany.

– *Większa część publiczności to miłośnicy opery czy może snobi, chcący pokazać się w słynnym teatrze?*

– Publiczność jest przede wszystkim międzynarodowa. Może przychodzi pewien odsetek snobów, ale gdy spojrzysz się na najczęstsze zachowania i reakcje widzów, to widać, że większość z nich kocha operę i jest spontaniczna w wyrażaniu zachwytów. Największym komplementem dla śpiewaka kłaniającego się po zakończonym spektaklu jest widok programów podartych na strzępy, spadających przy nim z trzeciego balkonu.

– *Która z ról śpiewanych przez panią w Metropolitan odniosła największy sukces i równocześnie przyniosła pani największą satysfakcję?*

– Najlepiej oceniam „Otella” Giuseppe Verdiego – śpiewałam Desdemonę. Wszystko w tym spektaklu było przeze mnie wyma-

rzony. Franco Zeffirelli reżyserował oraz projektował kostiumy (strasznie ciężkie) i przepiękne dekoracje. Moja przygoda z tym spektaklem zaczęła się od spotkania z Zeffirellem, który poprosił mnie, bym przeczytała mu tekst całej mojej partii. Byłam cudzoziemką i chciał być pewien, że mój włoski jest wystarczająco dobry. To dowód na to, z jaką dbałością o najdrobniejsze szczegóły Zeffirelli przygotowuje przedstawienia. U niego wszystko musi być pewne, żadnych zaskoczeń. Partię Desdemony wręcz kochałam i kocham do dziś. Uważam, że to jest jedna z najpiękniejszych ról dla sopranu w całej literaturze operowej.

*– A czy była jakaś rola, o której kreowaniu nigdy pani nie myślała, a po zaśpiewaniu okazało się, że czuje się pani w niej świetnie?*

– Nigdy mi do głowy nie przyszło, żeby śpiewać Wagnera, a w Metropolitan zaproponowano mi rolę Elżbiety w „Tannhäuserze” i Elzy w „Lohengrinie”. Mówi się „wagnerowski głos” – to niemal grzmot, jak na przykład wokalista Birgit Nilsson – takim przecież nie dysponowałam, ale te role, które mi zaproponowano, można również śpiewać lirycznie, jest w nich mnóstwo fraz lirycznych, wręcz belcantowych. I okazało się, że ja – śpiewaczka preferująca repertuar włoski, Mozartowski – zostałam znakomicie przyjęta, zarówno przez publiczność, jak i krytykę. Nie pretendowałam do posiadania „wagnerowskiego głosu”, niczego nie udawałam, zaśpiewałam moim normalnym wokalem, który przez wiele lat śpiewania zdecydowanie się wzmocnił.

*– Ta wagnerowska propozycja panią zaskoczyła, ale przyjęła ją pani.*

– Byłam już wtedy naprawdę dojrzałą śpiewaczką i doskonale zdawałam sobie sprawę, że akurat tym dwóm rolom podołam. Trzeba mądrze kierować swoim rozwojem. Nie wolno przeskakiwać po kilka stopni bez wiedzy, czy to się uda. Czasem trzeba odmawiać.

*– Czy w Metropolitan można odmówić?*

– Ależ oczywiście. Nie przyjęłam na przykład roli Leonory w „Fideliu” Beethovena. Wręcz powiedziałam dyrektorowi: chyba pan żartuje!



– *Wtedy była już pani znaną śpiewaczką, ale na początku współpracy z tak słynnym teatrem nie odmówiłaby pani?*

– Na początku nie musiałam, bo śpiewałam bardzo dużo Mozarta. Już w Europie miałam wszystkie sopranowe partie mozartowskie w repertuarze. Nie był więc to dla mnie teren nieznany. Debiutowałam w Metropolitan rolą Donny Elviry w „Don Giovannim”, zresztą właśnie tą rolą rozpoczynałam karierę w niemal wszystkich znaczących teatrach. Przez pierwsze dwa–trzy lata obsadzano mnie zazwyczaj w Mozarcie, a potem stopniowo napływały inne propozycje.

– *Czy to prawda, że zarząd Metropolitan ma swoich „szpiegów”, którzy jeżdżą po europejskich teatrach operowych i wychwytują talenty?*

– Tak było i ze mną. Przedstawiciel dyrektora zobaczył mnie w kilku rolach, zawiadomił Nowy Jork o moim istnieniu, i od razu zostałam tam zaproszona. Nawet nie miałam żadnego przesłuchania. Od razu wzięłam udział w spektaklu. Widać, jakie zaufanie ma dyrektor do swoich wysłanników, że z pełnym spokojem angażuje śpiewaka poleconego przez nich.

– *Debiut w Metropolitan to przeżycie, którego się nie zapomina?*

– Tak, to niezapomniane chwile. Miałam pełną świadomość tego, że stoję na scenie jednej z największych oper na ziemi, że zaproszono mnie do tej świątyni sztuki... Wszystko wspominam teraz jako wielkie, odświeżające, niesamowite. Dwa miesiące wcześniej śpiewałam w San Francisco, więc tam był mój amerykański debiut.

– *Kiedy jeszcze była pani związana kontraktem z Metropolitan, śpiewała pani w innej operze owianej legendą – w La Scali.*

– Nie czułam się tam najlepiej, choć oczywiście występ w tym teatrze jest dla każdego śpiewaka ważnym wydarzeniem. Moja przygoda z La Scalą zaczęła się od tego, że do mojej garderoby przyszedł „capo della claca” i – ponieważ śpiewałam główną rolę

kobietą – chciał ode mnie pieniędzy za swoje usługi. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że panują tam takie zwyczaje. Oczywiście odmówiłam, stwierdzając, że nie będę zrozpaczona, jeśli publiczność mnie wygwizdże, a ponieważ po raz pierwszy śpiewam w tym teatrze, chcę poznać prawdziwą reakcję sali.

– *Czy system pracy w La Scali jest podobny do tego obowiązującego w Metropolitan?*

– Absolutnie nie. Jest dużo bałaganiarstwa. Na przykład kostiumy często nie są gotowe na czas albo są zrobione niedokładnie. Zaśpiewałam tam kilka przedstawień, ale tamtejsza atmosfera nie odpowiadała mi. Może dlatego, że to w Metropolitan czułam się jak w domu.

– *Na początku pani zagranicznej kariery, po zdobyciu nagrody na konkursie w Monachium, śpiewała pani w kilku teatrach niemieckich. Czy z własnej woli przenosiła się pani z jednego do drugiego, czy też taka była konieczność?*

– Z własnej. W każdym byłam po dwa lata. Pierwszy był teatrzyk w Zagłębiu Ruhry. Odegrałam tam bardzo dużo ról, ale w pewnym momencie powiedziałam sobie, że trzeba iść dalej w świat.

– *Czyli było to planowane?*

– Więcej było w tym instynktu niż taktyki. Czułam po prostu, że w tym miejscu zdobyłam już wszystko, co mogłam. Na początku nauczyłam się przede wszystkim języka, bo przyjechałam tam bez jakiegokolwiek znajomości niemieckiego, a wtedy śpiewało się partie w języku danego kraju. Pamiętam, że moją pierwszą operą była „Madame Butterfly” i wszystko czytałam fonetycznie. Byłam dosyć uzdolniona językowo i od razu wyczuwałam tę melodię. Oczywiście ciężko pracowałam pod kierunkiem bardzo wymagającego dramaturga, żeby jak najszybciej opanować język. Lubię, kiedy wszystko jest przygotowane na sto procent. Dziś u niektórych śpiewaków dostrzegam muzyczne niechlujstwo. Słyszę nie do końca to, co jest w nutach. Panuje wielka dowolność. Nie znoszę tego i bardzo z tym walczę. Biblią muzyka jest partytura i przede wszystkim trzeba

nauczyć się tego, co jest w niej zawarte, a dopiero później można próbować różnych interpretacji.

– *Pierwszy angaż do opery otrzymała pani w Krakowie?*

– Tak, to było jeszcze pod koniec studiów.

– *A dlaczego akurat do opery krakowskiej, skoro studiowała pani w Łodzi?*

– Dziekanem wydziału wokalnego w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi (tak ona się wówczas nazywała) był Mieczysław Drobner – krakowianin. Kiedy został dyrektorem opery w Krakowie, zrezygnował z pracy w Łodzi i zaproponował mi angaż w tamtejszej operze. Przyjęłam to oczywiście z pocałowaniem ręki, były to dla mnie wielki zaszczyt i okazja do zawodowego startu. Wtedy rzadko się zdarzało, by studentów angażowano na stałe. W Krakowie nie byłam długo – zdążyłam zaśpiewać w trzech operach i pojechałam na konkurs do Monachium. Przygotowywałam się do niego z Rajmundem Ambroziakiem, cudownym pianistą kameralnym z Łodzi, przez ponad rok. Program był niezwykle dokładny, czułam się w nim pewnie, no i udało się. Nie zdobyłam co prawda pierwszej nagrody, tylko trzecią, ale znajdowali się tam agenci różnych teatrów i zauważyli mnie.

– *Ten konkurs był dla pani ważny nie tylko ze względu na nagrodę, lecz także zmienił pani podejście do własnego śpiewania.*

– O, tak. Po jego zakończeniu przewodniczący jury, rektor Akademii Muzycznej w Monachium, a więc wielki autorytet, zapytał mnie, dlaczego startowałam w kategorii oratoryjno-pieśniarskiej, a nie operowej. To była dla mnie zupełna nowość, bo w szkole mówiono mi, że nie mam górnych dźwięków, ale z kolei mam wszelkie walory, by śpiewać pieśni i oratoria. Więc aż wykrzyknęłam: jak to, to ja mogę śpiewać w operze?! Wtedy zmieniłam swoje myślenie i tylko dlatego przyjęłam propozycję agenta z opery w Oberhausen. Gdyby przyszedł do mnie przed tą, tak dla mnie znaczącą, rozmową, pewnie zrezygnowałabym, bo byłam przekonana, że nie nadaję się do opery.

– *Wydaje się, że w łódzkiej szkole źle oceniono pani głos.*

– Miałam wielkie zaufanie do moich pedagogów i to, że w kategorii pieśniarsko-oratoryjnej zdobyłam tę nagrodę, potwierdzało ich decyzję. Nie spodziewałam się, że mój głos może tak bardzo się rozwinąć, co przewidział przewodniczący jury. Śpiewałam dużo recitali pieśniarskich (od których w ogóle zaczynałam i które uwielbiałam), oratoriów (które mnie bardzo interesowały), ale nigdy nie przypuszczałam, że moim pierwszym miejscem pracy będzie opera.

– *Studiowała pani śpiew u profesor Olgi Olginy, która była znaną postacią w łódzkim środowisku muzycznym.*

– To była osoba o wysokiej kulturze muzycznej i ogólnej, świetna pianistka do tego, i naprawdę ogromnie dużo się u niej nauczyłam. Kiedy jednak pojechałam do opery w Niemczech i zaczęłam podczas ćwiczeń szukać tych górnych dźwięków, wielka praca była jeszcze przede mną. I proszę sobie wyobrazić, że musiała się u mnie jakaś „klapka” otworzyć, skoro pierwszą rolą była Traviata, której cała partia znajduje się w wysokiej tessiturze i wymaga koloratury i biegłości dźwięków. Dzisiaj jako pedagog mogę stwierdzić, że nie każdy pedagog może każdemu studentowi pomóc, bo nie ma jednej formuły dla wszystkich. Czasem trzeba z kimś więcej popracować nad psychiką niż nad głosem.

– *Czy w pani życiu zawodowym, już po studiach, byli śpiewacy, których podziwiała pani szczególnie i stali się dla pani wzorem?*

– Maria Callas, ale też wielu innych artystów. Anna Moffo, włoska śpiewaczka, piękna kobieta, poznałam ją zresztą w Nowym Jorku. Renata Tebaldi, Giuseppe di Stefano...

– *Czy każdego z tych artystów podziwiała pani za konkretne osiągnięcia, szczególnie wspaniałe role, specyficzne walory ich warsztatu wokalnego?*

– Wszystkich tych wymienionych śpiewaków ceniłam za kształt ich sztuki wokalne. Obojętne, co śpiewali, robili to wspa-

niale. Później zaczęłam zwracać uwagę na szczegóły. Na przykład Moffo była świetna w „Traviacie”, zdążyłam jeszcze zobaczyć ją w tej roli w Metropolitan.

– *Chodziła pani na spektakle?*

– Oczywiście, widziałam Tebaldi w „Tosce” i w „Otello”. Z tych występów wspaniałych śpiewaków wynosiłam wskazówki dla siebie. Chociaż wszystko mi się podobało – bo nie mogło być inaczej – odkrywałam również pewne słabości. Gdzieś tam coś mi się nie zgadzało. To dało mi praktyczne potwierdzenie znanej prawdy, że człowiek to nie nakręcany mechanizm, ale żywy organizm z nękającymi go słabościami. Na przykład Tebaldi bała się górnych dźwięków – kto by pomyślał – przy tym cudownym, anielskim głosie. Caldas uwielbiałam za zupełnie nieskończone możliwości techniczne jej głosu. Te różne obserwacje, cenne dla mnie, doprowadziły mnie do wniosku, że mogę wszystkiego się nauczyć, tylko muszę zdawać sobie sprawę, czego mi brakuje, co chcę osiągnąć, i intensywnie szukać osoby, która pomoże mi w dojściu do celu. I znalazłam – miałam dwóch profesorów w Niemczech. Musiałam, bo nie byłam z siebie całkowicie zadowolona. A to ja powinnam być najpierw usatysfakcjonowana, a dopiero później publiczność.

– *To nie zawsze idzie w parze. Publiczność może wiwatować, a artysta przeżywa porażkę, bo coś, czego inni mogą nawet nie słyszeć, nie wyszło tak, jak by chciał.*

– No właśnie, i to mówię dziś studentom – macie piękny gatunek głosu, ale technicznie nie jest wszystko w porządku, publiczność może was okłaskiwać, żądać bisów, ale musicie sobie zdawać sprawę ze swoich niedoskonałości i nad nimi pracować, a nie cieszyć się, że wywołują was któryś raz na scenę. Mówią mi wtedy, że są przecież dobrzy, bo mają na przykład podpisany kontrakt w jakimś teatrze na trzy lata z góry. Wtedy staram się im wytłumaczyć, że to jeszcze nic nie oznacza, że właśnie wtedy, kiedy ma się te swoje pięć minut, kiedy sypią się zaproszenia, trzeba nieustannie, regularnie pracować, żeby mieć taką samą formę, kiedy te trzy lata upłyną.

– *Czyli śpiewak musi pracować nad sobą nieustannie?*

– Do końca życia. Czy pani wie, ile teraz uczę się od studentów? Wydawało mi się, że już wszystko lub prawie wszystko w tej dziedzinie wiem, tymczasem podczas pracy ze studentami odkrywam zupełnie nowe rzeczy dla siebie. To jest wszystko takie zmienne, tak szalenie ulotne. Czasami odnoszę wrażenie, że młodzi śpiewacy nie całkiem są świadomi roli, która jest im dana do odegrania.

– *Partnerowali pani najwybitniejsi śpiewacy naszych czasów. Współpracę z którym wspomina pani w sposób szczególny?*

– Szczególnie zapadło mi w pamięć przedstawienie w Covent Garden z Johnem Dickensem, kanadyjskim tenorem. Nie miał on pięknego głosu i technicznie też nie był perfekcyjny, ale śpiewał z takim zaangażowaniem, że wierzyło się w każde słowo, w każdy dźwięk przez niego zaśpiewany. Kiedy miał udusić Desdemonę w ostatniej scenie „Otella”, robił to tak sugestywnie, że w połączeniu z muzyką podkreślającą dramatyzm chwili ciarki przechodziły mi po plecach. Kiedyś mi powiedział: dziś nie będę śpiewał emocjonalnie, bo nie czuję się na sto procent, wyłączam część moich uczuć. Taka umiejętność jest dla śpiewaka ważna, bo emocje mogą przeszkodzić. Gdy byłam jeszcze bardzo młodą śpiewaczką, płakałam w „Madame Butterfly” w scenie pożegnania z dzieckiem. Usłyszałam wtedy od dyrygenta, że ja nie mogę płakać na scenie, tylko muszę spowodować, żeby publiczność płakała.

– *Czyli śpiewak nie może poddawać się emocjom, ale równocześnie musi je przekazywać publiczności.*

– Z czasem wyrobiłam w sobie pewną umiejętność polegającą na tym, że w momentach szczególnych emocji dawałam pochłaniać się muzyce, na nią niejako przelewałam te uczucia. To fraza muzyczna musiała brzmieć emocjonalnie, muzyka niosła ten ciężar, była nabrzmiała wyrazem. Znalazłam ten złoty środek.

– *W osiągnięciu takiej frazy ważny jest udział orkiestry, a więc także współpraca z dyrygentem.*

– Naturalnie. Znakomicie współpracowało mi się w Metropolitan z Jamesem Levine’em. Zaśpiewałam z nim ogromną liczbę przedstawień. Przychodziłam na jego próby, siedziałam na widowni i mnóstwo się uczyłam. On wymagał intensywności dźwięku i pogłębionego wyrazu, ale z umiarem, bez przesady w żadną stronę. Wyczuwał od razu, gdzie chciałabym zaśpiewać piano, rozumieliśmy się bez słów.

– *Ale nie zawsze bywa tak idealnie. Co pani robiła, kiedy ten kontakt był trudniejszy i chciała pani przeforsować swój pomysł?*

– Nie miałam z tym żadnych problemów. Colin Davies w Covent Garden powiedział mi kiedyś: właściwie to tobie mogę oddać pałeczkę. Najczęściej dyrygent słucha, co – i czy w ogóle – śpiewak ma do zaproponowania. Jeśli słyszy, że śpiewak wie, czego chce, i umie to wyrazić, przekazać, to podąża za nim i nie próbuje dominować.

– *Czy kiedy słucha pani innych śpiewaków w spektaklach operowych lub podczas koncertów, analizuje pani szczegóły wykonania, wychwytuje błędy albo szczególnie dobre miejsca, czy też daje się pani ponieść emocjom i zatapia w muzyce?*

– Wyłączam absolutnie własną wizję i chcę jak najwięcej usłyszeć od kogoś innego, staram się podążać za akcją i wychwycić, jaka jest koncepcja danej postaci.

– *Bohaterowie oper to galeria bardzo różnych postaci, od bajkowych, fantastycznych, po całkiem realne. Czy jest jakaś postać, z którą utożsamiała się pani najbardziej?*

– Desdemona z „Otella” Verdiego. Podejrzewano ją o zdradę, a wcale się jej nie dopuściła. Podobny konflikt dotyczy zresztą Traviaty i Donny Elviry z „Don Giovanniego” Mozarta. Wcielanie się w postaci zdradzonych kobiet jakoś mi najlepiej wychodzi. Dobrze to czuję.

– *Jak przygotowywała się pani do śpiewania nowej roli? To chyba nie tylko kwestia opanowania nut?*

– Oczywiście na początku, jeśli niedokładnie znałam rolę, musiałam zorientować się, czy odpowiada mojemu głosowi, czy tessitura jest odpowiednia. Potem zapoznawałam się z treścią całego libretta i zaczynałam próby z pianistą, podczas których dokładnie uczyłam się roli. Później były próby z reżyserem, od którego, jeśli był tak wspaniały jak Franco Zeffirelli, można było dużo się dowiedzieć i nauczyć.

– *Teraz reżyser króluje w operze, jego nazwisko wymienia się na afiszach jako pierwsze, nawet przed kompozytorem, który często jest podawany na samym końcu. Czy opera „reżyserska”, z którą mamy teraz do czynienia, jest dla pani do zaakceptowania?*

– Absolutnie nie, pocieszam się tylko, że teatr operowy przeżywa różne okresy, nie tak dawno prym wiedli dyrygenci, więc i obecny trend przeminie. Trzeba go przeczekać. Szkoda, że śpiewacy rzadko bywają traktowani pierwszoplanowo.

– *Inna sfera pani działalności to pieśniarstwo. Do wykonywania pieśni, oprócz innej wrażliwości, potrzebne są zapewne także trochę odmienne umiejętności?*

– Ze względu na strukturę pieśni potrzeba maksymalnej mobilizacji wykonawcy, by w czasie trzech–czterech minut przekazać to, co w pieśni zawarte. Przynajmniej te najbardziej oczywiste treści i emocje. To wielka trudność. Bardzo ważne są też styl, dostosowany do epoki i konkretnego kompozytora, oraz technika śpiewania, na pewno nie operowa. Pieśń można przyrównać do intymnego kontaktu śpiewaka z publicznością. Nie ma tu numerów popisowych, a największą uwagę należy zwrócić na wyraziste przekazanie tekstu, a więc ważna jest dykcja, która nie jest mocną stroną śpiewaków operowych. Im łatwiejsza pieśń, tym trudniejsza do wykonania, bo trzeba znaleźć do niej klucz. Jeśli się go nie znajdzie, to wykonywanie jej nie ma sensu.

– *W jednym z wywiadów powiedziała pani, że nigdy nie przypuszczała, że tak wciągnie ją pedagogika. Kiedy zaczęła pani uczyć i jak do tego doszło?*



– Dla mnie to jest dalszy ciąg kariery. Przekazuję studentom wszystko to, co wiem, co sprawdziłam na sobie, ostrzegam przed pułapkami, a mnie się wydaje, jakbym jeszcze raz stała gdzieś na scenie, przeżywam to, choć oczywiście inaczej. Jeszcze kiedy śpiewałam w Metropolitan, kilka osób pytało mnie, czy daję lekcje. Powiedziałam, że absolutnie nie, a sama pomyślałam sobie: przecież ja tego nie potrafię robić. W 1990 roku zaproszono mnie do poprowadzenia kursu mistrzowskiego w Akademii Muzycznej Maurice’a Ravela na południu Francji. Przyjęłam tę propozycję i sama nie mogłam uwierzyć, jak mi to wszystko gładko szło. Przez moje długie życie tyle zarejestrowałam wiedzy na te tematy w sercu i w pamięci, że dopóki tego nie przekazywałam nikomu, nie miałam świadomości istnienia tych pokładów. Jest to oczywiście zajęcie trudne i niezwykle odpowiedzialne. Dzisiejsi studenci są bardzo krytycznie nastawieni, ale mnie to nie przeszkadza, wręcz lubię twórczą wymianę zdań.

*– Nie uczyła pani w żadnej akademii na stałe. Brakowało propozycji czy też był to pani celowy wybór?*

– Pojawiały się propozycje z różnych krajów świata, ale nie chcę ich przyjąć. Boję się rutyny. Codziennie to samo. Rutyna to jest początek końca.

*– Czy śpiewająca młodzież, z którą się pani styka, jest inna od tej z czasów, kiedy pani rozpoczynała karierę?*

– Spieszą się, nie mają czasu, są niecierpliwi. Im się wydaje, że jeżeli nie zrobią tego szybko, to coś im ucieknie. Tłumaczę im, że wręcz przeciwnie, że nic im nie umknie, jeśli do kariery solidnie się przygotowują. Pozostawienie sobie czasu na rzetelną pracę działa właśnie na ich korzyść, ale trudno mi ich do tego przekonać.

*– Być może chodzi o wielką konkurencję, o to, że im wcześniej się zacznie, tym ma się większe szanse?*

– Ale to myślenie krótkowzroczne. Jeśli już w trakcie kariery ujawnią się słabości związane ze zbyt powierzchownym wykształ-

cenieniem, to dopiero problem. I co, zaczynać wszystko od początku? Wtedy jest za późno.

– *Co by pani radziła wokalistom przygotowującym się do zawodu? Branie udziału w konkursach? Zaangażowanie dobrego menadżera?*

– Konkursy nie zaszkodzą nikomu. Są motywacją do pracy, pozwalają spojrzeć na siebie krytycznie w kontekście innych uczestników. Menadżer jest ważny, ale gdzie może on dostrzec młodego wokalistę? Przede wszystkim na konkursach.

TERESA ŻYLIS-GARA, ur. w Landwarowie (Lentvaris) koło Wilna. Wybitna śpiewaczka (sopran) i pedagog muzyczny. Studentka Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. 1956 debiutowała rolą Halki w „Halce” Stanisława Moniuszki w Operze Krakowskiej. Wkrótce po tym rozpoczęła wielką międzynarodową karierę. Śpiewała w największych teatrach operowych. Od 1980 mieszka w Monako.

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL, absolwentka Wydziału Muzykologii oraz Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Współpracowała m.in. z „Tygodnikiem Kulturalnym”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Poradnikiem Muzycznym” oraz z pismem muzycznym „Twoja Muza”.

# Stan niemożności

---

*Z Marcinem Bornusem-Szczycińskim, śpiewakiem i znawcą muzyki dawnej, rozmawia Marcin J. Witan*

– Zespół *Bornus Consort*, którego jesteś założycielem, obcho-  
dził w zeszłym roku trzydziestolecie istnienia. W repertuarze ma-  
cie między innymi trójgłosowe kompozycje Mikołaja z Radomia  
czy flamandzkiego kompozytora Johanessa Ockeghema. Zajmu-  
jecie się także studiowaniem muzyki średniowiecznej od chorału  
gregoriańskiego do późnośredniowiecznej wielogłosowości, jeste-  
ście więc badaczem muzyki dawnej.

– Badaczem bywam z konieczności. Badam tylko to, czego  
muzykolodzy nie biorą pod uwagę, a co jest mi potrzebne. Jestem  
przede wszystkim praktykiem.

– Na co dzień jesteś kantorem, czyli zawodowym śpiewa-  
kiem.

– Od trzydziestu lat żyję ze śpiewania... Aktualnie jestem kanto-  
rem stałym w powstającej Świątyni Opatrzności Bożej w warszaw-  
skim Wilanowie oraz w parafii Świętej Marii Magdaleny w Magda-  
lence. Śpiewam tam w niedziele i święta. W Magdalence o jedena-  
stej, a w Wilanowie o dziewiętnastej i dwudziestej trzydzieści.

– Poza tym uczysz śpiewu liturgicznego.

– Przez dwadzieścia lat uczyłem dominikańskich kleryków śpie-  
wu gregoriańskiego i nadal współpracuję z Dominikańskim Ośrod-  
kiem Liturgicznym oraz prowadzę kursy śpiewu gregoriańskiego.

– Dominikanie słyną ze starannej liturgii, zwłaszcza *Triduum*  
*Paschalnego*.

– Na ogół tak. Wiem, że właśnie liturgia przyciągnęła większość kandydatów do zakonu dominikańskiego, więc coś w tym jest. Choć moim zdaniem zbyt dużo elementów zależy od mody, a liturgia zasługuje na bycie ponadczasową. Myślę tu przede wszystkim o chorałe gregoriańskim, którego dramatycznie brakuje u dominikanów, jak zresztą w całym dzisiejszym Kościele. We mszy świętej nie ma go prawie wcale. Dobrze, że pojawia się na codziennych nieszporach.

– *Ale jest przecież uzasadniony historycznie, kształtował się w historii, wynika z niej. Tak jest z dominikanami?*

– Tu cię zaskoczę. Dominikanie nie mieli zbyt dobrej reputacji liturgicznej! Świętej pamięci ojciec Placyd Galiński, benedyktyn, znawca chorału zasłużony dla liturgii, pytany przeze mnie o dominikańskie zwyczaje liturgiczne machał ręką i mówił: „To ten gust dominikański, niech pan na to nie zwraca uwagi”.

W XX wieku zarzucano dominikanom, że śpiewają za głośno, za ostro, że ich chorał jest uproszczony. Natomiast od XIII wieku do dziś niewątpliwie mają najlepszy opis muzyki liturgicznej. Precyzyjną notację, rubryki i traktaty. To przecież ojcowie scholastyki, a więc sztuki pomiaru rzeczy niemierzalnych.

Dzięki tym opisom dawnej liturgii i śpiewu cokolwiek dziś o tym wiemy. Korzystamy z ich szczegółowych źródeł, dostosowanych, o dziwo już wtedy, jakby do naszej mentalności. Dzięki temu możemy je zrozumieć. A to dość wyjątkowe.

– *Żeby mieć jakiekolwiek pojęcie o muzyce dawnej, musimy mieć jej zapis, zobaczyć go.*

– Zapis to tylko fragment muzycznej rzeczywistości. Podstawą tej muzyki jest tradycja ustna. Zaryzykowałbym nawet tezę, że zapis uszkadza tę tradycję, bo umiera pamięć, a jeśli coś nie jest pamiętane, to nie jest tradycją.

– *Ale żeby zaśpiewać, trzeba mieć wzorzec. Jeśli jest on zapisany, to jest trwalszy, choć jesteśmy skazani na próby jego interpretacji.*

– Bardzo często.

– Ale dodatkowo zaczyna się przygoda szukania tej właściwej metody. Gdyby opierać się tylko na przekazach ustnych, to skąd wziąć ludzi, którzy pamiętają? Mówisz o takim modelu, jak w starożytnej Grecji – wędrowny aoida, śpiewak, opowiadacz zna melodię i tekst, i tylko on może przekazać je dalej – ustnie – następcy, a ten kolejnemu – i tak dalej.

– To jest podstawa tradycji.

– I możemy odtworzyć ten łańcuch od średniowiecza do dzisiaj?

– Wierzę, że wciąż możemy i odtwarzamy, ale obecnie z wielką trudnością. Ten łańcuch jest trudny do zobaczenia, często się z nim mijamy i, zniecierpliwieni, rwiemy go. Chcemy szybko dotrzeć do źródeł. Tak zrobili benedyktyni w XIX wieku. Odrzucili tradycję ustną, uznawszy ją za skażoną. Używali przy tym argumentu, który dziś wydaje się szalony, mianowicie że tradycja jest zbyt stara, by mogła być prawdziwa! Zwrócili się więc ku swoim rękopisom z wieków IX, X, XI – twierdzili, że tylko z nich dowiedzą się prawdy o chorale gregoriańskim.

Co nam to przypomina? Luterzańską zasadę *sola scriptura* – „tylko pismo”.

– Błędą – Pismo święte kształtowało się w kręgu Tradycji. I tak jest z chorałem?

– Trzeba pamiętać o kontekście historycznym tamtych czasów. Po Wielkiej Rewolucji Francuskiej to była wypalona ziemia. Przez kilkadziesiąt lat nie rodziła. Pierwszy klasztor, właśnie benedyktyński, zaczęto odbudowywać dopiero czterdzieści trzy lata po rewolucji, i to wcale nie zakonnicy zatroszczyli się o to, bo ich nie było. Zabrakło trzech pokoleń najpewniejszych strażników tradycji. Tradycja ustna wydawała się więc wycięta, stąd zwrot w kierunku pisma. Dopiero dziś widzimy, że tradycja ustna jednak przetrwała, a interpretacja zapisu okazała się znacznie bardziej skomplikowana, niż wówczas sądzono. Zapis to tylko część muzyki, a nie jej całość. Na Zachodzie często o tym zapominamy.

– *Ale skoro mamy oryginalny zapis z przeszłości, to chyba warto się go trzymać? Jeśli nie możemy odtworzyć ludzkiego łańcucha, to pozostaje zapis. Przecież nie mógłbyś śpiewać XIV-, XV-, XVI-wiecznych kompozycji, gdybyś nie miał nut.*

– *Mógłbym. Dziś już wiem, że mógłbym. Spójrz na przykład na Koptów. U nich cała muzyka jest przekazywana wyłącznie przez tradycję ustną. Aż do końca XX wieku nie było absolutnie żadnej notacji muzycznej. Parę lat temu podczas wielodniowego spotkania z Koptami zaśpiewałem im zapisane „Kyrie” dominikańskie z połowy XIII wieku, zrekonstruowane według mojej najlepszej wiedzy, pochodzącej zresztą z jedyne go traktatu na ten temat. Co się okazuje? Że to jest to samo „Kyrie”, które oni mają w swoim repertuarze!*

Kościół koptyjski oddzielił się od pnia rzymsko-bizantyńskiego w 451 roku, na soborze w Chalcedonie, na skutek, jak mówił Jan Paweł II podczas pielgrzymki do Egiptu, niesłusznego oskarżenia o monofizytyzm. Od tego czasu Kościół koptyjski nie miał żadnych kontaktów muzycznych i liturgicznych z Zachodem, nic. I okazuje się, że przechowali „Kyrie” w przekazie ustnym!

– *To wspaniałe odkrycie.*

– *Genialne! Pokazuje, jak mocna jest tradycja oralna. Ale też pokazuje drugą stronę – zapis i jego interpretacja nie muszą koniecznie uszkodzić muzyki. Te drogi mogą i powinny się spotykać.*

– *W Polsce to jednak niemożliwe.*

– *W Polsce jest tak jak na Zachodzie. Z tym, że mamy też coś specyficznego – tradycja ustna jest relatywnie lepiej zachowana niż dalej na zachód. Nasz łańcuch pamięci jest skomplikowany. Istnieją w nim ogniwa zapamiętane, zapisane, jest poprzerany, odtwarzany z różnym skutkiem. Na przykład przez XIX-wiecznych organistów kościelnych. Tworzyli oni śpiewniki dla ludu, przyczyniając się do przechowywania wspaniałej tradycji teologicznej z XVI i XVII wieku, choć przez zapis muzykę znacznie uproszczono. Jednak nie musi tak być zawsze, jak pokazuje przykład „Kyrie”.*

– *Ta historia z Koptami świadczy też, że muzyka liturgiczna Zachodu ma swoje źródło w rzymskiej liturgii godzin Kościoła*

*jeszcze niepodzielonego. Zmiany zaczęły się w czasach karolińskich, aż w średniowieczu sformowano melodykę psalmów, antyfon, zapisywaną w konkretny sposób.*

– Tak, to ważna uwaga. Źródła formy liturgicznej są wschodnie i dla Wschodu i dla Zachodu. Ale nawet w Kościele niepodzielonym, czyli w pierwszym tysiącleciu, istniały już dwa oddzielne rytury. I oba zmieniały się w swoich kierunkach. Z tym, że antropologia tych zmian była różna na Wschodzie i Zachodzie. Najpierw popatrzmy na Wschód. Tam decyduje indywidualność wykonawcy, który staje się właściwym twórcą, autorem tu i teraz, mającym dużą swobodę na przykład w kształtowaniu ostatecznej linii melodycznej śpiewu. Wtedy nadaje mu on swoje niepowtarzalne piętno, nie modli się cudzą metodą. Kiedy umiera, pozostawia następcom tylko moduły melodyczno-retoryczne i wiedzę o sztuce ich łączenia. Nie zostawia gotowej melodii. Następni wykonawcy muszą podjąć ów trud od początku, na swój rachunek. Wydawałoby się, że to metoda, która zaprzepaszcza dorobek przeszłości, tymczasem nie! Da się zobaczyć ciągłość, inspirację, obecne w nieustannej zmianie.

Muzyka jest żywa, praktykowana z pokolenia na pokolenie, co daje poczucie pewności. Można zaryzykować twierdzenie, że to właśnie zmienność jest gwarancją zachowania ciągłości tradycji.

*– Tymczasem na Zachodzie mieliśmy tendencję do formalizacji interpretacji muzycznych, melodyki.*

– Właśnie, zapisywaliśmy. Staraliśmy się utrwalić najlepszą wersję. Zakonserwować. Wspomagaliśmy pamięć, ale jednocześnie wyręczając ją pismem – osłabialiśmy ją. To zasadniczo ta sama liturgia co na Wschodzie, ale w jakimś momencie zatrzymana. Czasy karolińskie nie stworzyły nowej liturgii, jak się często sądzi. Wręcz przeciwnie, przejęły całą Tradycję i jak najdokładniej starały się ją opisać. Najpierw w postaci tekstu, a w następnych wiekach – muzyki. Oczywiście ciągle pozostawał znaczny margines swobody, niezbędny dla indywidualnej wolności i rozwoju duchowego. Problem pojawił się dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy traktować ten zapis jako całkowicie wystarczający i w dodatku jedyny słuszny

i powszechnie obowiązujący. Tak stało się w przypadku chorału gregoriańskiego i jego benedyktyńskiej rekonstrukcji w XIX wieku, o której mówiłem wcześniej. Na początku XX wieku, po krótkich i gwałtownych sporach, narzucono całemu Kościołowi łacińskiemu jedną interpretację chorału, dokonaną w oparciu o prawdziwe źródła, ale zinterpretowane, jak się później okazało, w sposób woluntarystyczny. Czyli z prawdziwych źródeł historycznych powstał fałszywy historycznie obraz średniowiecznej muzyki!

– *Skąd o tym wiemy?*

– Skorzystano tylko z niektórych notacji z kręgu klasztoru Saint-Gallen z IX, X, XI wieku i z klasztoru Laon z XI wieku. Te notacje to nie nuty takie jak w dzisiejszym zapisie muzycznym, tylko specjalne znaczki stawiane powyżej tekstu, obrazujące przejście od jednego stanu do następnego. Od jednego napięcia do drugiego. Śpiewak znał tę melodię w wyniku codziennego praktykowania tradycji ustnej, dostawał także dodatkową porcję wskazówek interpretacyjnych głównie o rytmie, ale też na przykład o kierunku melodii, czasem o ornamentach. Odtworzenie zaś kompletnej muzyki jedynie z tego zapisu w XIX wieku, ale także i teraz, było i jest niemożliwe. A ponieważ jednocześnie zanegowano wartość przekazu tradycji ustnej, jako skażonej upływem czasu, *de facto* stworzono nowy śpiew, odpowiadający ówczesnym wyobrażeniom o muzyce średniowiecznej, ale mający niewiele wspólnego z historycznym śpiewem chorałowym. I tak powstał chorał śpiewany do dziś. Nie chcę go dyskredytować. To już ponad sto lat nowej modelitewnej tradycji. Może to być bardzo dobra muzyka, i to muzyka teofaniczna, czyli prowadząca do Boga. Ma swoje trwałe miejsce w Tradycji. Trzeba tylko wiedzieć, że nie jest to jedyna słuszna interpretacja.

– *Z jej kręgu pochodzą, popularne dziś, francuskie czy hiszpańskie wykonania chorału gregoriańskiego?*

– Zasadniczo tak. Ale śpiew ten żyje własnym życiem. Znaczenie się zmienia w czasie i przestrzeni. Jeśli porównać nagrania śpiewów w klasztorze Solesmes na początku XX wieku w latach



sześćdziesiątych i na przełomie XX i XXI wieku, to są to różne zjawiska. Każdy klasztor ma swoją specyfikę śpiewu. Śpiew benedyktynów tynieckich na przykład, na tle innych klasztorów benedyktyńskich w Europie, jest dość mocny, wyrazisty, powiedziałbym, że „zmęźniał”.

Kiedy jestem w Tyńcu, zakonnicy zapraszają mnie do chóru i śpiewam z nimi, włączam się w ich modlitwę. Śpiewam wtedy oczywiście ich chorał gregoriański, według ich zwyczajów. To dla mnie wielka radość.

– *Czy dziś można gdzieś usłyszeć prawidłowo odtworzony chorał gregoriański?*

– Nie ma takiego czegoś jak prawidłowy chorał gregoriański. Odkąd istnieje, zawsze ludzie kłócili się o to, jak go śpiewać. Święty Bernard z Clairvaux, po reformie śpiewu liturgicznego, która jego zdaniem nadmiernie odeszła od tradycji rzymskiej, wysłał swoich kantorów cysterskich do klasztoru w Metz, mającego opinię źródła „prawidłowego” śpiewu. Kantorzy ci wkrótce wrócili i powiedzieli, że tam „strasznie” śpiewają i oni nie będą uczyć się w Metz. Bernard musiał im nakazać powrót do cystersów. Po jego śmierci jednak kantorzy zaprzestali nauki i śpiewali po swojemu. I tego „po swojemu” było bardzo dużo.

Benedyktyni francuscy oburzali się, gdy w latach siedemdziesiątych benedyktyni niemieccy zaczęli stosować tak zwane rewerberacje, czyli oddzielać dźwięki tej samej wysokości w jednej sylabie, bo na to, według nich, wskazywały źródła.

To był gorący spór! Obecnie zapomniany, ponieważ wszyscy prawie poszli śladem Niemców. Nie znaczy to, że różnice zniknęły. W klasztorach benedyktyńskich panuje wszak *stabilitas loci*, przywiązanie do miejsca, mnisi nabierają lokalnych nawyków. Jestem jednak optymistą, bo widzę, że nie powoduje to odejścia od ideałów tradycji. Przeciwnie, wzbogaca ją.

– *Liturgia z jej śpiewem to nieodłączny element życia chrześcijanina, szczególnie życia monastycznego, uporządkowanego, rytmicznego. Jej obecne zgłębianie wydaje mi się dla nas twór-*

cze. Na przykład współczesne wykonanie i nagranie „*Fulget in orbe dies*” – „Jaśniej na świecie dzień” – oficjum o świętej Jadwidze Śląskiej, z XIV-wiecznego antyfonarza cysterskiego, dokonane przez Scholę Gregorianą Silesiensem z inspiracji i pod przewodnictwem kantora Roberta Pożarskiego. Owocna próba zrozumienia i wykonania konkretnego zapisu liczącego siedemset lat. Czy to dobra droga wykonywania i utrwalania dawnej muzyki?

– Mam duże zaufanie do intuicji Roberta Pożarskiego, który już nieraz dokonał ważnych odkryć w tej dziedzinie. To on jest autorem nowożytnych rekonstrukcji muzyki liturgicznej wigilii wielkich świąt chrześcijańskich – pierwszych takich rekonstrukcji w polskim Kościele, a obawiam się, że i europejskim, a może światowym. To są wielogodzinne, monotonne śpiewy. Wydają się nie do udźwignięcia przez dzisiejszego człowieka. Gdybyś piętnaście lat temu zapytał mnie, czy współcześnie to jest możliwe, odpowiedziałbym – nie, zapomnieliśmy, nie ma powrotu, u prawosławnych – tak, u nas – skąd, kto to wytrzyma w kościele!

To jest próba nawiązania do doświadczeń Kościoła powszechnego w okresie starożytnym i do praktyk Kościoła wschodniego. Robert zrobił to po raz pierwszy w wigilię świętego Jana Chrzciciela kilkanaście lat temu we Wrocławiu. Diecezja wrocławska ma właśnie świętego Jana za patrona. Uczestniczyłem w tym nabożeństwie i jeszcze w momencie jego rozpoczęcia, o dwudziestej pierwszej, nie wierzyłem, że się uda. Myślałem, że z powodu gigantycznego repertuaru będziemy się stale mylić, że ci, którzy przyszli, zaraz wyjdą znudzeni, że wszyscy zaśniemy najdalej o pierwszej. Nic się z tego nie sprawdziło. Nawet o szóstej rano nie chciało się jeszcze wychodzić z kościoła. Od tamtej pory wiem, że to jest możliwe. Nagranie oficjum o świętej Jadwidze to podobny przykład. Poza tym tu mamy do czynienia z bardzo interesującą pionierską interpretacją rytmiczną XV-wiecznego zapisu chorałowego. To może być rewolucyjne odkrycie. Jeszcze o tym usłyszymy.

– Na okładce płyty „*Fulget in orbe dies*” znajduje się fragment rękopisu z Biblioteki Uniwersytetu Wrocławskiego, poświadczający ciekawą formę zapisu muzyki...

– Jest to słynna „ręka Gwidona z Arezzo”, który w kształcie pięciopalczastej dłoni, na przełomie XI i XII wieku, wyłożył współczesną sobie teorię muzyki. Stała się znakiem rozpoznawczym muzyki Zachodu.

– *Na każdym palcu są czarne i czerwone litery, znaczki...*

– ...nie tylko na palcu, lecz także na jego konkretnej części. Każda część odpowiada odpowiedniej skali muzycznej. Ciekawe, że tych części jest trzydzieści dziewięć – Koptowie wykonują właśnie tyle powtórzeń wezwania „Kyrie, eleison” – na pamiątkę trzydziestu dziewięciu uderzeń bicia w ciało Chrystusa.

– *Robert Pożarski jest członkiem Bornus Consort, parę lat temu zajmowało was odtwarzanie i wykonywanie polskiego liturgicznego śpiewu wielkopostnego z XIV, XV, XVI wieku. Zaowocowało to płytą „Media vita”, do której regularnie wracam, szczególnie do „XV rozmyślań o Bożym umęczeniu” – przypisywanych Władysławowi z Gielniowa – z rękopisu Biblioteki Krasińskich. Śpiew tradycyjny, a capella, monotony, jednogłosowy – niestety jakoś nie zadomowił się w naszym współczesnym Kościele.*

– W Tradycji śpiew *a capella* jest czymś naturalnym i podstawowym. Instrumenty są dopuszczane wtedy, gdy brakuje głosu, i to dopuszczane pod specjalnymi warunkami. Na przykład organy muszą być piszczałkowe. Elektroniczne w ogóle nie powinny grać w kościele. Wiele instrumentów jest po prostu zakazanych. Do organów już się przyzwyczailiśmy i uważamy je dziś nawet za liturgicznie niezbędne. Nie zdajemy sobie sprawy, że pojawiły się na przestrzeni wieków zwyczajnie z biedy, niedostatku, kiedy drogich śpiewaków zastępowano tanimi organistami i ich tanim instrumentem. Dzisiejsza reforma posoborowa, która po wiekach znów dostosowywała działania wiernych do działań celebransa, sprawiła, że od nowa trzeba szukać miejsca na organy w liturgii. Organy średnio się nadają do wzmocnienia śpiewu wiernych, bo go zagłuszają, mają nieco inny system strojenia niż śpiewacy i są umieszczone daleko od wiernych, co powoduje słabą synchronizację śpiewu i gry instrumentu. Tylko nieliczni organiści potrafią te niedogodności

częściowo, a czasem całkowicie zniwelować. Ale organy tak wrosły w kulturę, że dziś wierni nie wyobrażają sobie bez nich ślubu ani pogrzebu. Zauważmy, że na tych dwóch nabożeństwach wierni zwyczajowo akurat niemal nie śpiewają i wtedy rola organisty wzrasta – od niego zależy cały splendor muzyki.

W warszawskim klasztorze Wspólnot Jerozolimskich sprawę udziału organów w liturgii rozwiązano tak, że istnieje świetny zespół śpiewaków *a capella* złożony z zakonnic i zakonników oraz jest organista dysponujący bardzo dobrym instrumentem, przy czym gra tylko wtedy, kiedy oni nie śpiewają. Połączenie organów ze śpiewem jest bardzo trudne i rzadko się udaje.

– *W Bornus Consort staracie się przywrócić tradycyjny śpiew liturgiczny świadomości dzisiejszych chrześcijan. Robicie to na wielką skalę: wykonujecie, na przykład, polifoniczną mszę żałobną Johanessa Ockeghema z XV wieku.*

– Ten projekt, utrwalony na płycie „In Agenda Defunctorum”, był moją czwartą realizacją „Requiem” Ockeghema, najbardziej udaną. Dlatego, że wreszcie powiodło się nam ujęcie tej kompozycji na sposób średniowieczny – wolne głosy, kierujące się nie późniejszymi zasadami harmonii, ale swoją własną sztuką prowadzenia melodii. Dopiero na końcu układają się w harmonię, która nie przypomina jednak wcale harmonii rozumianej współcześnie, i to słyszeć.

– *Tyle że jest to bardzo trudne do wytrzymania dla dzisiejszego ucha.*

– Krytyk muzyczny Jacek Hawryluk napisał o tej płycie: „Wściekam się na ociekające wschodnimi ornamentacjami frazy Ockeghema, ale płyty nie wyłączam, wręcz przeciwnie!”.

– *Pogratulować, ale dlaczego przeciętne ucho tak nie znosi dawnej muzyki?*

– Dobre pytanie. Jest wiele przyczyn. Choćby taka, że nasza kultura jest polifoniczna, harmoniczna. Dla nas muzyka musi zabrzmieć akordem, żebyśmy zwrócili na nią uwagę. Śpiew wielogło-

sowy liczy się w społeczeństwie zdecydowanie bardziej niż monodyczny, czyli jednogłosowy. Kiedy próbuję się przebić z monodią, napotykam opór: chórów, scholi, z którą śpiewam, czasem nawet mojego zespołu. Dlaczego tak jest? Odpowiedź nie jest prosta. Prawda, że w stosunku do muzyki Wschodu sztuka prowadzenia melodii na Zachodzie jest żałośnie uboga. My tej melodii nie potrafimy prowadzić tak, żeby była wystarczająco interesująca. Śpiewacy też tego nie umieją. Chyba że Czesław Niemen. To był wspaniały melodysta, w naszej kulturze zupełnie wyjątkowy.

Niestety dokonaliśmy wiele, aby odciąć się od naszych wschodnich korzeni chrześcijańskich. Tych etapów w historii było wiele, czasy Karola Wielkiego, wielka schizma, czyli podział chrześcijaństwa na Wschód i Zachód w XI wieku. W muzyce do dziś stopniowo eliminuje się wszystko, co tylko przypomina o jej wschodnim pochodzeniu. Ciągłe odczuwamy potrzebę dowartościowania – oto nas już Wschód nie wiąże, mamy swoją własną zachodnią tradycję, nie gorszą, a nawet o wiele lepszą. A tu każda monodia przypomina nam właśnie wschodnie korzenie.

– *Jako kantor jednak wykonujesz ją w kościele. Jaki widzisz tego sens? Jak przyjmują to wierni i księża?*

– Gdybym nie widział sensu, tobym się tym nie zajmował. Kościół katolicki przez wieki wypracował kanon tekstów i melodii o treści nie do przecenienia, głębokich, kształcących gust muzyczny – i wierni zasługują na to, by go otrzymać, zapoznać się z nim i by móc się nim modlić. O to staram się dbać tam, gdzie mogę.

W Świątyni Opatrzności Bożej poziom liturgii jest bardzo wysoki, wiele udało się już zrobić mimo trwającej budowy i nie najlepszej akustyki. Do pracy w Świątyni zaprosił mnie proboszcz Paweł Gwiazda. Wierni też zaakceptowali śpiew tradycyjny. Ze scholą, ale też z całą wspólnotą wiernych śpiewam przede wszystkim chorał gregoriański, częściowo spolszczony, co jeszcze niedawno nie byłoby możliwe. Dla porównania: w parafii w Magdalence, gdzie jest dobra schola, udaje mi się stosunkowo niewiele. O śpiewaniu chorału gregoriańskiego na razie nie ma mowy, opór wiernych przyzwyczajonych do piosenek religijnych jest dotychczas

zbyt duży. Nie zrażam się jednak. Zamiast eksperymentować, szukać pieśni współczesnych, nowoczesnych, sięgam do mszału, do gradułu i tam znajduję śpiewy na każdy dzień, każdy liturgiczny czas. Wiem, że to jest lepsze od czegoś innego, ponieważ jest wybrane i zachowane dla nas przez Kościół. Niestety nie umiemy z tego należycie korzystać. Ten repertuar rzadko się wykonuje, bo mało kto umie to robić. Nie ma komu zaśpiewać „Introitu” na rozpoczęcie, uroczystego „Alleluja” na procesję przed ewangelią i w trakcie samej ewangelii. Ale wierzę, a nawet wiem, że ten stan niemożności jest do przełamania. I ja co tydzień go przełamuję.

MARCIN BORNUS-SZCZYŃSKI, ur. 1951, pionier wykonawstwa wokalne muzyki dawnej w Polsce, założyciel zespołu Bornus Consort. Nauczyciel chóralu gregoriańskiego. Założyciel i wieloletni dyrektor artystyczny Festiwalu Muzyki Dawnej w Jarosławiu – Pieśń Naszych Korzeni. Aktualnie doradca Festiwalu. Kantor w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie i parafii św. Marii Magdaleny w Magdalence.

MARCIN J. WITAN, dziennikarz Polskiego Radia.



# Proste pomysły

---

*Z Janem Gondowiczem, krytykiem literackim, eseistą  
i tłumaczem, rozmawia Sławomir Kwiecień*

– Jak pan zapamiętał swoje dzieciństwo?

– Mógłbym odpowiedzieć, że było jak wszystkie, ale niestety jest w nim wstydlivy szczegół. Miałem nianię.

– Ach, wyszło...

– ...szydło z worka. Rodzice chyba ciut nie wiedzieli, jak się zabrać za hodowlę dziecka i wpadli na pomysł sługi chustkowej do wszystkiego – całkiem jak z opowiadania „Na kuchennych schodach” Gombrowicza – która przy okazji zajmie się małym. Genialne rozwiązanie! Cały czas, o ile się orientuję, zajmowało im zarabianie na pensję dla niej, wobec czego nie musieli bywać w domu i podejmować decyzji wychowawczych. Niania była na szczęście dziewczuchą pogodną, czystą i krzepką. I analfabatką, rzecz jasna, nietkniętą jakimkolwiek śladem cywilizacji. Elektrykę, gaz i ciepłą wodę po raz pierwszy ujrzała w Warszawie. W kuchni, gdzie spędzałem czas, zagościł folklor kurpiowsko-podlaski. Przyspiewki, skrobanie kartofli, skubanie kur, zagniatanie kluch, palenie w piecu pod blachą. Pełna wiocha w mieście! Opowieści o dziedzicach, upiorach, partyzantach, wilkach i Niemcach – przy czym status tych postaci był jednakowy. Wyprawy do kościoła, wizyty u koleżanek w ich służbówkach. Historie o cudach, powodziach, pożarach, prorocत्वach.

Skończyło się to wszystko tak, że niania zabrała mnie na wieś, do swoich. I tu katastrofa. Przez miesiąc nie wystawiłem nosa z ogrodzonego dziedzińca szkoły – któryś ze szwagrów niani był kierownikiem czteroklasówki. Wieś zamożna, blaszane dachy.

Akurat była olimpiada w Rzymie, od rana do wieczora nagłaśniana z kołchoźnika. Do dziś wzdrygam się na wzmiankę o Rucie i młocie czy Sidle i oszczepie. Nic nie było do roboty ani do czytania, smarkacze zza siatki pokazywali mi język i rzucali kozimi bobkami. Aż w końcu coś musiało zaniepokoić ojca, bo przyjechał służbową warszawą i zabrał mnie w jednej chwili. Teraz, kiedy to mówię, analizuję w pamięci obraz tłumu, otaczającego szare auto, tatę i jego kierowcę. Wie pan, jak to wyglądało? Wypisz wymaluj jak patrol Amerykanów w jakiejs wiosce w Afganistanie. Taki sam wyraz twarzy miejscowych. To była wieś Grądy, powiat Maków Mazowiecki. Jakies dwadzieścia kilometrów od Treblinki. Ocalałem, bo z naturalnych względów nie miałem złotych zębów.

I równoległe do tego folkloru był kompletnie odmienny świat lektur. Czytam od czwartego roku życia. W domu mieliśmy niesamowitą mieszankę książek w paru językach, wielkie encyklopedie Brockhause, Meyera, Gutenberga i sowiecka, komplet Brehma, całe półki o wojnach dawnych i tej ostatniej wojnie, zwłaszcza propagandowe wydawnictwa niemieckie, stare atlasy – kraina tajemnic, zaczarowany ogród, po którym włóczyłem się bez śladu kontroli, z obrazków i mozolnego składania liter zgadywałem, o co w tym chodzi.

*– Ale byli i rodzice. Jakie były ich profesje?*

– Matka była pechową pianistką, a ojciec równie pechowym krawcem ze Lwowa, komunizującym przed wojną. Mało się w ogóle zajmujemy tymi dziewięcioma dziesiątymi populacji, którym nie wyszło. Tata przejechał czołgiem z Rosji Centralnej do czeskiej Pragi, był twardy. Palił się pod Smoleńskiem – blizna na całe plecy. Przestrzelone kolano. Był jednym z tych wspaniałych masywnych Żydów, nie z gatunku takich, co kaszlą suchotniczo nad maszyną, tylko jak z „Opowiadań odeskich” Babla: w wysokich butach, rozpartych na rolwadze w dwa perszerony, a za plecami przyzma bek piwa. Umiał wbić gwóźdź pięścią. Rzecz jasna, w jego oczach uchodziłem za maminsynka. Matka zaś była niezrealizowaną artystką i, jak sądzę, miałem w przyszłości wcielić w swoim życiu wszystko, co jej się nie udało. Była z Bydgoszczy, studiowała w konserwatorium. Że oni mogli się spotkać, to chyba tylko za sprawą powojennego zamieszania.



W każdym razie po czterech latach przy brukwi w Ravensbrück, o karierze pianistki nie mogła już marzyć. Po wojnie skończyła studia u Lefelda i Lewickiego. Ale została taperką w zetempowskim zespole pieśni i tańca w Turczynku. Potem w jakichś teatrzykach, później w prywatnej szkole baletowej na Foksal – taka była! Jeździła EKD za Podkowę Leśną i w lodowatym wagonie wciąż natrafiała na Iwaszkiewicza w jakiejś pradawnej szubie i wielkiej czapie, wpatzonego ponuro w podłogę. Z pewnością nie rozpoznawał promiennej dziewczyny, z którą tańczył na jakimś tuż przedwojennym balu.

Ulubionym sportem rodziców było licytowanie się na cierpienia. Kto bardziej dostał w kuper. Matka o obozie, flegmonie, apelach, Aufseherkach i statystyce krematorium, ojciec o łagrze, odmrożeniach, gangrenie i układaniu zamarzniętych trupów w sztaple. Bałem się zasypiać w ciemności, zostawiano mi szparkę, i przez te uchylone drzwi sączyło się to we mnie całe lata. Potem rozpoznałem się jako drugie pokolenie traumy w prozie Bożeny Umińskiej-Keff czy Magdaleny Tulli. Ściśle to samo.

– *Pamięta pan pierwszą przeczytaną samodzielnie książkę?*

– No pewno! Rodzice nigdy nie pilnowali, co czytam – grunt, że dzieciak siedział cicho – ale kupowali z kompletną bez troską, co im w ręce wpadło. I tak oto dostałem propagandowe cudzińko „Wesołe trzy po trzy dla naszych najmłodszych” niejakiego Zdeńka Zaorala. Na okładce zębate żuki w paski zlatywały na parasolach z samolotu w nasze kartofle, a pierwsze słowa tekstu brzmiały: „Przyleciały szkodniki. Z daleka, aż z Ameryki”. *Mandelinka bramborova* – tak się zwie stonka po czesku. Później, kiedy już byłem krytykiem filmowym, odkryłem, że towarzysz Zaoral w najlepsze normalizuje czeską kinematografię i wywala całe sceny z „Homolków”. Weteran, można powiedzieć.

– *A jakie doświadczenia najmocniej ukształtowały tego chłopca, który stawał się poszukującym czytelnikiem?*

– Z pewnością tym, co mnie uformowało najmocniej, był Teatr na Tarczyńskiej. Myślę i o klimacie nieustającego eksperymentu, jak w domu Stomila w „Tangu” Mrożka, i o forsownym kształceniu

wyobraźni, i o takiej wiedzy, jakiej darmo szukać po najpiękniej ilustrowanych encyklopediach. Przez przyjaciół z teatru matka została wciągnięta w orbitę Tarczyńskiej, zaakceptowana przez Mirona, Swena, Sandauera, Heringa, Prószyńskiego, Murawską, Stefańskiego. Nawet nie wiedziała, jaki to sukces. Może największy w jej życiu. I nieświadomy. Waliła w pianino, tata zbijał dekoracje, a ja pętałem się tam przy ogólnej nieuwadze całe dni. Trwały próby, gotowanie kartoflanki, spory o metafizykę Witkacego, wspomnienia z okupacyjnej Warszawy, babranie się w plakatówce, skręcanie i oklejanie papendeklem modeli z drutu. Miałem pięć, sześć, siedem lat i nasiąkałem. A jak wreszcie wracaliśmy do domu, zawsze dostawałem jakąś książkę. I to nie „Kubusia Puchatka”. Raz był to traktat doktora Ochorowicza „Wiedza tajemna w Egipcie” o preparowaniu mumii, innym razem „Dziwy instynktu” Fabre’a, o tym, co robi pajęczycza z pajakiem, a skorpionica ze skorpionem, to znowu „Golem” Meyrinka, a więc mistyka praskiego getta albo dzieło Świtekowskiego o wywoływaniu duchów i figlach ekto plazmy. A wreszcie „Ferdydurke”. Repertuar bez reszty nielegalny w każdym księgozbiorniku publicznym. Koło dziesiątego roku życia miałem już za sobą całą przyrodniczą serię Trzaski, Everta i Michalskiego. Teraz z tego korzystam, bo to przecież lektury Witkacego i Schulza. Tak, Tarczyńska to był dar niebios. A jak się dziecko impregnuje, dowodzi przygoda, którą miałem ze dwa lata temu w Zachęcie. Była retrospektywa Lebensteina, ze trzystu obiektów, tłumy, znajomi, zamęt. I nagle czuję, jak mnie coś obraca, jakbym był igłą kompasu, i kieruje pod jedną ze ścian. Były tam dwie figury osiowe, które wisiały między oknami na Tarczyńskiej. Coś we mnie rozpoznało je bezbłędnie, a przecież jako dziecko ledwie na nie patrzyłem.

– *Dla jednych przeżycie metafizyczne, dla innych pamięć głęboka...*

– Obie formuły celne. Dziś zdaję sobie sprawę, że na Tarczyńskiej odbywałem edukację przyszłego surrealisty. Po takim – wcale zresztą niekrótkim – epizodzie nigdy nie będzie się nadawało na tych samych falach, co reszta kumpli w szkole. Rozumie pan: czasy Beatlesów i Rolling Stonesów, a ja słucham z przepastnej domowej

plytoteki: Lecha Emfazego Stefańskiego, Honeggera, Habę, Strawińskiego, Hindemitha, Křeneka. I skutek jest taki, że teraz, gdy po pół wieku współpracuję właśnie przy wystawieniu opery Janačka i tłumaczę libretto, nie muszę sobie przypominać muzyki „Sprawy Makropulos”, bo – jak się okazuje – cały czas ją pamiętałem!

A jednocześnie w domu przyjmowałem osobowość alternatywną: małego przyrodnika. „Der junge Naturforscher”, miałem taką książkę, wydaną oczywiście dla Hitlerjugend. Pożerałem lektury popularnonaukowe – po Październiku była ich masa – a zarazem i te stalinowskie, z Miczurinem, Łysenką i Lepieszyńską, co to wyhodowała brukiew z potomstwa kapusty głowiastej. I przedwojenne też. Nie policzę, ile godzin spędziłem nad mikroskopem, a miałem świetny instrument. Szykowałem się na paleontologa, a raczej paleomikrologa, szlifowałem na szmerglówce płytki wapienia, wyłudzałem na SGGW odczynniki, barwiłem preparaty, rozpuszczałem minerały w okrutnie śmierdzącym kwasie masłowym. Byłem stałym klientem niezapomnianego sklepu chemicznego na rogu Nowego Świata i Foksal. Ale dinozaury też zauważałem. Jak się ma piętnaście lat, trudno się im oprzeć. Przeszedłem dinomanię, kiedy nikt się nimi nie interesował, nawet Kielan-Jaworowska nie wyprawiła się jeszcze do Mongolii. I tak to zawsze jestem nie w fazie z tym, co akurat modne.

– *Ale ostatecznie poszedł pan na polonistykę, a nie na biologię.*

– Poszedłem na polonistykę. W 1968 roku wprowadzono na biologię egzamin z matematyki, a ja musiałem dostać się na studia, bo inaczej wylądowałbym w wojsku. Na tych studiach okropnie dziwiłem się panującym obyczajom, środowisku, które wiadomo, jakie było w tamtym czasie, i sposobowi myślenia. Ale czegoż nie zdoła mimikra? Po paru latach zacząłem pisać i okazało się to zabawne, po dwudziestu latach nauczyłem się rzemiosła, a wreszcie zyskałem poglądy. To niebawiele szczęście: robić to, co się lubi, wiedzieć, jak to się robi i znajdować w tym sens. Uruchomił się we mnie instynkt poszukiwacza, cierpliwość eksperymentatora, szacunek dla procedur, a wszystko to służy zwabieniu myśli, których nikt jeszcze nie pomyślał, i ich przyszpileniu. To się czasem udaje, a nawet jak się nie udaje, jest pasjonujące. W tych paru tematach, do któ-

rych się ograniczyłem, staram się zawsze być na granicy tego, co wiadome, i zaglądać za winkiel.

*– Lubi pan góry, ale ostatni pana wyjazd do Zakopanego miał cel, który wiąże się z Witkacym.*

– Szykujemy ze Stefanem Okołowiczem książkę, a może i dwie książki o mało zbadanych Witkacowskich terenach granicznych, a są nimi fotografia i rysunki. Stefan jest współwłaścicielem nie-samowitej kolekcji negatywów i zdjęć Witkacego i jego przyjaciół. Niedawno podsumował, że wykonanych tylko do 1914 roku niepublikowanych fotografii i negatywów Stasia ma dwieście dwadzieścia. I są to rzeczy czasem znakomite, a czasem zastanawiające. Na przykład okazało się, że piętnastoletni Staś wychodził co dzień na ganek domu Ślimaka, gdzie mieszkał, stawiał aparat na balustradzie robił zdjęcie Giewontu niezależnie od pory roku i pogody. Od razu przychodzą do głowy praktyki Andy'ego Warhola i film „Dym” Paula Austera i Wayne’a Wanga, gdzie ktoś fotografuje codziennie swój sklep na nowojorskiej ulicy. Dużo o tym można by powiedzieć, tylko trzeba to najpierw zaprezentować. Ale głównym naszym celem jest przyłapanie sztuki portretu i autoportretu Witkacego i tego, co on wytwarzał między soczewką obiektywu a twarzą portretowanego. Tej sztucznej rzeczywistości, którą zgłębiał całe życie i której jest pionierem. Ten stan, który opisuje kreację rzeczywistości poprzez napięcie psychologiczne, nazwaliśmy ze Stefanem mistyfikacją.

*– W bibliotece Muzeum Tatrzańskiego poczynił pan też inne ciekawe odkrycia.*

– Żeby zaraz odkrycia... Dotąd na przykład badacze Brunona Schulza błędzili w ciemnościach, nie wiedzieli, kiedy właściwie zjawił się po raz pierwszy w Zakopanem. A tymczasem do miejscowych gazet dodawano listy gości, całe płachty nazwisk z datami przybycia i miejscem zakwaterowania. Obowiązek wprowadzony przez Komisję Klimatyczną, która ściągала przy okazji opłaty, oraz atrakcja dla publiki, bo pełno tam znanych osób: Makuszyński, Solska, Kaden-Bandrowski, Bodo, Smosarska i tak dalej. Więc

już wiadomo, kiedy do Zakopanego zawitał Schulz, a kiedy Debora Vogel, dla której zaczął spisywać swoje opowieści, a kiedy jego przyjaciel i mistrz Władysław Riff, niesamowity pisarz gruzlik, którego cały dorobek dezynfektorzy spalili po jego śmierci. Kiedy przybyła późniejsza narzeczona Schulza, Józefina Szeleńska, kiedy Choromański, a kiedy Gombrowicz, który w „Dziennikach” i „Wspomnieniach polskich” jakoś kręci z datą i miejscem. I teraz już wiemy, że przyjechał 31 stycznia 1931 roku, zamieszkał w pensjonacie Wojciechowo i tam właśnie spalił w ogrodzie swą tajemniczą pierwszą powieść, o której mówił, że była dla kucharzy. Takie przyczynki.

– *Czy stosuje pan obecnie jakiś klucz w doborze lektur? Bo przecież tych obszarów, w których pan się swobodnie porusza, jest aż nadto.*

– Ależ żadnych kluczy, ruchy brownowskie. Myślę, że surrealista nie ma prawa postępować inaczej, musi wierzyć w twórczy potencjał przypadku. Kiedy popadam w rutynę, wiem, że kółka mechanizmu zegarowego wyobraźni trzeba trochę rozregulować. I to są najlepsze chwile, między jedną a drugą lekturą. Jakiś czas temu, kiedy zajmowałem się „czystą formą” Witkacego, przypomniałem sobie takiego jej praktyka w powieści „Nienasycenie”, który zwie się Sturfan Abnol. I doszedłem do wniosku, że to przecież nie nazwisko: tak nikt się nazywać nie może nawet u Witkacego. A jeśli to nie nazwisko, to co? I po dłuższym czasie intuicja odpowiedziała mi, że anagram. I rzeczywiście, Sturfan Abnol potraktowany scrabble’em układa się w Laborant Snuf. A więc tak się sportretował Witkacy, i już po osiemdziesięciu latach ktoś na to wpadł. Ale to nie koniec. Ten Sturfan-Laborant Snuf pisuje sztuki dla teatrzyku Kwintofrona Wieczorowicza. Mniej więcej wiadomo, co to jest Wieczorowicz, prawda? Ale czym jest Kwintofron? Nikt jakoś nie zadał sobie tego pytania. Tu już byłem za głupi, trzeba się było odwołać do wyszukiwarki internetowej. I okazało się że to nie wyraz, tylko część wyrazu, a całość brzmi tractus quintofrontalis. Czyli w dawnym nazewnictwie anatomii mózgu pęczek nerwowy łączący płaty czołowe z resztą. Ten, który przecinano przy

lobotomii tak lansowanej w latach trzydziestych. Operacji, która radykalnie uspokajała, by nie rzec – ogłupiała pacjenta. Robiono to, zwłaszcza w Ameryce, przestępcom i schizofrenikom. A zatem teatrzyk Kwintofrona Wieczorowicza w „Nienasyceniu” to miejsce, gdzie przedstawiciele polskiej inteligencji poddaje się wieczorami lobotomii. Nie wpadłbym na to, gdybym jednocześnie nie tłumaczył szkicu Georges’a Pereca „Cantatrix sopranica L”. Jest to parodia niesłuchanie naukowej rozprawy z neurofizjologii, która, kiedy się wczytać, opisuje procesy zachodzące w mózgu śpiewaczki koloraturowej, w którą ktoś z widowni rzuca pomidorem. Musiałem się zdrowo naczycić o mózgu i to nieświadomie skierowało moją uwagę na ten ogryzek słowa: „Kwintofron”. Inaczej byłby nadal niewidzialny. Tak to się odbywa.

– *Czy z tego powodu można nie czerpać satysfakcji?*

– Ależ skąd, prawdziwym wyzwaniem jest dopiero „Gyubal Wahazar”.

– *Także twórczość Brunona Schulza to jeden z ważnych obszarów pana badań. Napisał pan kiedyś niewielką, ale znaczącą monografię, która rzuca nowe światło na genezę sztuki Schulza.*

– Przy tej książce sprzed sześciu lat wpadł mi pomysł przyjęcia się Schulzowi od strony sztuki erotycznej, którą mało kto w Polsce ośmiela się interesować. Poznałem ją, kiedy grzebałem się w tej produkcji po antykwariatach. Na przykład wertowałem monumentalne wydawnictwa berlińskiego Institut für Sexualforschung Magnusa Hirschfelda. Realia odpowiedziały mi w końcu, że w twórczości Schulza przecinają się sfera erotyczna i sacrum, a damskie postacie z plansz „Księgi bałwochwalczey” to nie osoby realne, lecz podobizny bogiń. Pogańskich oczywiście. Teraz jestem przekonany, że Schulz rozwijał kolejno trzy mitologie. Pierwsza, ta z „Księgi...”, odtwarza rytuały lunarnej religii Filistynów czy tych pseudo-Filistynów, których wykreowali wcześnie badacze historii religii. Druga mitologia – to ta z „Traktatu o manekinach”: czysta teurgia. A trzecia dotyczy Księgi i głębinowych źródeł słowa. Wiem oczywiście, że u Schulza w żadnej rzeczy nie

dotrze się nigdy do punktu możliwego do wskazania palcem. I całe szczęście.

– *Dziś bez głosu Gondowicza trudno sobie wyobrazić festiwal twórczości Schulza czy seminarium z okazji siedemdziesiątej piątej rocznicy wydania „Ferdydurke”.*

– A co, doszły pana jakieś głosy? Na tym rocznicowym seminarium zgłosiłem właściwie tylko jeden pomysł. W dyskusji nad ferdydurkicznym konceptem gęby powiedziałem, że „gąb robienie” kryje się w samym nazwisku „Gombrowicz”, i że koledzy musieli to Witoldowi uświadomić w szkole, zwąc go na przykład „Gombą”. Odkrył, że w dobre szlacheckie nazwisko ma wpisaną regresję w błazna. Pewno nie przyszedłoby mi to do głowy, gdybym sam nie nazywał się podobnie... Referat o gębach był nadzwyczaj erudycyjny, a nie dostrzegł czegoś, co leży na samym wierzchu. I dopiero w tym punkcie, jeśli kto chce, można uruchomić psychoanalizę. Czymże jest Lacanowska faza lustra, w której dzieciak wzdyga się na pierwszy widok swego odbicia, wobec odzwierciedlenia siebie w czterdziestu parach złośliwych i kretynicznych oczu kolegów z klasy? To dopiero bierze tożsamość na formacyjne męki. Cemu nikt nigdy się tym nie zajął? – zapytam retorycznie. Powiadam panu: najlepsze są proste pomysły.

JAN GONDOWICZ, krytyk, eseista i tłumacz, któremu bliski jest nurt surrealistyczny. Warszawianin od urodzenia, miłośnik Tatr i wspinaczki, a przede wszystkim przenikliwy czytelnik. Przełożył m.in. „Słownik komunałów” Flauberta (1993), powieści i sztuki Jarry’ego (w tym cykl o Ubu, 2006), „Ćwiczenia stylistyczne” (2005) i „Sto tysięcy miliardów wierszy” (2008) Queneau. Za prozatorski przekład „Ćwiczeń stylistycznych” otrzymał nagrodę „Literatury na Świecie” w dziedzinie poezji. Przyswoił ponadto polszczyźnie teksty Josifa Brodskiego, Gustave’a Flauberta. Niedawno ukazał się tom esejów „Paradoks o autorze” (2011) i zbiór felietonów „Pan tu nie stał” (2011).

SŁAWOMIR KWIECIEŃ, magister filozofii, nauczyciel, dziennikarz, redaktor. Współpracował m.in. z pismami: „Trendy Art of Living”, „Gentleman”, „Magazyn Familia” i z wydawcami książek.

---

Agnieszka Lewandowska-Kąkol

## Pianista

Pan Czesław jest pianistą. Ma dyplomy dwóch uczelni muzycznych: Konserwatorium Wileńskiego – egzamin końcowy grał w 1944 roku w domu swego profesora Stanisława Szpinalskiego – i Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie, którą ukończył dziesięć lat później w klasie profesora Jerzego Lefelda. Był tak zwanym cudownym dzieckiem. Przed wojną grał na wielu koncertach, a w 1933 roku w Konkursie Młodych Talentów w Warszawie zdobył drugą nagrodę, *ex aequo* z Haliną Czerny-Stefańską.

Przepowiadano mu wielką karierę pianistyczną, szykował się do Konkursu Chopinowskiego. Plany zniweczył wybuch drugiej wojny światowej. Wtedy właśnie kończył odbywanie obowiązkowej służby wojskowej i jako podchorąży został dowódcą moździerza w 6 Pułku Piechoty Legionowej imienia Józefa Piłsudskiego. Pułk ten stoczył zwycięską bitwę w Kałuszynie. Rozgromił Niemców i zmusił ich do ucieczki. Po czterdziestu czterech dniach walk, 10 października 1939 roku, pan Czesław wrócił do Wilna, gdzie od razu rozpoczął pracę konspiracyjną.

\* \* \*

*W Wilnie mieliśmy trzech wrogów: Niemców, Sowietów i Litwinów* – wspomina pan Czesław. Najkorzystniejsze dla mieszkańców miasta były okresy przejściowe, kiedy nowy okupant wypierał poprzedniego. Gdy Sowieci zajęli Wilno, pan Czesław mógł wrócić do konserwatorium i nawet dostawał stypendium studenckie. Od



razu stanął tam na czele nielegalnej organizacji antysowieckiej. Z tego względu znalazł się wraz z rodzicami na liście osób, które zamierzano wywieźć do Kazachstanu. W tym czasie do miasta wkroczyli Niemcy, dzięki czemu rodzina uniknęła wywózki. Czesław dalej mógł oddawać się studiom pianistycznym. Pracował nad Koncertem b-moll Czajkowskiego; w styczniu miał wykonać go publicznie. Cały czas zdawał sobie jednak sprawę z tego, że prędzej czy później będzie musiał zapłacić za udział w Armii Krajowej, partyzantce i konspiracji.

13 stycznia 1945 roku o pierwszej trzydzieści w nocy zadzwonił dzwonek do drzwi. Weszło dwóch żołnierzy NKGB, oficer i dozorca. Po sprawdzeniu dokumentów Czesława aresztowano. Rewizja osobista, dokładna rewizja całego mieszkania. Polecili matce, by przygotowała trochę jedzenia. Krótkie pożegnanie z rodzicami i wyszli na podwórko. Czesław miał świadomość, że być może widzi dom rodzinny po raz ostatni. Prowadzili go jak bandytę pod czujną eskortą z wymierzonymi weń karabinami. Doszli do gmachu NKGB, budynku, który budził lęk u wszystkich mieszkańców miasta – budynku dawnego Sądu Polskiego przy Mickiewicza. Było to miejsce badań, tortur i śmierci wielu wilnian.

W środku nocy Czesław znalazł się w piwnicznej celi. Następnego dnia przetransportowano go do więzienia na Łukiszkach. Tam siedział przez trzy tygodnie w jednoosobowej celi z dwudziestoma czterema więźniami. Pewnego dnia strażnik wywołał tych, którzy nie byli jeszcze „badani”. Czesław był już przyzwyczajony do siedzenia w skurczonej pozycji, wyszedł, zataczał się. W korytarzu otrzymał rozkaz, by stanąć przodem do ściany z rękami podniesionymi do góry. Po raz pierwszy w życiu Czesław chciał wtedy jak najszybciej umrzeć. Sekundy wydawały się godzinami, a minuty wiecznością. Dochodziły do niego różne odgłosy. Oczekiwał wystrzału. Gdy był niemal nieprzytomny z napięcia, oficer zawołał, by wszedł do celi.

Powoli zaczął sobie uświadamiać, że jednak żyje. Zaczęło się „badanie”. Na wstępie śledczy zakomunikował, że ci, którzy nie chcą mówić, bez oporów decydują się na to po godzinie spędzonej bez ubrania w temperaturze minus dwudziestu stopni.

Uratowała go muzyka. Gdy oficer dowiedział się, że Czesław jest pianistą, zapytał: *Znacie IX Symfonię Beethovena? Prawda, jaka piękna?* Atmosfera znacznie się poprawiła. Czesław otrzymał wyrok najłagodniejszy – łagier. W więzieniu, ze względu na straszne warunki, umierało się przeważnie po roku.

\* \* \*

Któreś z następnych nocy obudziły więźniów odgłosy niezwykle o tej porze. Tupot żołnierskich butów, błysk świateł, szczęk broni, poszczekiwanie psów. Nasłuchiwali w podnieceniu. Może to już, może wreszcie ich wywiozą? Wszystko jedno dokąd, byle dalej od Łukiszek. Od brudu, wszy i moralnych tortur. Nieważne – na śmierć czy na katorgę, byle nastąpiła jakaś odmiana w tym pseudożyciu. Wilno jeszcze spało, gdy dwa i pół tysiąca ludzi piątkami w długiej kolumnie ruszyło ulicami na dworzec. Żołnierze z karabinami i wilczurami, konni z automatami, samochody z reflektorami i cekaemami, a w dali widać wieżę kościoła świętego Jakuba i srebrną wstęgę Wilii. Błdzi, chorzy, niewyspani, w futrach, kożuchach, marynarkach, bluzach roboczych, sędziowie, profesorowie, artyści, wieśniacy, robotnicy, złodzieje, w tym pochodzie pełnym nadziei i rozpaczyny dotarli do pociągu. Był niezwykle długi i złożony wyłącznie z wagonów towarowych. Nakazano, by wchodzili do nich na kolanach. Po pięćdziesięciu do jednego wagonu. Każdy od razu dokładnie zamykano. Padał śnieg, tężał mróz, a transport stał.

Po dwóch dniach odjechali. Czesław poślinionym ołówkiem chemicznym na pięciorublowych banknotach napisał trzy listy do rodziców. Inni robili to samo, a potem, gdy przejeżdżali przez Kolonię Kolejową i Nową Wilejkę, wyrzucali te listy przez szpary w wagonach. Panował półmrok, bo szpary przepuszczały niewielką ilość światła. Niektórzy zasłaniali oczy rękami – płakali, modlili się? Po pewnym czasie kilku najenergiczniejszych więźniów zaczęło robić „porządek” w wagonie. Ustalono, kto gdzie może stać lub siedzieć w kucki. Wybrano „starszego” wagonu i utworzono pięć drużyn po dziesięciu ludzi, co miało ułatwić odbieranie chleba, zupy i wody. W środku wagonu stał piecyk z rurą wsuniętą w otwór dachu. Był jednak zimny, bo nie było żadnego paliwa. W wagonie: dwadzieścia

misek glinianych, dwa drewniane wiaderka oraz rynienka do załatwiania potrzeb fizjologicznych wychodząca na zewnątrz.

Mróz się stopniowo zwiększał. W czasie rzadkich postojów byli liczeni, a deski wagonu opukiwano i w razie potrzeby wzmacniano. Suchary, czasem słona kasza i trochę cukru. Coraz mniej wody i jej właśnie brakowało najbardziej. Zdrapywali szron z żelaza i śnieg z dachu po wyjęciu rury od pieca. Na którymś z postojów poprosili konwojenta o wodę. Zlitował się nad nimi i wsunął do wagonu koc z dużą ilością śniegu. Więźniowie rzucili się na ten koc. Nie wszyscy zdążyli. Czesław miał miejsce pod tylną ścianą. Zwinięty, otulony w kożuch jak ślimak w skorupie, drzemał i starał się o niczym nie myśleć. Każdy wstrząs wagonu wytrącał go jednak z tego stanu zamierania świadomości, myśli zaczynały kłębić się w głowie. By je zagłuszyć, wstawał, przedostawał się do piecyka, patrzył przez szpary na mijane okolice, rozmawiał ze współtowarzyszami, byle czymś się zająć. Zyskał ogólne uznanie, gdy przepchał i wyczyścił otwór kloaczny zapchany zamrożniętymi nieczystościami.

Czwarty, piąty dzień podróży. Na kolejnych postojach dostawali tylko suchary, bez odrobiny wody. Nikt już prawie nie jadł, bo usta mieli spieczone, podniebienia wyschnięte i nie mogli nic gryźć. W sąsiednim wagonie trzy osoby zmarły. Byli zubożnięci na wszystko. Nie rozmawiali już prawie ze sobą, tylko od czasu do czasu słyszeć było słowo wypowiedane słabym głosem: wody. Wydawało się, że ta koszmarna podróż nigdy się nie skończy. Dzień szósty, siódmy. Na kolejnym z postojów znów zamiast wody dostali śnieg. Tym razem na jego straży stało czterech rostrych mężczyzn. „Starszy” wagonu rozdzielał śnieg. Niektórzy łączyli suchary ze śniegiem, bo wtedy łatwiej było je przełknąć. Inni mieszały śnieg z cukrem, który jeszcze im został. Robiono wymiany. Na przykład za miskę śniegu dostawało się suchary lub cukier. Czesław już od kilku dni nie jadł sucharów, nie mógł ich przełknąć. Zjadł za to dwie porcje cukru, z których jedną otrzymał za swoje suchary. Był już na skraju wyczerpania. W głowie mu szumiało, a przed oczyma pojawiały się „mroczki”.

Dziewiątego dnia podróży, wieczorem, pociąg zatrzymał się na dużej stacji. Okazało się, że to miasto Stalino, centrum Zagłębia

Donieckiego. W więźniów wstąpiła nadzieja, że dotarli do celu podróży. Myśleli tylko o tym, aby wreszcie wysiąść z bydlęcych wagonów. Z napięciem nasłuchiwali odgłosów z zewnątrz. Po dwóch godzinach pociąg ruszył w kierunku powrotnym. Pewnie obozy i więzienia są tu zbyt przepełnione, tłumaczyli sobie, by przyjąć transport dwóch i pół tysiąca ludzi. Perspektywa dalszej podróży w nieskończoność odebrała wszystkim chęć do życia. Dziewiąta noc była najgorsza z dotychczasowych. Nikt nie mógł znaleźć odpowiedniej pozycji do snu. Wszystkim było za ciasno, za zimno. Część bredziła z gorączki, inni się modlili. Czesław siedział bezmyślnie, niezdolny do niczego. Brakowało mu energii, by rozprostowywać zdrętwiałe nogi. Rankiem dziesiątego dnia pociąg dotarł do stacyjki i zatrzymał się. Tym razem okazało się, że dotarli do celu. Wskakiwali z wagonów i rzucali się na śnieg, drżącymi rękoma wkładali go do ust. Nikogo nie interesowało, dokąd ich przywieziono. Najważniejsza była możliwość ugaszenia pragnienia.

\* \* \*

Czesław trafił do łagru kontrolno-filtracyjnego numer 16/240. Pracował przy wydobywaniu węgla. Kopalnia znajdowała się dwa i pół kilometra od łagru. Praca odbywała się w systemie trzyzmianowym (pierwsza zamiana od siódmej do piętnastej, druga od piętnastej do dwudziestej trzeciej, trzecia od dwudziestej trzeciej do siódmej). O dwudziestej pierwszej w obozie dawano sygnał. To trzecia zmiana miała szykować się do wyjścia. Pół godziny później drugi sygnał oznaczał, że „szachciarze” powinni już znaleźć się przy bramie wyjściowej. W szczątkach ubrań, bez guzików, przepasani sznurkiem lub drutem, w kaloszach na gołych nogach, ślaniający się z niedojedzenia i przemęczenia, uformowani w piątki, ruszali do kopalni, konwojowani przez kilku żołnierzy z automatami.

Podczas wędrówki polną drogą raz zatrzymywali się, by na rozkaz załatwić fizjologiczne potrzeby. Po przybyciu do kopalni czekali, aż druga zmiana wyjedzie na powierzchnię. W tym czasie poszczególne brygady otrzymywały zadania do wykonania. Potem dziesiątkami konwój odprowadzał ich do małej, starej, zardzewiałej windy. W całkowitej ciemności jechali nią kilka minut. Następ-

nie droga korytarzem (sztrek), którego środek zajmowały wagonetki na szynach. Dalej sztrek rozwidlał się w trzech kierunkach. Czesław ruszał na prawo, bo tam znajdowała się „ława” (pokład) węgla, w której pracował. Pod nogami chlupała woda, było niemal ciemno, lampki szachciarskie dawały znikome oświetlenie. Podział pracy był precyzyjny. Wagonetki z węglem popychali po szynach „wagońszczyki”, każdy jedną tonę węgla. „Parodczyki” ładowali na wózki „parodę” (skałę podobną do węgla). Reszta („zabojszczyki”, „lesogony”, „krepilszczyki” i „zgniobszczyki”) szła dalej do pokładu. Wchodziło się na niego po rynnie szerokości dwudziestu centymetrów. Pokład miał siedemdziesiąt-osiemdziesiąt centymetrów grubości i wyglądał jak ogromne ściany. Dzielił się na trzynaście „ustępów”, czyli miejsc, gdzie siedzieli „zabojszczyki” i kuli węgiel.

Cały pokład umocowany był „stojkami” (małymi belkami) podpierającymi sklepienie. Chodzenie po ławie wymagało sprytu, wręcz akrobacji. „Zabojszczyki” nieustannie kuli węgiel, więc w ławie robiły się puste miejsca, które natychmiast trzeba było zabezpieczać, żeby wszystko nie runęło. To należało do „krepilszczyków”: piłką i toporkiem dopasowywali „stoiki” i „abapudy” tak, by wypełniały ubytek. „Lesogoni” (wśród nich Czesław) rozkładali „stoiki” i „abapudy” obok każdego z „ustępów”. Dostarczanie drewna do „zawału” było szczególnie niebezpieczne. Jeden nieostrożny ruch groził śmiercią.

Oblepieni pyłem, spoceni, klęli w czasie tej morderczej roboty. Rugali się wzajemnie, ale i ściśle współpracowali, bo od każdego zależało bezpieczeństwo wszystkich. Po ośmiu godzinach wyjeżdżali na powierzchnię. Oślepieni słońcem, ustawiali się piątkami i po policzeniu przez konwojujących ruszali w drogę powrotną. Przed bramą ponowne liczenie. Teraz „szachciarską” lampkę zamieniali na tyżkę i już bez poganiania, bo głód doskwierał, biegli na śniadanie. To były najprzyjemniejsze chwile całego dnia. Kawałek (pajka) chleba i wodnista zupa z mamałygi. Porządku pilnowali dyżurni. Zaraz po zjedzeniu trzeba było opuszczać stołówkę, aby zwolnić miejsce dla następnych wygłodniałych. Potem do łaźni, by choć częściowo (mało wody i zaledwie letnia) zmyć wszędzie obec-

ny czarny pył. I wreszcie odpoczynek. Każdy, niemal bezwładny, rzucał się na posłanie. W normalnych warunkach trudno byłoby na nim zasnąć – piętrowe „nary” z desek, pod głową cegła i bez okrycia – ale wyniszczenie organizmu sprawiło, że po kilku minutach spali wszyscy.

O czternastej obiad: kawałek chleba, „barszcz” (w rzeczywistości kapusta na wodzie) i łyżka kaszy kukurydzianej. Potem obozowe życie, czyli bezcelowe chodzenie po terenie obozu, urozmaicane przez niektórych handlem wymiennym. Za „pajkę” z obiadu można było na przykład dostać łyżkę tytoniu. O dwudziestej pierwszej znów sygnał.

Jeden z tych beznadziejnie takich samych dni szczególnie utkwił w pamięci Czesława. Był to jego pierwszy wolny dzień po półtoramiesięcznej harówce w kopalni. Cieszył się, że wreszcie prześpi całą noc. Położył się i jak zwykle błyskawicznie zasnął. Nagle coś poderwało go z posłania. Zbiegł po schodach i wyszedł na dziedziniec. Coś go przywoływało, ale jeszcze nie wiedział co. Wreszcie usłyszał muzykę wydobywającą się z głośnika. To był I Koncert fortepianowy b-moll Piotra Czajkowskiego, jego ulubiony koncert, który miał po raz pierwszy wykonać publicznie w styczniu, miesiącu aresztowania.

Po raz drugi w życiu Czesław chciał umrzeć, i to jak najszybciej. Nie mógł przestać słuchać tej muzyki, a równocześnie żał do losu, że to nie on ją gra, sprawił, że bliski był rzucenia się na druty okalające łagier. Dlaczego nie mogę grać jak inni?

\* \* \*

Wiosną powiało nadzieją. Zapowiedziano, że zaraz po zakończeniu działań wojennych, na co się zanosilo, obozy będą rozwiązywane i wszyscy wrócą do domów. Obieckanki nie miały jednak wiele wspólnego z rzeczywistością. Gdy nadszedł ów upragniony dzień, na dziedzińcu zorganizowano wiec, podczas którego więźniowie dowiedzieli się, że do domów wracają tylko żołnierze, a oni pracować będą dalej, by jak najszybciej odbudować ZSRR. W dodatku wydajność pracy powinna znacznie wzrosnąć, bo węgiel jest bardzo potrzebny gospodarce. Następnie musieli wysłuchać półgo-

dzinnego przemówienia pochwalnego o Stalinie, podkreślającego bohaterstwo sowieckiego oręża. Więźniowie stracili wszelką nadzieję na powrót do normalnego życia. W łagrze zrobiło się jeszcze smutniej. Latem odjechał do Polski tylko jeden, nieduży transport – z tymi, których uznano za niezdolnych do pracy. Jesienne dni dalej wlokły się w pyłe węglowym i beznadziejności. Każdego dnia część życia opuszczała więźniów. Siódmego października rozeszła się niespodziewana wieść. Mieli być przewiezieni do łagru oddalonego o trzydzieści kilometrów. Nastroje trochę się poprawiły, bo każda zmiana była lepsza od stagnacji. W łagrze „Dzierżyńska” poinformowano ich, że wszyscy pomyślnie przeszli „gosprawierkę”, są więc „czyści” i dlatego wolni.

Zapowiedziano, że bramy obozu zostaną otwarte, ale oficer NKWD zakomunikował, że więźniowie zostają wcieleni do batalionów pracy, a co za tym idzie, za wykonywane czynności otrzymywać będą zapłatę i kartki żywnościowe, ale ilość pieniędzy i kartek uzależniona będzie od wydajności. Schorowani i słabi po miesiącach katorżniczego wydobywania węgla, zdawali sobie sprawę, że nie nadają się do „wyrabiania” i przekraczania norm. Nie pocieszyła ich informacja, że w przyszłości będą mogli zamieszkać w miasteczku i sprowadzić rodziny.

Czesław, z natury optymista, też popadł w odrętwienie. By nie pozostać w tym stanie, postanowił uciec. Za wszelką cenę zamierzał znaleźć się w swym ukochanym Wilnie. Znalazł dwóch chętnych – Wiktora i Kazika – którzy chcieli mu towarzyszyć. Nim wyszli poza obręb łagru, Czesław jednemu z Ukraińców ukradł szynel. Musiał, bo jego stara „watówka” dawno zamieniła się w łachman bez rękawów, a październikowe mrozy już dawały się we znaki. Udało się! Są wreszcie wolni! Kieszenie wypełnili kukurydzą niezbraną jeszcze z pól i poszli na pocztę, by sprawdzić na mapie, w którym kierunku powinni ruszyć. Za pierwszy cel obrali sobie Charków i Kijów, miasta znajdujące się na północny zachód.

Pola, wsie, pola, wsie, wędrowali bez odpoczynku przez pół dnia, aż zaczęli odczuwać wielki głód. Kazik i Czesław czekali w krzakach, a Wiktor poszedł po jedzenie. Po kwadransie już mieli buraki, oskrobane kawałkiem blaszki, kukurydzę, a na deser mar-

chew i pestki słonecznika. Szybko ruszyli dalej. Według oznaczenia na szosie do Charkowa pozostało dwieście dwadzieścia jeden kilometrów. Po dwudziestu kilometrach nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa, głód powracał. Gdy zjedli gorzko-kwaśne jagody zerwane z przydrożnych krzaków, zaczęło zmierzchać. By nie narazić się na strzały jakiegoś patrolu, postanowili nie wędrować nocą i znaleźć jakiś nocleg.

Gdy przechodzili koło sowchozu, zobaczyły ich dzieci bawiące się na powietrzu i zaczęły wykrzykiwać: *Wy, Niemcy, gdzie wasze dokumenty?* Sytuacja stawała się nieprzyjemna, dzieci koniecznie chciały doprowadzić ich do kancelarii. Na szczęście jedna z mam zawołała swoje je do domu, reszta też się rozeszła. Odetchnęli. Było już za ciemno na szukanie lepszej kryjówki, wsunęli się w kopki słomy na polu i zasnęli po sześćdziesięciokilometrowym marszu. O północy obudził ich przerażony Wiktor. Na przedpolu było niemal jasno, kopki słomy płonęły, a kolejne, coraz bliżej nich, były stopniowo podpalane. Szybko wycofali się w najbliższe krzaki, przez nikogo nie zauważeni. Po przejściu kilku kilometrów, ułożeni w przydrożnych krzakach, przykryci obszernym szynelem Czesława, ponownie zasnęli. Gdy niebo zaczęło szarzeć, wyruszyli w dalszą drogę, posileni łatwo dostępną kukurydzą. Postanowili dotrzeć do kolei, zdali sobie sprawę, że odległość dzieląca ich od Wilna jest zbyt duża na pieszą wędrówkę. Wkrótce doszli do jakiegoś miasta. Okazało się, że to Artiomsk. Znalezienie stacji kolejowej nie było trudne, ale tam dowiedzieli się, że bilet do Charkowa kosztuje trzydzieści dwa ruble. Mieli tylko sześć, więc kupili trzy bilety po dwa ruble do najbliższej miejscowości.

Do odjazdu pozostawały jeszcze dwie godziny, Wiktor i Czesław postanowili przejść się, Kazik został z bagażami. Nagle podszedł do niego patrol milicji i zażądał dokumentów. Kazik odpowiedział, że pracował w sowchozie i teraz wraca do domu. By zyskać na czasie, sięgnął do kieszeni po chustkę. Milicjanci myśleli, że chce pokazać im dokumenty, machnęli ręką i odeszli. Ten jeden ruch być może uratował mu życie. Wiktor i Czesław. Po czterech godzinach podróży cała trójka dotarła do stacji, na której mieli się przesiąść do pociągu do Charkowa. Wcześniej odjeżdżał jednak towarowy do



stacji innej, ale w dobrym kierunku. Wskoczyli na jego schodki. Nie mieli już biletów ani pieniędzy, pozostali więc na schodkach. Nie było luksusowo, wiał ostry wiatr, a temperatura znacznie się obniżyła. Po zjedzeniu obiadu – dwie marchewki i kawałek podpieśnianego chleba, który dostał Kazik od jakiejś baby w Artiomsku – humory znacznie się im poprawiły.

O dwudziestej pierwszej dotarli do stacji, a trzy godziny później wsiedli do zatłoczonego pociągu do Charkowa. Tam musieli przejść przez całe miasto, pociągi do Kijowa odjeżdżały z innego dworca. Bali się takich ruchliwych miejsc, ale na szczęście nie zwrócili uwagi żadnych służb. Znowu wybrali połączenie z przesiadkami. Tym razem podróżowali na zderzakach. Wiatr, deszcz, rękami zgrabiętymi z zimna kurczowo trzymali się poręczy wagonu. Około dziesiątej rano przejechali przez Dniestr i zobaczyli kopuły bizanckich cerkwi i białych klasztorów. Kijów.

\* \* \*

Pociąg do Baranowicz odjeżdżał dopiero o północy. Cały dzień czekania. Siedzieli w poczekalni i próbowali nie myśleć o głodzie. Żołnierze siedzący naprzeciwko stale jedli. Jeden z oficerów dał wynędzniałej trójce podróżnych pół bochenka chleba. Miasto świętowało akurat dzień wyzwolenia. Wszędzie przemieszczały się tłumy ludzi, a wieczorem niebo rozświetliły sztuczne ognie. Czesław z Wiktorem chcieli rozejrzeć się w mieście. Tym razem oni przeżyli niemiłą przygodę związaną z brakiem dokumentów. Dzięki perswazyjnym zdolnościom Czesława i nieczytelnemu odpisowi karty ewakuacyjnej niebezpieczeństwo zażegnano, ale otrzymali polecenie nie wychodzenia poza obręb dworca. Już we trójkę zaczęli się zastanawiać, co dalej. Marne były szanse, aby bez pieniędzy, biletów i dokumentów udało im się dotrzeć do celu. Kontrolerzy stali nawet przy wejściach na perony, a miejsca w wagonach były numerowane. Czesław w końcu powiedział: *Idziemy na całego. Jak się uda, to bezpiecznie dojedziemy wszyscy do Wilna, jak nie...*

We dwóch poszli do naczelnika stacji. Wiktor miał udawać przygłupiego i potwierdzać tylko to, co mówi Czesław. W eleganckim gabinecie, za biurkiem, siedział sowiecki pułkownik o inteli-

gentnej, europejskiej twarzy. To dodało odwagi Czesławowi, który pewnie wyrecytował wymyśloną historyjkę o tym, że jechali transportem z Donbasu do Wilna. W Charkowie rzekomo wyszli, żeby kupić chleb, i pociąg odjechał wraz z ich wszystkimi dokumentami, pieniędzmi i biletami. Po uważnym przeczytaniu kart ewakuacyjnych pułkownik zatelefonował. Urzędniczka, która zjawiała się niemal natychmiast, sporządziła akt podróży, na podstawie którego mieli zapewnioną darmową podróż aż do Wilna. Udało się! W normalnym wagonie, na numerowanych miejscach, Czesław, Wiktor i Kazik jechali dwadzieścia dwie godziny do Baranowicz, a potem przez Grodno, bez żadnych przeszkód dotarli do Wilna. Nie byli też głodni, bo co rusz od współpodróżnych Polaków dostawali coś do jedzenia.

Siódmego dnia swej tułaczki-ucieczki zobaczyli Wilno. Wysiedli z pociągu, serdecznie uścisnęli sobie dłonie i każdy ruszył w swoją stronę. Czesław wszedł na podwórko, które dziesięć miesięcy wcześniej opuszczał w asyście NKWD. Drzwi mieszkania były zamknięte. Usiadł na schodach, wyciągnął kromkę chleba. Usłyszał kroki. To matka wchodziła na górę, niosła dwa bochenki chleba. *Ja mamę też witam chlebem!* – krzyknął Czesław i pokazał nadgryzioną kromkę.

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL, absolwentka Wydziału Muzykologii oraz Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Współpracowała m.in. z „Tygodnikiem Kulturalnym”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Poradnikiem Muzycznym”. Współpracowniczką pisma muzycznego „Twoja Muza”.



# Seks bezpieczny

---

*Zapis debaty z cyklu „Rozmowy na zaproszenie”. Udział wzięli Andrzej Komorowski, Jerzy Grzybowski, Magdalena Lipniacka, Małgorzata Mąsiorska, Mira Jankowska. Prowadziła Ewa Kiedio*

– Wśród znajomych, którzy są w związkach, zauważyłam ciekawą tendencję. Otóż pary te czekają – w myśl nauki Kościoła – ze współżyciem do ślubu. Kiedy do tego dochodzi, pojawia się myśl: „Nareszcie! Będziemy mogli robić wszystko”. Czy rzeczywiście będą mogli? I czy w relacji małżonków może zaistnieć seks niebezpieczny?

JERZY GRZYBOWSKI: Pod pojęciem „seks niebezpieczny” rozumiem taki seks, w którym traktujemy siebie nawzajem instrumentalnie, wykorzystujemy do zaspokojenia potrzeb; kiedy szukamy w nim tylko przyjemności – nawet tej „uprawnionej” – rozładowania napięcia seksualnego. A seks to coś więcej. Bycie „jednym ciałem” to celebrowanie związku, doświadczenie i przeżycie jedności osób. Warto może postawić pytanie, co to znaczy, że po ślubie „będziemy mogli wszystko”. W małżeństwie możemy robić wszystko, co sprzyja pogłębieniu jedności, miłości i godności. Dotyczy to szczególnie sfery seksualnej, w której dokonuje się poczęcie człowieka. Dlatego tak ważne są kwestie etyczne. Dzisiaj małżeństwo często nie jest pierwszym związkiem i do małżeństwa wnosi się wcześniejsze doświadczenia seksualne – wzorce, schematy, wyobrażenia, niezaspokojone pragnienia, zranienia. I to jest niebezpieczne, gdyż zazwyczaj owocuje w małżeństwie różnego rodzaju blokadami. O wiele łatwiej jest, kiedy młodzi niejako uczą się siebie nawzajem w pierwszym związku. To „bezpieczniejsze” dla ich małżeństwa.

ANDRZEJ KOMOROWSKI: Wszystkie religijne osoby na świecie, a chrześcijanie szczególnie, często rozpoczynają rozmowy o seksie – nie w związku z kwestią bliskości, ale niebezpieczeństw. Jako seksuolog często próbuję przekonać innych, że my, chrześcijanie, dotknęci schematem myślenia o niepokalanym poczęciu, często mamy wrażenie, że musimy się czegoś obawiać. Oczywiście, na drodze natykamy się na wiele raf, ale generalnie miłość jest czymś fajnym! Uważam, że miłość nie jest niebezpieczna. Niebezpieczny jest brak miłości, zwłaszcza w domu. Zachęcam, by nie rozpatrywać miłości z perspektywy niebezpieczeństw. Prowadzenie samochodu jest przyjemnością, może skończyć się wypadkiem. Podobnie jedzenie może się skończyć zadławieniem, ale zwykle możemy się nim rozkoszować.

– Odnoszę wrażenie, że w programie *Archipelag Skarbów* staracie się pokazać dwa oblicza miłości i seksu: z jednej strony to piękne, więziotwórcze, a z drugiej – niebezpieczne.

MAGDALENA LIPNIAKA: Przede wszystkim zachęcamy młodych, by spojrzeli na człowieka jako całość. Często w gazetach czy w filmach pokazuje się człowieka jako ciało i uczucia, a przecież są w nim jeszcze rozum, sfera duchowa. Wszystko to ma znaczenie w budowaniu relacji. Tworzenie związku to nie wyłącznie dopasowanie seksualne. Dopiero dopasowanie się w sferze duchowej, wartości i rozumu pozwala zbudować relację, a jednocześnie czerpać satysfakcję ze współżycia. Próbujemy nieco odczarować ten współczesny sposób patrzenia na związek i na miłość przez pryzmat wyłącznie uczuć i atrakcyjności fizycznej.

Nawet podanie ręki na przywitanie wymaga zaangażowania całego człowieka – trzeba podjąć decyzję o podejściu, przywitaniu się, pojawiają się wtedy jakieś uczucia, myśli, oczekiwania. Tym bardziej zatem współżycie seksualne będzie wymagało podejścia do człowieka jako złożonej całości. Jeżeli jednak na wczesnym etapie relacji zaczyna się współżycie, to trudno naprawdę poznać drugą osobę. Kiedy jesteśmy zakochani, patrzymy na świat przez różowe okulary. Jeśli zaczynamy wtedy współżycie,

to wkładamy drugą parę różowych okularów. Współżycie seksualne w założeniu ma zespałać więź, dawać jedność w małżeństwie, a rozpoczęte na wczesnym etapie może silnie związać z osobą, której być może wcale nie znamy! Dlatego warto poczekać ze współżyciem – sprawdzić, czy mamy podobny sposób patrzenia na świat, rozwiązywania problemów, czy dzielimy podobne wartości. Być może dojdzie wtedy do kryzysu uczuć i pytania, czy rzeczywiście chcemy być razem przez całe życie. Jeśli pojawi się decyzja o rozstaniu, które bywa trudne, to zdecydowanie łatwiej ją podjąć, zanim dojdzie do najintymniejszych zbliżeń czy zwieżeń. Jeśli ten kryzys jednak zostanie pokonany i przekonamy się, że druga osoba podobnie patrzy na świat, ma podobne wartości i zapał do wspólnego pokonywania trudności, możemy rozważać decyzję o małżeństwie. Decyzja ta zwykle zapada, gdy ludzie mają dwadzieścia kilka lat. Z perspektywy naszych odbiorców, czyli głównie uczniów klas drugich i trzecich gimnazjum, może to być dość odległe, dlatego zachęcamy ich do wytężonego wysiłku przez te kilka lat, aby potem, w małżeństwie, mogli cieszyć się tą sferą intymną przez kolejne czterdzieści-pięćdziesiąt lat z dobrze wybranym partnerem. Małżeństwa, które nie dobrały się pod kątem sfery duchowej, emocjonalnej, nie mają pełnej radości ze współżycia.

*– A czy w małżeństwie potrzeba rozmawiać o seksie?*

MIRA JANKOWSKA: Nie mam wątpliwości – jest to niezbędne. Prowadzę Mistrzowską Akademię Miłości oraz audycję w radiu Plus. Rozmawiam z wieloma osobami. Te spotkania skłaniają mnie do refleksji i pytań: gdzie i jak uczymy się kochać – siebie i drugą osobę. Czy w ogóle można uczyć się kochać, rozwijać się w obszarze erotyki? Seksualność – sfera, przez którą wyrażamy miłość – jest czymś nadzwyczajnym, jest życiodajna nie tylko w kontekście nowego życia, lecz także w kontekście codzienności. Ta sfera dotyczy każdego. Niezależnie od płci, wieku czy stanu. Nawet kapłan nie traci swojej seksualności. Człowiek, który nie żyje w związku, ma takie same potrzeby jak każdy inny. Pytanie, co z nimi robi.

Dobrze, jeśli tę seksualną siłę przetwarzamy w sposób twórczy dla siebie i innych, ale to wymaga dobrej znajomości siebie. Tego zwykle nam brakuje. Nie jesteśmy tego uczeni. Nie znamy własnej cielesności (zwłaszcza seksualności), psychiki i jej mechanizmów, a i z duchowością mamy kłopot. Ani dom nie daje nam odpowiedniej wiedzy o sobie i o budowaniu dobrych relacji z innymi, ani szkoła, ani Kościół. Jesteśmy edukacyjnie zaniedbani. Kto nas więc wychowuje? Media i ulica! To stąd bierzemy wzorce postaw i style zachowań, na przykład seksualnych czy estetycznych. To po pierwsze.

Po drugie proszę zauważyć, że kiedy przynosiłśmy cenzurki ze szkoły, rodzice w pierwszym odruchu zwracali uwagę na złe oceny. Nie na te dobre. „Negatywne motywowanie” działało właściwie jako demotywator. Od zwracania uwagi na ułomności nikt się nie poprawił. Bardziej mobilizuje nas podkreślanie tego, co w nas dobre, piękne, co jest naszym atutem. To dodaje skrzydeł, sił w dokonywaniu zmian. Dobrze jest przyjrzeć się temu, jak często sami „motywujemy się” negatywnie. Jak często zdarza się, że zamiast cieszyć się z pięćdziesięciu dobrze załatwionych spraw, zwracamy uwagę na tę jedną, która nam się nie udała. Ten sam błąd w sposobie docierania do wiernych widzę w nauczaniu Kościoła. Nieustanne moralizowanie i wskazywanie na braki, grzechy – także w dziedzinie seksualności – jest ideologizowaniem, a nie głoszeniem nauki Chrystusa. Myślenie o cielesności jako tylko o gorszej i grzesznej stronie istoty ludzkiej prowadzi do tego, że nawet pożyacie małżeńskie gdzieś uważa się jeszcze za zło konieczne. Sama to słyszałam na rekolekcjach dla małżeństw... Ten przechył w stronę grzeszności uważam za balans na granicy gnozy i manicheizmu, czyli herezji, według której *sacrum* jest to, co duchowe, a profanum to, co cielesne. A zatem seksualność i pożyacie lokują się w sferze nieczystej.

A to absurd! To Chrystus wcielił się, umarł i zmartwychwstał na darmo? Niestety do niedawna kładło się nacisk wyłącznie na aspekt prokreacyjny współżycia. Nie mówiło się nic o przyjemności, o więzi i bliskości, które przynosi współżycie seksualne. Kiedy myślę o seksie, do tej pory brzmią mi w uszach dwa hasła: prokreacja i niestosowanie środków antykoncepcyjnych. Trzeba uważać,

by zająć albo nie zająć w ciążę. A gdzie jest cała reszta związana z intymną relacją kobiety i mężczyzny?

A.K.: Mam wrażenie, że do dziś ani Ojcowie Kościoła, ani ojcowie państwa nie ustalili tego, jak mówić o współżyciu seksualnym. Żyjemy w świecie stereotypów; operujemy nimi w wychowaniu naszych dzieci. Są osoby, które śmieją się, że kobiety muszą się przeżegnać, by rozróżnić lewą stronę od prawej.

*– Kiedy katolicy rozmawiają o seksualności, zwykle pada nazwisko ojca Ksawerego Knotza. Niedawno czytałam artykuł ojca Janusza Pydy, który zarzuca Knotzowi mówienie przez pryzmat metafizyki, modlenia się na kolanach i myślenia o seksualności ludzkiej stworzonej na kształt zjednoczenia Trójcy Świętej: „Co jak co, ale czytając o seksie, zwłaszcza w katolickim miesięczniku czy u katolickiego autora, nie powinien się człowiek nudzić ani też ronić. Kłęcznik niech pozostanie kłęcznikiem, a małżeńskie łóżko miejscem rozkosznej zabawy. A zapach kadzidła lepiej niech się unosi nad ołtarzem czy zakrystią, a nie nad małżeńską alkową”. Tu się rodzi pytanie: czy katolik ma prawo po prostu cieszyć się seksem, seksualnością w obrębie małżeństwa, czy też sfera symbolicznych znaczeń musi stale być w jego głowie?*

J.G.: Odpowiem cytatem z Pieśni nad Pieśniami: „O jak piękna jesteś, jakże wdzięczna, umiłowana, pełna rozkoszy! Postać twoja wysmukła jak palma, a piersi twe jak grona winne. (...) Jam miłego mego i ku mnie zwraca się jego pożądanie. Pójdź, mój miły, powędrujemy w pola, nocujmy po wioskach!” (Pnp 7, 7n). Te relacje naturalne mężczyzny i kobiety przedstawiają zarazem miłość Boga i narodu wybranego. Łączenie sfery fizycznej i duchowej jest jak najbardziej na miejscu, jest dobre, choć czasem może to wywoływać pewne zamieszanie. Przeciwwstawianie kłęcznika łóżu małżeńskiemu postrzegam jako manipulację. Rozkoszna zabawa w łóżku, która służy jedności osób, może być uwspółcześnionym obrazem Pieśni nad Pieśniami. A znam wielu małżonków, którzy seksualne igraszki świadomie przeżywają w poczuciu Bożej obecności, jako

celebrację bycia „jednym ciałem” w takim rozumieniu, jakie nadaje tym słowom Księga Rodzaju.

M.J.: Przeprowadzałam z ojcem Ksawerym kilka rozmów. Myśle, że jest on tym „pierwszym odważnym”, który przetaił szlak normalnego mówienia o sferze seksualnej, również w odniesieniu do duchowości. Mówi bardzo otwarcie, nie boi się takich słów jak „penis”, „orgazm”, „łechtaczka”. A mnie po raz pierwszy w życiu ocenizowano w radiu audycję z psychiatrą-seksuologiem, bo jakoby moimi pytaniami... peszyłam gościa! To było zbyt odważne dla tej stacji. Choć obiektywnie nie było. A seksuolog się zdziwił takim obrotem sprawy. Wiele przed nami pracy.

A.K.: Jako seksuolog o twórczości ojca Knotza mogę powiedzieć tyle, ile on sam powiedział o sobie: „Jestem tylko prostym chłopakiem z Rzeszowa. I chciałem to napisać dla takich chłopaków jak ja, których w życiu wielokrotnie przestraszono”. Wydaje mi się, że to jest prawda. Wiedza seksualna powinna być przekazywana normalnym językiem i Knotz to robi. Niektórych to oburza, ale inną drogą jest zdobywanie wiedzy nie najlepszej jakości – także przez filmy porno – z sieci. Czy chcemy, by dzieci poznawały seksualność z takiej strony, choćby właśnie przez internet?

J.G.: Wypłynęła kwestia mówienia dzieciom o „tych” sprawach, a więc kwestia języka. Warto, by w naszych małżeństwach sfera seksualna nie funkcjonowała na zasadzie niedomówień; byśmy potrafili o niej rozmawiać. Warto być wrażliwymi, otwartymi, wsłuchać się w siebie i drugą osobę. Żebyśmy potrafili rozumieć siebie nawzajem, odmienność naszego reagowania w sferze seksualnej. Warto zauważyć, że nasze codzienne małżeńskie kontakty wpływają potem na wzajemne relacje w łóżku. Mówi się czasem, że wieczór zaczyna się rano. To, w jaki sposób odnosiliśmy się do siebie w ciągu dnia, odbija się na pożyciu małżeńskim. Jest takie powiedzenie, że łóżko powinno godzić małżonków. To nie do końca prawda. Seks kompensuje wtedy przykre uczucia, niezaspokojone potrzeby psychiczne, ale nie rozwiązuje proble-



mów między małżonkami. Zresztą trudno pójść do łóżka niepogodzonym. To wzajemne zrozumienie zwiększa poczucie bliskości, jedności i rzutuje na więź seksualną. Relacje seksualne, jeśli są delikatne, wpływają wtedy pozytywnie na więź podczas codziennego życia.

M.L.: W Archipelagu Skarbów staramy się przekazać właśnie taką myśl: jeśli ludzie będą dopasowani do siebie w sferze rozumu, duchowości i emocji, to nie będą potrzebowali podręcznika Kamasutry, by poprawić doznania.

We współżyciu najważniejsze są szacunek do drugiej osoby i rozmowa. To one mogą dać poczucie bezpieczeństwa i akceptacji. Bezpieczny seks może zaistnieć dopiero wtedy, gdy obie osoby czują się ze sobą bezpiecznie. Dla osób, które mają za sobą doświadczenia seksualne, otwartość będzie również oznaczała gotowość powiedzenia: „tego nie chcę, mam złe doświadczenie związane z tym”. Myślę także, że gdy osoby mające wcześniejsze doświadczenia zaczynają przygotowywać się do małżeństwa i podejmują decyzję, aby czekać ze współżyciem w okresie narzeczeństwa (lub wcześniej), mają szansę, dzięki łączności z Bogiem, przydać wyjątkowości współżyciu seksualnemu w małżeństwie. Wówczas poprzednie doświadczenia nie będą miały już większego znaczenia w obliczu bliskości małżeńskiej, w której to Bóg staje się punktem odniesienia.

Ksawery Knotz mówi, że seks ma być radością, czymś pięknym. Oczywiście, przedstawia jego wymiar duchowy, gdzie jest miejsce na ołtarz eucharystyczny, ołtarz wspólnych posiłków oraz ołtarz łoża małżeńskiego, ale przekazuje to z dużą lekkością. Przekonuje, że małżonkowie mogą robić to, czego pragną, o ile to oczywiście nie wyklucza poczęcia.

J.G.: Jeden z tematów warsztatów, które prowadzimy, brzmi: „Czy czuję się bezpiecznie przy tobie?”. Ma to być inspiracja do rozmowy o wykorzystywaniu seksualnym w małżeństwie. Uczestnicy pytają siebie: „Czy czuję się zrozumiany, zaakceptowany, czy raczej wykorzystany?”.

MAŁGORZATA MAŚIORSKA: Mam doświadczenie w prowadzeniu par, które mają problemy z płodnością. W ich przypadku współżycie nie daje tego naturalnego „owocu”, którym jest dziecko. W pewnym momencie spotkanie w małżeńskim łóżu staje się cierpieniem. Małżonkowie zaczynają zadawać sobie pytanie – co jest ze mną nie tak? Co z naszą relacją? Co się dzieje? Na naszych spotkaniach, kiedy uczymy o modelu Creightona, okazuje się, że osoby dorosłe (najczęściej pracuję z osobami około trzydziestki, czterdziestki) często nie znają podstawowych procesów fizjologicznych czy hormonalnych, co ostatecznie wpływa na ich relację seksualną. Zdarza się, że kobieta, która zaczyna prowadzić obserwację cyklu, zauważa, że faza cyklu wpływa na jej codzienność. Jednym z efektów tych spotkań jest to, że kobiety wracają do swojej kobiecości, zaczynają lepiej rozumieć, co się z nimi dzieje. To często staje się początkiem budowania dobrej relacji z mężem na poziomie seksualnym.

Dla mężczyzny ta wiedza również jest ważna. Dzięki niej coraz lepiej rozpoznają u kobiet stany związane z procesami hormonalnymi, choć nie tylko z nimi. W czasie spotkań zwracamy uwagę na to, o czym mówimy w Archipelagu: że człowiek nie składa się wyłącznie z fizyczności, że nie tylko hormony determinują relację. Są to bardzo ciepłe spotkania, odnoszę czasami wrażenie, że na nich ludzie odkrywają siebie na nowo, znajdują czas na przyjrzenie się relacji z innej perspektywy. Mamy przygotowany zestaw pytań, wśród nich jest pytanie o płodność. Okazuje się, że wiele małżeństw nie rozmawia o płodności.

*– Ale o seksie jednak rozmawiają?*

M.M.: Właśnie nie!

*– Jest taka opinia, że Polacy nie bardzo potrafią rozmawiać o seksie. Jeśli już mówią, to zwykle wulgarnie albo w taki sposób, że nie wiadomo, o co chodzi.*

M.M.: Czasem śmieję się sama z siebie, ponieważ mówię o tym wprost, to jest moje codzienne słownictwo. Gdy patrzę w oczy osób,

które przyszedły na pierwsze spotkanie i słyszą „te” słowa, widzę, że muszę zacząć nieco delikatniej. Nie jest to temat, o którym mówimy otwarcie. Kiedy spotykam się z parami indywidualnie, wiele osób mówi, że pierwszy raz odpowiada na pytania dotyczące ich relacji. To niesamowite. Ci ludzie są zwykle ze sobą już wiele lat i borykają się z problemami. I dopiero na spotkaniach zaczynają odkopywać różne sprawy, zaczynają być bliżej siebie. To wpływa na płodność, która zaczyna się w jakimś stopniu odblokowywać. Oczywiście na płodność wpływają też problemy zdrowotne, ale najważniejsze to zacząć rozmawiać.

M.J.: Z widowisk Mistrzowskiej Akademii Miłości wydajemy płyty, część z nich poświęcona jest tematyce seksu. Proszę sobie wyobrazić, że gdy ktoś chce kupić którąś z nich, to prosi o płytę o konkretnym numerze, bo słowo „seks” w tytule nie przechodzi mu przez gardło. Francuzi mają wiele określeń związanych z seksualnością, u nas ich nie ma. Może warto, by ktoś przygotował odpowiedni podręcznik językowy? Mam koleżkę, scenarzystę, aktora i lektora, Zbigniewa Moskała, który pisze świetne scenki na użytek Akademii Miłości. One rozpoczynają nasze widowiska. Zbyszek ma taką cechę, że o sferze seksualnej mówi normalnie, życzliwie. Przyznam, że to mnie samej pomogło się odblokować. Myślę, że każdemu potrzeba bezpiecznego środowiska, w którym mógłby o tym pogadać, żeby nie kształtowały się w naszej głowie jakieś demoniczne wyobrażenia, byśmy umieli rozmawiać o erotyce jak na przykład o gotowaniu zupy. Oczywiście, daj Boże, by te rozmowy były piękniejsze od rozmów o sprawach prozaicznych.

M.L.: Francuski seksuolog Henri Joyeux zaleca prowadzić rozmowy o współżyciu seksualnym już z dziećmi w wieku trzech-czterech lat, kiedy zaczynają interesować się tym tematem i kiedy przyjmują świat taki, jaki jest. Nie warto czekać do wieku dojrzewania, kiedy młodzi ludzie zaczynają się wstydzić albo kiedy już mają wyrobione zdanie na podstawie wiadomości z internetu czy od rówieśników. Sposób rozmowy z małym dzieckiem powinien być dostosowany do jego wieku i powinien pokazywać tę sferę od

strony jej piękna, miłości i budowania więzi. Doktor Szymon Grzelak, twórca Modelu Profilaktyki Zintegrowanej i programu Archipelag Skarbów, napisał książkę dla rodziców „Dziki ojciec”. Dzieli się w niej swoim doświadczeniem ojcowskim. Pisze, że im wcześniej my, rodzice, będziemy z naszymi dziećmi rozmawiać o sprawach seksualności, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że zderzą się one z okrutnym obrazem współżycia, który dociera ze świata. Już dziś pięcioletek może przecież podnieść ulotkę agencji towarzyskiej. Niesie ona przekaz, że współżycie to używanie nagiej kobiety. Jeśli zaczniemy rozmawiać z dzieckiem wcześniej, to ono może sobie w takiej sytuacji pomyśleć: „tej pani się nie udało, ale moi rodzice kochają się i są szczęśliwi”. My, rodzice, powinniśmy być o krok przed tym, czego doświadcza nasze dziecko.

MIRA JANKOWSKA, założycielka i rektor Mistrzowskiej Akademii Miłości MAM ([www.akademia24.pl](http://www.akademia24.pl)), autorka audycji „Kochaj i rób, co chcesz, czyli Mistrzowska Akademia Miłości” w radiu Plus.

MAGDALENA LIPNIACKA, instruktor programu Archipelag Skarbów, wiceprezes Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej.

JERZY GRZYBOWSKI, założyciel i lider Ruchu „Spotkania Małżeńskie”.

ANDRZEJ KOMOROWSKI, doradca rodzinny, terapeuta, seksuolog.

MAŁGORZATA MAŚIORSKA, instruktorka modelu Creightona (naprotechnologii), trener programu Archipelag Skarbów.

EWA KIEDIO, redaktor miesięcznika „Więź”, założycielka magazynu „Dywiz. Pismo Katolickie”.

---

Wojciech Chmielewski

# Popielec

Siedzi nad kieliszkiem rumu i patrzy na kościół, szarą bryłą malujący się nad gwałnym placem w środku miasta. Mglisty obraz, już szarówka, tylko drzewa rysują się mocną krechą. Czarne drzewa bez liści i łachy śniegu pod nimi. Tramwaj sypie iskrami, ludzie tłumnie oblepiają przystanki, ale w tym lokalu jest zupełnie sama. Wypełnia go zapach dymu z rozgrzanej kozy. Przypomina się wnętrze wiejskiej biblioteki, w której kiedyś pracowała matka. Tam też dymiło z pieca. Mała dziewczynka leżała na dywanie z gałganek i przeglądała atlas anatomii człowieka. Ludzie wchodzili, wychodzili, wymieniali z matką uwagi na temat życia w miasteczku. Ona słuchała, była bezpieczna i szczęśliwa. Za oknami leżał śnieg, a może była wiosna.

– Michaś, zobacz, w kozie wygasło – głos dziewczyny nalewającej alkohol za barem.

Miły głos, ciepły. Jest w nim uczucie wypełniające życie tych dwojga. Z zaplecza wychodzi chłopak, klęka, otwiera drzwiczki piecyka.

Ze swego miejsca widzi go dobrze. Czarne włosy. Niezły. Przy stojniak. Czarek też taki był, kiedy go poznawała. Wtedy nad jeziorem zaimponował jej, że nie poszedł z kolegami skakać na główkę z wierzby rosnącej tuż nad brzegiem, tylko został z nią. Zaczęli ze sobą chodzić. Wszyscy wokół mówili, jak bardzo do siebie pasują. On barczysty, z granatową czupryną, i ona, włosy

śmiesznie jej się kręciły. Kręca się nadal, ale po rozwodzie przebarbowała je na blond. „Baranek” – tak nazywała ją Marta, starsza siostra.

Patrzy przez wielkie okna baru na plac. Właściwie ściany tego lokalu są szybami, tak to ktoś wymyślił. Patrzy i nie myśli o niczym. Podbiega pies. Bokser z białą gwiazdką na piersi, podnosi łeb, patrzy. Skrzyżowały się spojrzenia psa i kobiety nad kieliszkiem rumu. Zamówić jeszcze jeden? Ciepło tu, przytulnie. Dzisiaj on jest z dziećmi, można sobie pozwolić.

Siedzi dalej bez ruchu, patrzy. Fasady kamienic otaczające plac są białe i różowe. Widok przecinają pnie i konary drzew na pierwszym planie, siedzą na nich czarne ptaki. Wygasło. Coś wygasło, w kozie wygasło, ale Michaś już na nowo rozpałił ogień. Jest ciepło, będzie ciepło. I od środka też grzeje.

Nad dachem kościoła unosi się biały tuman. Przed wejściem tłum, wychodzą ludzie. Przecież dzisiaj Środa Popielcowa, powinienam pójść do kościoła, a nie myśleć o kolejnym kieliszku. Rok temu byli w kościele jeszcze całą rodziną, Mateusz służył do mszy. Dzisiaj na pewno nigdzie nie pójdą, zabrał je do kina albo do centrum handlowego, wybierają ciuchy, zabawki. Potem lody albo hamburgery z frytkami. Pizza.

Za barem Michaś zabrał się za wycieranie szklanek od piwa. Plac pełen ludzi, ale tu nikt nie przychodzi. I godzina taka, że przecież powinni być klienci. Tylko ona. A gdyby tamta, co zabrała jej męża, weszła tu i usiadła przy sąsiednim stoliku, założyła nogę na nogę i zamówiła kawę? Jak dalej potoczyłoby się popołudnie?

Fala gorąca od żołądka w górę. Drżenie, ręce, wszystko. Wyciąga chusteczkę z torebki, szybko wyciera oczy. Wypija resztę rumu jednym haustem. Musi już iść, tylko nie wie dokąd. Może pochodzi ulicami, bo do pustego domu nie ma po co wracać. Wilgoć w powietrzu o tej porze wcale nie jest taka zła, można pełniej oddychać. Wstąpi do sklepu, kupi sobie apaszkę, już od dawna jej potrzebuje. O dziewczętej Czarek ma przywieźć dzieci, jest jeszcze dużo czasu. Potem wróci do tamtej, będzie jej dotykał.

Kobieta wstaje, przysuwa krzesło, podchodzi do baru i płaci za rum. Daje Michasiowi napiwek, chłopak dziękuje i uśmiecha się. Ile

może mieć lat? Dwadzieścia pięć, najwyżej. Dziewczyny nie widać, pewnie pracuje na zapleczu.

Otwiera drzwi lokalu. Łyka późnozimowe powietrze. Wrona odrywa się od czarnej gałęzi, dzwoni tramwaj, anioł usiadł na dachu kościoła i macha nogami, w mieście rodzi się dziecko.

2012

WOJCIECH CHMIELEWSKI, ur. 1969 w Warszawie, prozaik, autor zbiorów opowiadań „Biały bokser” (2006; wyróżnienie w VI edycji Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza w 2007 r.), „Brzytwa” (2008; nominacja do Nagrody Mediów Publicznych „Cogito”) oraz powieści „Kawa u Doroty” (2010). Autor słuchowisk dla Teatru Polskiego Radia. Opowiadania, eseje i recenzje publikował m.in. w „Dialogu”, „Nowych Książkach”, „Rzeczpospolitej”, „Odrze”, „Borussii”.



# TEATR

---

## HISTORIA, KTÓREJ NA IMIĘ CODZIENNOŚĆ

**Teatr Powszechny**  
**im. Z. Hübnera w Warszawie**

**Artur Pałyga**

## Nieskończona historia

---

*reżyseria: Piotr Cieplak;*  
*scenografia: Andrzej Witkowski;*  
*muzyka: Jan Duszyński;*  
*premiera 10 marca 2012 r.*

Piotr Cieplak to reżyser z niezwykłą wyobraźnią. Udowadniał to wielokrotnie jako realizator wielu oryginalnych przedstawień (wymyślony z papieru „Utwór sentymentalny na czterech aktorów”, kolorowo-bajkowe „Opowieści dla dzieci” czy wytańczone w milczeniu „Przed południem, przed zmierzchem”). Ostatnio debiutował także autorskim słuchowiskiem – monodramem z muzycznymi improwizacjami, które przygotował dla Teatru Polskiego Radia („O niewiedzy w praktyce, czyli droga do Portugalii”). A od marca

znów zachwyca nowym fantastycznym spektaklem. Jego „Nieskończona historia” na podstawie dramatu Artura Pałygi, zrealizowana w warszawskim Teatrze Powszechnym, zebrała chyba wszystkie możliwe tegoroczne nagrody teatralne.

„Nieskończona historia” to opowieść o ludziach mieszkających w pewnej kamienicy. Mieszkańcy tego wyjątkowego domu to najróżniejsze charaktery. Każda z przedstawionych osób jest inna, nietypowa, „jakaś”. Różnią się od siebie wszystkim – wiekiem, wykształceniem, światopoglądem, zainteresowaniami... Każda z tych postaci niesie ze sobą własną historię. Z kolei wszystkie te historie, posklejane i poskładane w jedno, tworzą nie tylko obraz życia tej jednej kamienicy, lecz także bardziej uniwersalnie – obraz ludzkiego życia. Od narodzin aż do śmierci.

Galeria postaci jest naprawdę różnorodna. W kamienicy mieszka Pan Tramppek (Mariusz Benoit), swoisty przewodnik chóru, stale obecny na scenie i nieustannie zagrzewający do „gromadzenia się, śpiewu i wydawania dźwięków”. Mieszkają tu także dwie starsze panie (urocze Elżbieta Kępińska i Maria Robaszkiewicz), które namiętnie słuchają radia i chodzą pod rękę do pobliskiego kościoła. Jest ciężarna dziewczyna (Eliza Borowska), mocno zadziwiona tym, co dzieje się w jej wnętrzu; jest i dziewczyna (Katarzyna M. Zielińska) zawsze posłuszna swoim rodzicom oraz Magda (Aleksandra Bożek), która pomaga nawrócić się swojemu zbuntowanemu koleździe (Krzysztof Plewko-Szczerbiński).



W kamienicy mieszka również małżeństwo wiecznie kłóące się o drobiazgi (Karina Seweryn i Michał Napiątek) oraz energiczna właścicielka zakładu pogrzebowego (Olga Sawicka), która nie wierzy w Boga, ale z wiary innych czerpie profity. Do grona mieszkańców zalicza się także nauczyciel rysunku technicznego (Cezary Kosiński), którego zachwyt nad znalezionym w antykwariacie eposem o Gilgameszu pozwala mu odkryć tajemnicę Trójcy Świętej. Na zainteresowanie zasługuje również przeżabawny inteligent (Andrzej Mastalerz); jego matematyczna, niezawodna strategia wyliczania chroni przed marketingowymi sztuczkami i nie pozwala popaść w niekontrolowaną konsumpcję (nadmierne zakupy w centrum handlowym). Tych ludzi pozornie nic nie łączy, ale wspólne miejsce zamieszkania sprawia, że stają się sobie bliscy. Początkowo zamknięci na siebie, z czasem uczą się ze sobą rozmawiać (spektakl rozpoczyna znaczące skandowanie sylab „da” i „ga”, przypominających gaworzenie). Są to zwykłe rozmowy o codzienności, o pogodzie czy kolorze worków na śmieci. Ale z czasem staną się coraz bardziej osobiste i ważne.

Ale ta codzienność, którą z taką perfekcją pokazuje na scenie Cieplak, ma znamiona wyjątkowości. Rutyna dnia codziennego podniesiona zostaje tutaj do rangi czegoś niezwykłego. Na bohaterów „Nieskończonej historii” nie można patrzeć inaczej niż z sympatią, a wręcz czułością. To, w jaki sposób ich historie zostają opowiedziane, w głównej mierze przyczynia się do ogólnej atmosfery

spektaklu. To także zasługa świetnie dopracowanych etud, wybornej gry aktorskiej i oryginalnej, wyrafinowanej formy spektaklu, na którą zdecydował się reżyser.

Cieplakowi udaje się też rzecz naprawdę trudna – ową codzienność nie tylko widać na scenie, lecz także ją słyszeć. W trakcie spektaklu aktorzy naśladują dźwięki codziennego życia, dochodzące z najbliższego otoczenia kamienicy. To szczekanie i skowyt psa, pukanie do drzwi, skrzypienie podłogi, gwizd czajnika z gotującą się wodą... To codzienność zamknięta w dźwiękach – często niesłyszanych, pomijanych i niedocenianych. Wrażliwość Cieplaka na warstwę brzmieniową jest imponująca (najpiękniejszą muzyczną sceną jest ta, w której aktorzy ustawieni w kondukcje pogrzebowym wykonują za pomocą dźwięków „Marsz żałobny” Chopina). Dzięki temu zabiegowi warszawski spektakl zyskuje niejako „kompletność” – staje się doskonałym zobrazowaniem i podsłuchaniem życia.

Życie lokatorów zamieszkujących kamienicę to metafora całego świata, pewnego uniwersum. Ludzie rodzą się, kochają, pracują, kłóą, śmieją się i umierają. Takie właśnie jest życie. I Cieplak swoim mądrym spektaklem zmusza do refleksji. Zachęca do przyjrzenia się przede wszystkim swojej codzienności. To przecież ona – ta banalna codzienność, nudna, pełna rutyny – składa się na nasze życie. Cieplak chce przypomnieć, że ceremonie i rytuały dnia codziennego są wartością samą w sobie. I że (...) *każda chwila, każdy dzień jest czymś darowanym. Czymś*

wyjątkowym. Szczęśliwym dniem. A to jest heroizm codzienności, który wydaje się najmądrzejszą ze wszystkich postaw, które ludzie wymyślili.

*Paulina Borek-Ofiara*

FILM

---

UCZTA NA DVD

## **Rękopis znaleziony w Saragossie**

## **Sanatorium pod Klepsydrą**

reż.: Wojciech Jerzy Has

## **Ze snu sen**

reż.: Adam Kuczyński

## **Ślady**

reż.: Robert Gliński

---

*Telewizja Kino Polska, 2012.*

Powodów, dla których warto wracać do twórczości Wojciecha Jerzego Hasa, nie trzeba specjalnie szukać, ale dla porządku warto przypomnieć, że niedawno minęła dwunasta rocznica śmierci tego wybitnego twórcy. W serii Arcydzieła Polskiego Kina ukazały się dwa znakomite filmy reżysera, który z niezwykłą konse-

kwencją realizował swoje autorskie kino. Filmy zrekonstruowane cyfrowo: „Rękopis znaleziony w Saragossie” (1965) i „Sanatorium pod klepsydrą” (1973) należą do tak zwanego fantastyczno-onirycznego okresu jego twórczości. Dzieła te znalazły się w jednym pakiecie z dokumentami: „Ze snu sen” (1998) w reżyserii Adama Kuczyńskiego i „Ślady” (2012) w reżyserii Roberta Glińskiego.

Has miał podobno kiedyś powiedzieć, że jego filmy są snami. Te dwa fabularne obrazy zdają się to potwierdzać w sposób szczególny. O ile twórcy mu współcześni próbowali rozliczać się z czasami wojny, opowiadać o przemianach społecznych, konfliktach, o tyle on starał się z niezwykłą starannością kreślić portrety swoich bohaterów. Udało mu się w swoich obrazach filmowych wytworzyć klimat niepokoju, niespełnienia. Swoim artystycznym kinem wyraźnie sprzeciwiał się pogoni za doraźnością. Zatrzymywał się na krawędzi wyobraźni, kreował światy groteskowe, ale jednocześnie tragiczne w swojej głębokiej wymowie.

„Rękopis znaleziony w Saragossie” to obraz, który daje się odczytywać w wielu wymiarach. Jedni dostrzegą w nim kostiumową komedię, fantastyczną baśń z duchami i księżniczkami. Nie trudno jednak także dostrzec, że przebija się w nim jeszcze jakiś głębszy sens. Dostajemy pewien obraz społeczeństwa XVIII wieku i poglądów wówczas się ścierających. Alfons van Warden, kapitan gwardii króla Hiszpanii, podróżujący przez góry Sierra Morena, spotyka mauretańskie księżniczki, które widzą w nim kogoś,

kim on się wcale nie czuje. Wkrótce trafia do zamku kabalisty i właśnie tu porządek mistyczny zetrze się z humanistycznym racjonalizmem. Wyboru dokonuje nie tylko bohater, lecz także i widz. Jerzy Has, ekranizujący tę powieść, dał szansę swojej wyobraźni, która jest niemniej swobodna niż wyobraźnia Potockiego. Stara się zwodzić widza, porzuca rozpoczęte wątki i podąża nowym tropem. Podobnie jak autor powieści – także i on korzysta z tak zwanej szkatułkowej formy narracji. Magnetyczny urok tego filmu do dziś nie stracił na wartości.

„Sanatorium pod Klepsydrą” dla twórcy filmowego, którego tworzyłem stała się literatura, było z pewnością kolejnym ważnym wyzwaniem, tym większym, że mało kto jest w stanie powiedzieć, że zrozumiał w pełni prozę Brunona Schulza. Refleksję na temat przemijania i nieuchronności śmierci ukazano z perspektywy człowieka, który odwiedza sanatorium, gdzie niegdyś przebywał jego zmarły ojciec. W sanatorium doktora Gotarda zmarły ojciec zostaje przeniesiony w inny wymiar, a Józef, jego syn, ponownie doświadcza tego, co już kiedyś przeżywał. Mamy tu dom rodzinny, małe żydowskie miasteczko, ojca z którym nie potrafił się porozumieć, marzenia, fantastyczny ogród księżniczki Bianki, która odrzuciła jego miłość i odeszła z przyjacielem Rudolfem.

Reżyser reanimuje zaginiony czas, próbuje tchnąć życie w umarłych, a zarazem pokazać zagładę miasteczek. Ci, którzy czytali prozę Schulza i widzieli film, dostrzegą podobieństwo obrazowa-

nia, atmosfery, ale i pojmowania czasu. To film elegia, który mieni się barwami, urzeka widowiskowością. Te dwa klasyczne filmy, którymi zachwycali się widzowie na całym świecie, stały się także inspiracją dla wielu znanych twórców. Hasa miał szczególnie dobrą rękę do adaptacji polskiej literatury. Oprócz wymienionych filmów zrealizował także znakomitą „Lalkę” według powieści Bolesława Prusa, „Pętlę” na podstawie opowiadania Marka Hłaski i „Jak być kochaną” według opowiadania Kazimierza Brandysa.

Warto także sięgnąć po dokumenty, które próbują uchwycić coś ze złożonej osobowości twórcy filmowego i zarysować jego artystyczne credo. W filmie „Ze snu sen”, zrealizowanym w formie poetyckiej impresji, widzimy starszego reżysera, który stoi przy oknie i patrzy na podwórze. Okazuje się, że motyw okna był często przez niego wykorzystywany. Przy oknie stał Gustaw Holoubek, odtwórca roli alkoholika Kuby w „Pętli”. Motyw ten mógł być odczytywany dwojako: raz okno było ekranem w ekranie, innym razem czymś, co daje szansę ucieczki. Jak mówi pisarz Piotr Wojciechowski, odgrywający rolę przewodnika po onirycznym świecie Hasa, przestrzenie wewnętrzne, w których przebywali bohaterowie tych filmów, najczęściej ich nie chroniły. Jan Nowicki mówi o Hasie jako o poecie przemijania, czasu i śmierci. Forma u Hasa nie była tylko prostym ozdobnikiem, niosła znacznie więcej znaczeń niż treść. Jako jeden z nielicznych reżyserów tak konsekwentnie pilnował formy we wszystkich swoich filmach.

W filmie „Ślady” jego studenci mówią o tym, jakim był nauczycielem i czego się od niego nauczyli. Na egzaminach zadawał zwykle jedno lub dwa pytania, pokazywał obrazy w albumach malarskich. Studenci nigdy nie mogli być pewni, czy zdali egzamin. Ćwiczenia fabularne, tak zwane „hasówki”, które wykonywali na polecenie Hasa znani już dziś reżyserowie, między innymi Lech Majewski, Janusz Kijowski, Juliusz Machulski, Borys Lankosz, Mariusz Grzegorzek, Małgorzata Szumowska, nauczyły tych twórców, jak ważne są odrębność i własny punkt widzenia. Z pewnością mógł ich nauczyć pewnej klasy myślenia, był gigantem wyobraźni, kimś takim, kto – jak mówili o nim – potrafił wycisnąć cytrynę bez dotykania jej.

*Sławomir Kwiecień*

# TELEWIZJA

---

## JUBILEUSZ

### I wystarczy...

Od kilkunastu dni trąbi się w naszej telewizji publicznej stojącej na granicy bankructwa o jubileuszu jej sześćdziesięciolecia. Może jestem złośliwy, a może mam szczególne poczucie humoru, bo w związku z tym przypomniał mi się okrutny rosyjski dowcip, taki, jakich wiele powstało za panowania Stalina. Rzecz dzieje się przed moskiewskim sądem. Sędzia pyta: Ile oskarżony ma lat? – Czterdzieści. Na to sędzia – I wystarczy. Tym razem wyrok nie będzie z pewnością tak surowy, a TVP SA przekroczy sześćdziesiątkę. Wspomniane tarapaty, dotyczące również TVN żyjącej wyłączenie z reklam, a także powtarzające się, nie tylko w Polsce, rozważania na temat przyszłości telewizji jako środka przekazu i instytucji skłaniają do formułowania uogólnionych refleksji.

Przez kilka ostatnich lat przedmiotem rozważania kulturoznawców (na przykład Umberto Eco) było spełnianie się proroctwa McLuhana o końcu „epoki Gutenberga”. Niektórzy z nich, między innymi Eco, zażarcie bronili zagrożo-

nych książek, których przymusową likwidację zapowiadał już dawno temu Ray Bradbury, i twierdzili, że na pewno nie zanikną. Osobiście mam co do tego pewne wątpliwości, bo drastyczny i systematyczny spadek nakładów świadczy o tym, że czas dominacji drukowanego słowa się kończy. Nie kończy się natomiast czas czytania, bo pojawienie się i błyskawiczne rozpowszechnienie iPadów dowodzi, że zamiana naszej kultury w kulturę czysto obrazkową na razie nam nie grozi. Od dawna zresztą zwracano uwagę, że dzięki internetowi, dzięki wszelkiego rodzaju komunikatorom, blogom i czatom ludzie zaczęli więcej nie tylko czytać, lecz także i pisać. Triumf słowa pisanego na ekranie nad mówionym? No, nie przesadzajmy. Dodajmy, że owo skrótowe i niechlujne tabletowe piarstwo pod względem jakości różni się zasadniczo od pisania na papierze.

Telewizja, która stała się czynnikiem sprawczym i wręcz synonimem epoki audiowizualnej, teraz, jak często się mówi, zaczyna przegrywać komputerem, z internetem, z nowymi sposobami zapisu i przekazu. Inna sprawa, że o ile od dawna telewizja zubaża życie towarzyskie, bo ludzie zamiast rozmawiać, gapią się razem w ekran, o tyle teraz z kolei siadają obok siebie i wodzą palcami po tabletach. Sam to już wielokrotnie widziałem. I wyobraziłem sobie nawet, że jacyś młodzi ludzie poznają się w internecie, umawiają na randkę w kawiarence (nie internetowej, bo ta już nie jest im potrzebna), siadają przy stoliku, zamawiają kawę, a po paru

słowach wyciągają tablety i kontynuują flirt za ich pośrednictwem.

Wspominałem o papierze jako o nośniku myśli. Papier... – właśnie. Papier przegrywa z ekranem. Nie telewizyjnym, ale komputerowym. I nie chodzi tu o zupełny zanik sztuki epistolarnej ani nawet o książki, bo ich rynek to wciąż dużo tytułów w małej liczbie egzemplarzy – i tak pewnie pozostanie – ale przede wszystkim o prasę.

Nakłady czasopism od lat systematycznie spadają, ale ostatnio mamy do czynienia wręcz z zapowiedzią katastrofy. Chodzi o „Newsweek”. Ten amerykański tygodnik o globalnym zasięgu, najważniejszy po magazynie „Time”, założony w roku 1933, miał w 2003 cztery miliony nakładu. Publikowano go w czterech wydaniach anglojęzycznych i dwunastu w innych językach. Miał ekspozyturę w kilkudziesięciu krajach i ogromną sieć korespondentów. Potem jednak było coraz gorzej. I teraz pojawił się komunikat, że od pierwszego stycznia 2013 „Newsweek” przestanie się ukazywać w wersji papierowej, którą zastąpi wersja elektroniczna. Poziom sprzedaży obniżył się do tego stopnia, że właścicielom nie opłaca się już go drukować. Ha. Kryzys prasy zapowiadany od dziesięcioleci stał się faktem. Na pociechę można dodać, że „Przegląd Powszechny” znalazł się w dobrym towarzystwie. A nie za bardzo licznych czytelników „Newsweeka”. Polska mogą uspokoić, że jest on wydawany na licencji przez niemiecki koncern Axela Springera, któremu ta publikacja pewnie się opłaca.

Prognozy kryzysu prasy wiązano poprzednio z telewizją. Jednak telewizja przez ponad siedemdziesiąt pięć lat nie pożarła czasopism. Ich pogromcą okazał się internet, a zastępowanie drukowanej wersji poszczególnych tytułów wersją elektroniczną to nie tylko przyznanie się do porażki, lecz także przejście do obozu przeciwnika. Skoro internet niszczy prasę, to nic dziwnego, że mówi się o zagrożeniu dla telewizji czy o zastąpieniu telewizora przez komputer. Możliwość nieograniczonego wyboru i indywidualnego komponowania programu, którą daje internet, sprawi, że telewizja oprowadzana przez wielkich nadawców (w tym publicznych) i oparta na kanałach ogólnotematycznych, do której przez sześćdziesiąt lat się przyzwyczailiśmy, kiedyś odejdzie w niebyt. Wiązanie aktualnej zapętlonej TVP SA z owymi globalnymi tendencjami to zwyczajne mydlenie oczu, czyli odwracanie kota ogonem, bo tutaj chodzi o praktyczne zlikwidowanie abonamentu wywołane przez premiera – abonamentu, który jest skutecznie ściągany w większości krajów europejskich i służy utrzymaniu mediów publicznych. Jak dotąd trzymających się dość krzepko.

Skoro o mediach publicznych mowa, to najwyższa pora wrócić do przywołanego jubileuszu Telewizji Polskiej. Wiąże się to z wielokrotnie omawianym zagadnieniem sensu istnienia telewizji publicznej. A przede wszystkim z pojęciem misji odnawianym przez wszystkie przypadki, którą ta telewizja powinna była pełnić przez sześćdziesiąt lat. Niestety, nikt dotąd dokładnie jasno nie określił tego, czym

jest owa misja i jak ma być realizowana. Teraz przepraszam, bo przypomniałem sobie, że przecież zrobiła to sama TVP, i to już w roku 2008 – opublikowała obszerny dokument, podzielony na paragrafy, wyglądający niemal jak konstytucja: „Zasady realizowania przez Telewizję Polską S.A. misji publicznej”. Z należnym szacunkiem wziąłem się do długiej lektury, ale już po przeczytaniu kilku pierwszych zdań wstępu natrafiłem na taki to cytat z uchwały Trybunału Konstytucyjnego odnoszący się właśnie do zasad działania telewizji publicznej: *Nakaz zachowania wewnętrznego pluralizmu w programach publicznej radiofonii i telewizji możliwy jest do zrealizowania tylko pod warunkiem zachowania ich wyraźnego dystansu od aktualnego dysponenta politycznego*. I pomyślawszy o zawłaszczaniu TVP przez kolejne koalicje rządzące, resztę dokumentu odczytywałem już jako ciąg pustych deklaracji. Oto kilka z nich: *TVP przedstawia ofertę programową adresowaną do wszystkich i do każdego. Tak! I dalej: TVP oferuje odbiorcom szeroką gamę różnych gatunków programowych w zakresie informacji, publicystyki, kultury, rozrywki, edukacji i sportu, dbając o harmonijny i komplementarny ich zestaw w poszczególnych programach. A co najważniejsze: TVP samodzielnie kształtuje program i ponosi odpowiedzialność za jego treść. Poza wypadkami określonymi przepisami prawa, żadna partia, organizacja, instytucja, grupa interesów politycznych lub gospodarczych ani pojedyncze osoby aktywne w tym zakresie, nie mogą*

*wpływać na decyzje redakcyjne o rozpowszechnieniu określonych treści. Kto wierzy, niech czyta. A sprawy bardziej szczegółowe? Tu trochę konkretów: Ważną pozycję w ofercie kulturalnej TVP zajmuje Teatr Telewizji. Telewizyjne spektakle teatralne zapewniają kontakt masowej widowni ze znaczącą literaturą dramaturgiczną, dokonaniem wybitnych twórców i artystów wykonawców. A ponadto: Pamiętając o tym, że duża część społeczeństwa ma utrudniony dostęp do kultury wysokiej, oferta kulturalna TVP obejmuje koncerty muzyki poważnej, operę, operetkę i balet oraz muzykę jazzową, nadając ich prezentacjom rangę wydarzeń programowych. Co więcej: TVP regularnie emituje magazyny artystyczne i kulturalne, w których relacjonuje najważniejsze wydarzenia kulturalne, promuje wyróżniających się artystów, analizuje nowe zjawiska w polskiej i światowej twórczości. To rzeczywiście widać na ekranie. Ale jednocześnie: Produkowane przez lub na zlecenie TVP filmy i seriale telewizyjne o tematyce współczesnej powinny, w ramach konwencji artystycznej właściwej dla danego gatunku, przedstawiać prawdziwy obraz społeczeństwa, nawiązywać do przemian obyczajowych, dotyczyć istotnych problemów i dylematów moralnych oraz, stroniąc od rażącego dydaktyzmu, ukazywać wartościowe postawy społeczne i wzory zachowań. Ile takich seriali wyprodukowano?*

Pora skończyć z cytowaniem tego zbioru głośloślnych zobowiązań i powiedzieć ludzkim językiem, że w ciągu

sześćdziesięciu lat misja telewizji publicznej polegająca na promowaniu kultury wyższej była, raz lepiej, raz gorzej, spełniana. Natomiast zobowiązania dotyczące niezależności, obiektywizmu informacji i starannego wyważenia proporcji oferty programowej okazały się nie tylko puste, lecz także wręcz fałszywe.

Czy wobec tego należy, z okazji tego jubileuszu, powiedzieć TVP SA: „I wystarczy”? Co się stanie, kiedy nie będzie Teatru Telewizji, kiedy zabraknie kanałów tematycznych, takich jak TVP Kultura czy TVP Historia? Ani Solorz, ani Walter ich nam nie stworzą. To samo dotyczy niektórych, niestety nielicznych, seriali produkcji TVP („Wojna i miłość”, „Czas honoru”).

Dlatego nie będę potępiał do końca tej naszej miotającej się dzisiaj w gorączce telewizji publicznej. Niech ci, którzy ją wpędzili w chorobę, znajdą dla niej lekarstwo. Niech przetrwa do następnego jubileuszu, a być może potem – razem z innymi europejskimi telewizjami publicznymi, obecnie całkiem zdrowymi – polegnie pokonana przez internet.

Jan Kłossowicz

## WYSTAWA

---

UCHWYCIĆ PIĘKNO  
SCHULZOWSKICH WIZJI

# Bruno Schulz: Rzeczywistość przesunięta

**Muzeum Literatury  
w Warszawie**

---

*Wystawa czynna do 31 grudnia  
2012 r.*

*W taki dzień podchodzi Mesjasz aż na brzeg horyzontu i patrzy stamtąd na ziemię. I gdy tak widzi białą, cichą, z jej błękitami i zamyśleniem, może się zdążyć, że mu się zgubi w oczach granica, niebieskawe pasma obłoków podłożą się przejściem i sam niewiedząc co czyni, zejdzie na ziemię. I ziemia nawet nie zauważyła w swej zadumie tego, który zszedł jej z drogi, a ludzie obudzą się z popołudniowej drzemki i nie będą nic pamiętali. Cała historia będzie jak wymazana i będzie jak z prawników, nim zaczęły się dzieje.*

(Bruno Schulz, „Genialna epoka”)



Ta wystawa robi wrażenie. Od początku, gdy zaczniemy poruszać się w labiryncie sal, w których wyeksponowano rysunki Schulza i innych malarzy międzywojnia, zauważymy, że jest głębszy zamysł w takim zestawieniu prac. Łukasz Kossowski, autor wystawy, dzięki osadzeniu twórczości Schulza w epoce umożliwił rozszerzenie interpretacji dzieł pisarza. A okoliczność jest szczególna, bo sto dwudziesta rocznica urodzin i siedemdziesiąta rocznica śmierci Schulza.

Termin „malarstwo przesuniętej rzeczywistości” ukuła Joanna Pollakówna, nieżyjącą już znakomita krytyczka sztuki. Pollakówna pisała o nurcie sztuki polskiego międzywojnia trudnym do zdefiniowania, sytuującym się gdzieś na pograniczu realizmu magicznego, groteski i ekspresjonizmu. W tym nurcie krytyczka odnajdywała twórczość takich artystów jak Bruno Schulz, Bronisław Linke, Rafał Malczewski, Jan Spychalski i całej grupy malarzy pochodzenia żydowskiego, jak Menkes i Adler. Kiedy przyjrzymy takie założenie, w pełni uprawnione stanie się szukanie inicjatorów i kontynuatorów tego nurtu.

Poszczególne części wystawy nazwano tak, jak części cykli opowiadań Schulza. W części „Wiosna” trafiamy na łąkę ukwieconą makami, w której znajdujemy nagich chłopców. To obraz Wojciecha Weissa „Maki”, a obok już szkice ilustracji Schulza do „Wiosny”: „Józef i Rudolf z kolegami”, „Dziewczyna z teczką”, „Bianka z ojcem w dorożce”, a na przeciwległej ścianie duży obraz Jana Gotarda „Bajka o Kopciuszku”. Jedną z kolejnych części

jest „Noc”, pełna namiętności, wyzwalająca skrajne emocje. Pojawia się „Procesja” z cyklu „Xiega Bałwochwalcza”, a na niej naga kobieta i marni, skarlali mężczyźni oddający jej hołd. Trafiamy na precyzyjnie dobrane cytaty wypisane na ścianach, tym razem z „Ulicy krokodyli”: *Ale w dniach upadku w godzinach niskiej pokusy zdarzyło się, że ten lub ów z mieszkańców miasta zabląkiwał się na wpół przypadkiem w tę wątpliwą dzielnicę. Najlepsi nie byli czasem wolni od pokusy dobrowolnej degradacji, zniewelowania granic i hierarchii, pławienia się w tym płytkim błocie wspólnoty, ławtej intymności, brudnego mieszczenia.*

Nie mogło tu zabraknąć słynnego „Spotkania”, jedyne zachowanego Schulzowskiego obrazu olejnego, który zestawiono z obrazem Bolesława Cybisa „Typy w Kazimierzu nad Wisłą”. U Schulza chasyd kłaniający się dwóm paniom, a u Cybisa piękna mieszcza Zuzanna i adorujący ją dwaj Żydzi.

Ważnym etapem w tej rzeczywistości przesuniętej jest „Traktat o manekinach”. Tu od razu rzuca nam się w oczy „Kryzys” Wojciecha Weissa z 1934 roku. Na dużym obrazie manekin z oderwaną głową porzucony w pracowni malarza jest metaforą sztuki odrzuconej. Z kolei na rysunku Schulza „U krawca” widzimy krawca kłęczącego przed rozebrana klientką, a obok, na stojaku, manekina. W tej wspólnej przestrzeni znajdują się także prace Bolesława Cybisa „Manekin w kapeluszu”, „Zabawa manekiniów” i Bronisława Linkego „Ścięta głowa”. Z kolei już po wojnie motyw maneki-

na powtórzyli Hasior (mamy tu też jego rzeźbę „Lekcja anatomii”), a także Kantor („Umarła klasa”). Podobnie jak u Kantora, tak i u Schulza mamy wyobrażenie materii zdegradowanej, w której zamyka się cierpienie.

Do kolejnego celu, „Sanatorium pod Klepsydrą”, trzeba dotrzeć pociągiem. Na rysunku Schulza widzimy, jak Józef przybywa w meloniku na stację. Czarne cielsko lokomotywy zjawia nam się na obrazie Rafała Malczewskiego „Wschód słońca”. Bronisław Wojciech Linke pokazuje imponujący, przerażający, ale i karykaturalny obraz „Człowiek Lokomotywa”. Znajdziemy tu także Jana Lebensteina i jego „Sweety Bar”.

To tylko kilka z dwustu wystawionych obiektów, które dotarły tu z muzeów spoza Warszawy i kolekcji prywatnych. Oczywiście zasadnicza część dzieł Schulza pochodzi z Muzeum Literatury w Warszawie, dysponującego największą kolekcją jego prac.

Integralną częścią wystawy jest Kino Drohobycz (uruchomione na tę okazję), które pokazuje filmy z epoki. Duński melodramat „Przepaść” z 1910 roku, a już szczególnie postać słynnej Asty Nielsen, mógł być inspiracją dla Schulza.

Wystawie towarzyszy także znakomicie opracowany katalog-album, w którym znalazły się eseje Jerzego Jarzębskiego, Jana Gondowicza i Ireny Kossowskiej. Wystawie tej z pewnością udało się uchwycić piękno Schulzowskich wizji i pokazać oryginalność jego języka. Osadzenie artysty w możliwie szerokim kontekście kulturowym pozwoliło popatrzeć

na niego jak na kogoś bliskiego, choć tajemniczego. Oby grono miłośników prozy i twórczości plastycznej Schulza powiększało się. Taką szansę daje, być może, specjalnie przygotowany program edukacyjny dla młodzieży.

*Sławomir Kwiecień*

# KSIĄŻKI

---

## POEZJA BÓLU I OCALENIA

**Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki**

### Imię i znamię

---

*Biuro Literackie, Wrocław 2011,  
ss. 56.*

Zmobilizowana tegoroczną nominacją „Imienia i znamienia” do nagrody Nike, a także własną pasją recenzencką do tego, by podejmować trudne wyzwania krytycznoliterackie nie od razu poddające się werbalizacji, z pewnym opóźnieniem omawiam ten zbiór wierszy. Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki (urodzony w 1962) nie jest jedynym polskim poetą, którego twórczość karmi się biografią. Właściwie każdy pisarz czerpie z zasobów własnego życia i historii go kształtującej. Istnieją wszakże spełnienia literackie, w których wyroki czy przywileje historii decydują o ostatecznej wymowie dzieła. W wierszach wyraża się to szczególnym upodobaniem do konkretnego tematu czy idei, które określają wyraziście tożsamość poety. Przypomnijmy tu mazurskie treny Erwina Kruka, zwłaszcza ze zbioru „Znikanie” (2005), epifanie Michała Jagiełły ze zbiorów „Goryczka, słodyczka, czas

opowieści” (2007) oraz „Sosna i pies. Poemat z zagrody” (2008), a także galicyjskie gawędy wierszem Janusza Szubera. Przypomnijmy wreszcie „12 stacji” Tomasa Różyckiego – arcydzieło sagi prowincjonalnej, rozpoczynające się w śląskim domu i rodzinie autora, a kończące się na mistycznych kresach rzeczywistości.

Wszyscy ci poeci prezentują postawy prorodzinne, opowiadają o najbliższych ojczyznach, wyznaczają ścisłe granice swoich światów, nie tylko geograficzne, lecz także mentalne, psychiczne i metafizyczne. Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki ma w tej grupie lokalnych patriotów miejsce osobne z racji ukraińsko-polskiej przeszłości własnej rodziny. W wierszach z poprzednich zbiorów uwagę krytyków i czytelników zwracały dramatyczna tonacja i monotematyczność utworów związanych z biografią poety. Już debiutanckie „Nenie” (1990) były lamentem po bliskich zmarłych, ale – jak napisałam o tym zbiorze: *charakter elegii mają nie tylko wiersze poświęcone zmarłym, (...) wszystkie fragmenty poetyckie robią wrażenie płaczu nad ludzkim życiem, które od zarania zmierza ku swemu przeznaczeniu w śmierci. To właśnie ta ostateczna perspektywa, aż chorobliwa fascynacja śmiercią, buduje świat tej poezji, który jest umarły już za życia* („PP” 10/2005).

Katastroficzny światopogląd poety jest z pewnością rezultatem jego tragicznych doświadczeń, życia w ciągłym lęku i trosce o najbliższych, co było udziałem jego dzieciństwa i młodości. Poeta od początku swej twórczości szuka

specjalnych formuł językowych i tematycznych dla wyrażenia dramatycznych treści własnej biografii, i znajduje je. Tak jak w poprzednich zbiorach spotykamy się tutaj z konstrukcją poematu rozkwitającego. Autor dawkuje informacje ze swego życia w pięćdziesięciu fragmentach numerowanych rzymskimi cyframi – powtarza po kilka razy te rzeczy, które są dla niego najistotniejsze, dawkuje jednocześnie emocje, które zmierzają do kulminacji, nie osiągają jednak pełni. Największe tajemnice poety muszą pozostać nieujawnione, to wszakże, czego się dowiadujemy, wystarcza, by stworzyć obraz jego życia pełnego niepokojów.

Wiele utworów ma tu budowę sonetu albo układ wersów zbliżony do tej formy wierszowej; niektóre są jeszcze krótsze, składają się zaledwie z dwóch lub trzech zwrotek. Ułatwia to czytelnikom obcowanie z gęstą materią poetycką pełną metaforycznych, niekiedy obscenicznych, zwrotów. Te komplikacje techniczne (zmieszczenie zamierzonej treści w określonym kształcie wersyfikacyjnym) poeta rozwiązuje po mistrzowsku. Rygor warsztatowy, który narzuca sobie autor nie tylko w tym zresztą zbiorze, budzi szacunek i zaciekawia także duchowym sztafażem przedstawianego świata. Poeta dozuje wieloznaczne prawdy i okoliczności swego życia, by w końcowym przypisie do kilku pierwszych fragmentów, zatytułowanych „Gniazdo”, wyjaśnić szczegółowiej wszystkie wzmianki i aluzje związane z bliskimi mu osobami, miejscami i sytuacjami życiowymi.

Dowiadujemy się, że dziadek poety po kądzieli, a także trzej jego bracia należeli do UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii), matka była unitką deportowaną z Lubaczowszczyzny (Ziemia Przemyska) wraz z całą rodziną na inne tereny. Spolonizowany ojciec – po przyjęciu chrześcijaństwa przez bliskich – ukrywał przed poetą przynależność rodziny do ukraińskiego podziemia aż do piętnastego roku życia chłopca. Można sobie wyobrazić, jakim szokiem okazała się dla młodego chłopaka wiedza o przeszłości bliskich i jak to wpłynęło na jego psychikę. Właśnie świadomość dziejowej traumy rodzinnej stała się źródłem artystycznej inicjacji i potencji, zapłodniła twórczo jego językową i mentalną wrażliwość. Poeta używa w wierszach pojedynczych słów chachłackiego (mieszaniny polskiego i ukraińskiego), który był jego pierwszym językiem. We fragmentcie XXVII, zatytułowanym „Pastwiska”, czytamy: *zawsze gubiłem bądź to na pidtuhu / bądź to na pastywnyku krówki i świnki / zwłaszcza husiata gdzie jesteście / moje gąski kto nas okrada // nie tylko z obłoków i nie tylko z imion (Jasiejo, / Jasiusio i Jasieczko) i dlaczego wszystko / kończy się na wierszu gdzie jesteście / moje natchnione wierszyki (zwłaszcza moje // husiata) chodziłem za wami po ulicach / Wawci ale dotąd was nie wypatrzyłem.*

Pojawiają się też inne fragmenty, w których poeta nazywa wprost rozmaite przypadłości życiowe swoich bliskich: *każda agresja mojej matki (w domu / w szpitalu) miała miejsce w języku / ukraińskim nie muszę po-*

wiać jak bardzo / bałem się reakcji lekarzy pielęgniarzy // którzy patrzyli na mnie wilkiem / każda agresja mego spolonizowanego / ojca to ten wściekły pies pomylony / z innym psem co w sumie daje dwa ogony // albo i więcej (XVIII). Agresja ojca, który po historycznych przejściach stał się polskim nacionalistą, i choroba matki, która wpadła w obłęd, nie mogły pozostać bez śladu w myśleniu, emocjach i wyobraźni poety. We wszystkich jego zbiorach wierszy powracają motywy zarówno ukraińskiej przeszłości rodziny, jak i szaleństwa matki. Wspomnienia dzieciństwa i młodości mają zwłaszcza w tym zbiorze podwójny wymiar: głębokiego cierpienia i upokorzenia połączonego z wewnętrznym buntem, ale też radości i uniesienia, spowodowanych tworzeniem: wróćmy jednak do starego Ilnickiego // który otoczył mnie uwagą nie zajmując się / naszym perekińczyństwem siekiernikami, chorobą / matki (między nami mówiąc najsłodsze / bziuczki otrzymałem wyłącznie od Jakimowiczówny) // ale co to były za czeresienki mój Boże / co to były za bziuczki tego nie da się / w wierszu opowiedzieć od lat bowiem widzę / nadaremność poezji kiedy usiłuję sobie // przypomnieć coś więcej aniżeli jabłuszka / i hniłki i coś więcej aniżeli imię / Jakimowiczówny: niechaj wasze imiona / nigdy nie przestaną nas kręcić (II).

Kreacja poetycka Tkaczyszyna-Dyckiego zmierza do stworzenia rodzinnej mitologii, obszaru zakreślonego jego artystycznym słowem, któremu chce nadać

wymiar wiecznej trwałości. Takie są ambicje większości poetów. Autor „Imienia i znamienia” powtarza co pewien czas wyznania w rodzaju: nie wiedziałem że jestem wnukiem rezuna, dodaje przy tym: od lat bowiem dostrzegam / nadaremność poezji kiedy usiłuję sobie / przypomnieć coś więcej aniżeli imię dziadka / i coś więcej aniżeli imię mojej matki // banderówki, które po raz pierwszy usłyszałem / w Krowicy Hołodowskiej od krzyczących / za nami kobiet: nigdy się nie pogodzę (po tym / co usłyszałem) z nieprzydatnością poezji (III). To polszczyzna i możliwość tworzenia poezji w języku polskim stały się dla tego poety terapią i ocaleniem. Traktuje on jako dar losu bycie poetą i umiejętność wypowiedzenia w wierszach własnej przeszłości i teraźniejszości: niechaj wasze / imiona (odkąd nie żyje Staś / Hryniawski) przejdą do poezji / wraz z imieniem mojej matki / z wszystkimi jej imionami // poczynając od chachłaczki (łącznie / z moim imieniem znamieniem / (...) dlatego nigdy przenigdy // nie pogodzę się z nieprzydatnością poezji / choćbym w niej upchnął / nie tylko jabłuszka i nie tylko hniłki / ale i najlepszego we wsi pastuszka (VII).

Tytułowe „Imię i znamień” w pełni zatem wyznacza i sankcjonuje nie tylko historię rodu poety, nazywa jego sąsiadów, opiekunów, nauczycieli i przyjaciół, lecz także stanowi odniesienie do jego bolesnej i jednocześnie chwalebnej duchowej biografii. Poeta mówi bowiem: dziś jednak nie umiem wielu rzeczy / uściślić (od tego mamy poezję / ażeby nie rozpa-

dłty się w proch dawne / imiona których  
już nikt oprócz mnie // nie wprowadzi do  
porannej modlitwy) (...) poezja bowiem  
domaga się (niczym modlitwa / za zmar-  
łych) wciąż nowych imion (XLIV). Twór-  
czość Tkaczyszyna-Dyckiego wyróżnio-  
na wieloma nagrodami (także nagrodą  
Nike, w roku 2009) zasługuje nie tylko na  
ważną lekturę, lecz także na szczegól-  
ną czułość czytelników ze względu na jej  
artystyczne i moralne walory znacznie  
przekraczające standardy sztuki słowa.

Adriana Szymańska

---

## SZTUKA ŻYCIA, ŻYCIE SZTUKĄ

Stanisław Różewicz

## Było, minęło...

---

„Iskry”, Warszawa 2012, ss. 222.

Książkę tę zostawioną w notatkach przez reżysera Stanisława Różewicza – brata Tadeusza Różewicza, o którym dużo w niej przeczytamy – odtworzył syn autora Paweł. Po jej lekturze zastanawiam się, czy tytuł nie powinien brzmieć: „Było, niestety minęło...”, w nawiązaniu do opinii wielu publicystów, uczonych, uczestników debat o stanie naszego dziedzictwa z lat sprzed przełomu 1989, wciąż dyskredytujących literaturę, sztukę filmową i w ogóle poziom kultury w PRL-u. Po roku 1990 zapanowała moda na odsądzanie od czci i wiary wszystkiego, co pojawiało się w peerelowskich wydawnictwach i kinematografii. Potem zaczęło się generalne przeświadczenie polityczne, lustrowanie. W słynnej „czarnej dziurze” PRL-u – jak to kiedyś nazwano w jednej z dyskusji na łamach „Tygodnika Powszechnego” – po- grążał się doceniany na świecie dorobek kulturalny Polaków, również tych nieiden- tyfikujących się z reżimem, a często mu się przeciwstawiających. Wciąż nie wyle- czyliśmy się do końca z tej mody. Dzisiaj – kiedy żaden polski film nie może docze- kać się od piętnastu lat z górą nie tylko

trofeów, lecz także już nawet nominacji do udziału w renomowanych konkursach festiwalowych na świecie – jeśli popatrzymy przez szkieleto porównawcze w tę „czarną dziurę”, możemy się zdziwić, ile nagród uzyskiwały wtedy polskie obrazy w Cannes, Wenecji, San Sebastian czy Berlinie. Były one doceniane przy tym przez krytyków i publiczność nie z pobudek politycznych czy poprzez handicap „ustrojowy”. Jeśli jeszcze o takie motywacje można by posądzać jurorów wyróżniających „Człowieka z marmuru” czy „Człowieka z żelaza” Wajdy, to na przykład „Ostatni dzień lata” Konwickiego nagrodzony w Cannes rozgrywał się co prawda w regionie gdańskim, ale na plaży, więc nie można mówić tu o pobudkach tej natury, a filmy Kieślowskiego w ogóle traktują politykę jako tło, jedno z wielu, swoich idei i fabuł.

Podobnie rzecz ma się z literaturą: ileż książek naszych wybitnych twórców doby przedprzełomowej było na pniu przekładanych za granicą i recenzowanych w zagranicznej prasie kulturalnej, a nawet codziennej? Dzisiaj w „The New York Times of Books”, „Le Nouvel Observateur” czy „Frankfurter Allgemeine Zeitung” trudno znaleźć nawet wzmiankę o naszych nowych utworach i autorach – chyba że będzie to wciąż Różewicz, tym razem Tadeusz, nadal Herbert, Szymborska, Mrozek, Herling-Grudziński, Kołakowski, Kapuściński czy Szczypiorski, zlustrowany do prawie niebytu komunikacyjnego.

Książka Stanisława Różewicza jest nie tylko kroniką życia szlachetnego, ar-

tystycznego, podporządkowanego przede wszystkim sztuce, lecz także niezwykłym, pouczającym świadectwem pokreślonych dziejów. Jest ona szczególnie sprawozdaniem z wyzwań i przebiegu pracy twórczej w warunkach dyktowanych przez PRL-owski reżim – w państwie uznawanym jednak za „najweselszy barak” w bloku komunistów. Jest ona również osobistym notatnikiem zapisanym na kolejnych „kartkach”, często jakby wyrwanych z większej całości. Jest to zarazem opis prywatnego i społecznego bytowania reżysera, jego pracy, poświęceń i ustępstw dyktowanych „większym dobrem” sztuki. Widzimy człowieka, który nie załamał się cenzurą, ograniczeniami i głupotą władzy, artystę podejmującego uporczywe starania o realizację swych wizji, który w ostatecznym rozrachunku odnosi gorzko okupiony sukces potwierdzany często zagranicznym powodzeniem swych dzieł. Zagraniczne wyjazdy Różewicza rozszerzają obraz polityki kulturalnej. Na przykład podczas jednego festiwalu w Moskwie dowiaduje się z pierwszej ręki – od pani Ataszewej, wdowy po Eisensteinie – o losach tego genialnego twórcy. Autor dotarł do niej, mimo że zniechęcali go do tego pośrednicy jego wojażu. W notatkach z 1962 roku czytamy o spektakularnym przykładzie sowieckiej *nienawiści* *złoba do geniusza* – a więc o *nagonce na reżysera po zniszczonych bezpowrotnie „Łąkach bieżuńskich”*. W czasie realizacji był *sekwany* przez *szefa kinematografii Szumiackiego*. Po tym filmie Eisenstein *został potępiony jako bezideowy forma-*

lista. (...) W 1936 roku już wszyscy potępiali reżysera. Kiedy Stalin, wcześniej podziwiający „Aleksandra Newskiego”, obejrzał „Spisek bojarów”, rozpoznał siebie w postaci „cara w morzu krwi”. Film natychmiast potępiono uchwałą KC, zakazano jego wyświetlania oraz wydawania pism Eisensteina jeszcze długo po wojnie. Z refleksji między innymi wdowy po Szukszynie dowiadujemy się, jaki los dotykał wybitnych twórców już w czasach sowieckiej odwilży po roku 1966: kiedy na przykład Chruszczow ostro skrytykował film Michaiła Romma „Dziewięć dni jednego roku”, podziwiany na świecie, w kraju koledzy i przyjaciele zaczęli zaraz omijać reżysera.

Sam Stanisław Różewicz miewał na Wschodzie zaskakujące przygody. Film „Westerplatte”, świetnie przyjęty w Polsce i wysoko oceniony – również przez obrońców tego historycznego miejsca – spotkał się z zastrzeżeniami wysokiej komisji ZSRR dopuszczającej filmy na festiwal w Moskwie. Komisja zastanawiała się, czy film można przyjąć... bo: *obrońcy tam kapitulują, a tego nie należy pokazywać. Co do samego filmu, dzięki książce poznajemy szczegóły towarzyszące kulisom jego powstawania, przywołane są barwne anegdoty, a także rzeczywiste losy jego bohaterów w trakcie wojny i po niej.*

„Kuchnia” wielu dzieł powstających ówczesnie mieściła się często poza studiem filmowym, decyzje artystyczne przenosiły się na sale posiedzeń komisji kwalifikacyjnych, zespołów filmowych i ich nadzorców tudzież „opiekunów”

z ministerstwa. Na spotkaniach często „modelowano” i negocjowano z autorem filmu wątki czy epizody akceptowalne przez obie strony. Często władzy nie chodziło przy tym o tak zwane imponderabilia czy zasady polityczne. Na przykład obraz Jana Józefa Szczepańskiego „Na melinie”, dopuszczony do produkcji, przepadł po ostrych atakach reżimowych autorytetów podczas kolaudacji: *Film jest antyhumanistyczny, w fałszywym świetle pokazuje oddziały partyzantkie...* Było to dzieło pokazujące mroczne strony wojny po naszej stronie, mówiące o „zarażeniu śmiercią”, problemie poruszonym często także przez Tadeusza, brata Stanisława, o etycznej niesubordynacji w partyzantce. Z innych względów już w latach 1979–1981 odrzucono scenariusz filmu „Ryś”, oparty na noweli Jarosława Iwaszkiewicza „Kościół w Skaryszewie”, którego bohaterem był ksiądz. Do realizacji tego filmu Różewicz długo się przygotowywał, odbywał sesje także z autorem utworu. *Szef kinematografii tłumaczył mi, że ten film jest niepotrzebny, dyrektor programowy: Zatwierdzając scenariusz możemy sobie wszyscy narobić biedy. O dobrym księdzu nie będziemy filmu robić, o złym też nie... Nie chcemy zadrażnień.* Film zrealizowano dopiero po śmierci Iwaszkiewicza i wyświetlano z powodzeniem, także za granicą, w czym pomogło sprzyjające mu otwarte stanowisko Kościoła, a głównie jednego z biskupów.

Wiele miejsca w tomie Stanisława Różewicza zajmują epizody współpracy przy scenariuszach (wcale nie sielanko-



wej, jakby można sądzić) z Tadeuszem, a także innymi pisarzami – dzięki czemu w zbliżeniach i często barwnych epizodach poznajemy sylwetki między innymi Kornela Filipowicza, Jana Józefa Szczepańskiego. To temat zasługujący sam w sobie na dłuższe rozwinięcie.

*Mieczysław Orski*

---

## AMATORKA RUPIECI I SŁOWA

**Anna Bikont, Joanna Szczęsna**

# **Pamiętkowe rupiecie. Biografia Wisławy Szymborskiej**

---

*Znak, Kraków 2012, ss. 576.*

O wielkiej skromnej poetce, która bała się bezdennych kałuż, uwielbiała krasnoludki i małpy – opowiadają w książce „Pamiętkowe rupiecie. Biografia Wisławy Szymborskiej” Anna Bikont oraz Joanna Szczęsna.

Nasuwa się pytanie, czy biografia Szymborskiej będzie wystarczająco dyskretna (poetka wolała rozdzielić biografię zewnętrzną od biografii wewnętrznej). Szymborska przez całe życie udzieliła zaledwie kilku wywiadów. I cóż w tym dziwnego, skoro wszystko, co miała o sobie do powiedzenia, zawarła w swoich wierszach? Ale również o ich powstawaniu Szymborska nie zwykła opowiadać. We wstępie jednego z tomików stwierdziła, że gdyby pisała o swojej poezji, czu-

łaby się jak owad, który z niepojętych przyczyn sam zapędma się do gablotki i nabija na szpilkę. Podczas wieczoru autorskiego w 2010 roku, transmitowanego przez radiową Trójkę, mówiła: *Zwierzenie się publiczne to jest jakieś gubienie swojej własnej duszy...*

A zatem i o życiu prywatnym, i o twórczości trudno było z poetką rozmawiać. A jednak Annie Bikont i Joannie Szczęsnej udało się stworzyć bogatą i obszerną biografię poetki. Z jednej strony w oparciu o dokładne studium „Lektur nadobowiązkowych” pisanych przez nią przez ponad trzydzieści lat – felietonów o książkach publikowanych między innymi na łamach „Życia Literackiego”. Z drugiej – dzięki wspomnieniom jej przyjaciół i współpracowników (na przykład Ewy Lipskiej, Czesława Miłosza, Teresy Walas, Jerzego Pilcha).

Pomimo nieocenionego dorobku i wkładu w polską i światową poezję wielu nie potrafi jej wybaczyć sympatyzowania z PRL-em. Swojego ślepego zapatrzenia w miniony system poetka się wstydiła. Ale twierdziła, że nie żałuje tego, co było, bo to nauczyło ją wstrzemięźliwości w stosunku do wszelkich ekstremizmów.

Szyborska miała świetne poczucie humoru. Lingwistyczne zabawy uprawiała między innymi z Kornelem Filipowiczem, z którym spotykała się ponad dwadzieścia lat (choć nie tworzyli formalnego związku, nie mieszkali nawet ze sobą). Układali limeryki od nazw miejscowości spotykanych w podróży. Jej mottem i bezustanną zachętą do przekraczania myślą oczywistości było zdanie z uko-

chanego Montaigne’a: *Patrzcie, ile ten kij ma końców! Uważała, że natchnienie, cokolwiek ono jest, rodzi się z bezustannego „nie wiem”.*

Lubiła się dziwić. W „W zatrząsieniu” (z tomiku „Chwila”, 2002) pisała: *Mogłabym być sobą – ale bez zdziwienia, / A to by oznaczało, / Że kimś całkiem innym.* Była mistrzynią metafor, rzadko pisała wprost. Dlatego po śmierci Kornela Filipowicza swoją rozpacz ujęła w poruszającym wierszu o osieroconym kocie. *Do wszystkich szaf się zajrzało. / Przez półki przebiegło. / Wcisnęło się pod dywan i sprawdziło. / Nawet złamało zakaz / i rozruciło papiery. / Co więcej jest do zrobienia. / Spać i czekać. // Niech no on tylko wróci, / niech no się pokaże. / Już on się dowie, / że tak z kotem nie można. / Będzie się szło w jego stronę / jakby się wcale nie chciało, / pomalutku, / na bardzo obrażonych łapach. // I żadnych skoków pisków na początek.*

Gwoli wyjaśnienia samego tytułu – „Pamiętkowe rupiecie”. Wiesława Szyborska przez całe życie coś zbierała. Od starych, często kiczowatych pocztówek (był to jedyny rodzaj zbieractwa, które można było uprawiać w ciasnym mieszkaniu, nazywanym przez nią „szufladą”), po różne tandetne bibeloty i kuriozalne gadzety, które przyjaciele przywozili lub przysyłali jej nawet z zagranicznych podróży.

Nie mam wrażenia niedosytu po lekturze książki Bikont i Szczęsnej. Nie mam pisarce za złe, że nie chciała dzielić się wspomnieniami o pierwszym pocałunku (choć o pierwszej miłości

jest mowa), o najgorszych kłótniach czy motywami prywatnych decyzji (takich jak rozwód z poetą Adamem Włodkiem, z którym przyjaźniła się do końca życia). Szymborska nie wybebesza się ze swoich wnętrzności i emocji. Bo i bez tego efektu „Big Brothera” w „Pamiętkowych rupieciach” dostajemy niezwykle bogaty i piękny opis życia. Dowiadujemy się, że jak się z kimś zaprzyjaźniała, to na całe życie. Że w dzieciństwie omijała kałuże, bo bała się, że nie mają dna i wpadnie do jakiejś na wieki. Uwielbiała za to krasnoludki, a potem także małpy, które nieraz pojawiały się w jej wierszach i słynnych kolażach wysyłanych przyjaciółom przy okazji różnych świąt. A zebranymi rupieciami lubiła obdarowywać znajomych, którzy musieli je wygrać w specjalnych loteryjkach.

„Pamiętkowe rupiecie” warto przeczytać choćby ze względu na poezję Szymborskiej – bo Bikont i Szczęsna zamieściły w książce naprawdę pokazany wybór wierszy noblistki – jak i ze względu na piękne fotografie, pocztówki ze zbiorów Szymborskiej oraz robionych przez nią kolaży.

*Anna Maziuk*

---

## KOLEKCJONER RZECZY NIETRWAŁYCH

**Walter Benjamin**

# Dziennik moskiewski

---

*tłum. Bogdan Baran, Aletheia,  
Warszawa 2012, ss. 220.*

Po książkę sięgnąłem nie dla autora, ale ze względu na temat, na miasto osadzone w mrocznym pejzażu porewolucyjnej Rosji. Walter Benjamin, filozof, eseista i krytyk kultury, pojawia się w Moskwie zimą 1926 roku. Nie wyjawia wtedy jednak czytelnikowi żadnej ze swych zawodowych twarzy. W „Dzienniku...” spotykamy Benjaminą podróżniczką i zbieraczką, a może ładniej będzie rzec: kolekcjonera rzeczy nietrwałych. W trakcie dwumiesięcznego pobytu w mroźnym mieście wiele czasu spędza w Muzeum Zabawek i w sklepach z zabawkami, nabywa rozmaite okazy: huśtającą się lalkę z masy papierowej na pozytywce, gliniane lalki, drewniane rycerzyki na koniach, żółte i czerwone wagoniki i łopatki. W Moskwie *robi się obrazki z samej tylko waty cukrowej*, a mróz inspirowuje wiejskie obrusy. Momentami Benjamin daje niezwykle plastyczny, poetycki wręcz obraz Moskwy. Idealizuje miasto, zachęca czytelnika do podróży na wschód. Tylko

z zakamarków, wyłomów niespiesznie prowadzonej opowieści wyziera groza. Niewiele czasu zajmuje Benjaminowi orientacja w rzeczywistości politycznej ZSRR. Stara się uważać z kim, jak i gdzie rozmawia. Ma świadomość, że lepiej dla niego będzie wybierać do dyskusji tematy neutralne światopoglądowo. Poznaje osobliwe wyrażenie „byli ludzie” oznaczające kręgi burżuazji wydziedziczonej przez rewolucję, które nie potrafiły zaadaptować się do nowych stosunków. Chyba nie przesadzę, gdy napiszę, że co drugi bohater tej książki został rozstrzelany przez władze.

Stosunek Benjamina do miasta jest w istocie ambiwalentny. Pozwala się Moskwie uwodzić, potrafi się Moskwą zachwycić, dać się jej fenomenowi porwać. Cierpliwie trwa wśród społecznych kontrastów przez kilka tygodni. A łatwego czasu sobie nie wyznaczył, nie dość że przybył do Moskwy opanowanej przez komunistów, to wybrał sobie nieszcześliwy miesiąc, grudzień, dlatego po mieście porusza się na przykład *małym nieogrzewanym tramwajem o pokrytych lodem szybach*, w temperaturze sięgającej minus trzydzieści stopni Celsjusza.

Widzi miasto, które *nigdzie nie wygląda jak miasto, lecz jak jego obrzeża*. Goła ziemia, kramy z desek, długie szeregi obładowanych wozów, bydło pędzone do rzeźni. Na tym tle moskiewski luksus, także obecny, osadził się w zubożałym, cierpiącym mieście jak kamień nazębny w schorzałych ustach. Nie chciałbym zanadto straszyć, byłby to bowiem fałszywy obraz zapisków Benja-

mina zawierających również elementy zabawne (choć może jest to wymuszony śmiech?). Oto niemiecki filozof na pytanie zadane obsłudze hotelu o pobudkę usłyszał odpowiedź filozoficzną: *jeśli o tym pomyślimy, to będziemy budzić. Jeśli zaś nie pomyślimy, to nie obudzimy. Właściwie to na ogół pamiętamy i wtedy właśnie budzimy. Ale na pewno czasem zapominamy, kiedy nie pomyślimy. Wtedy nie budzimy*. Inne dosyć zabawne wspomnienie towarzyszy zwiedzaniu klubu czerwonoarmistów. Na jednej z jego ścian widniała płaskorzeźba przedstawiająca mapę Europy: *jeśli pokręcić znajdującą się z boku korbką, w Rosji i w pozostałej części Europy zapalają się kolejno w chronologicznym porządku miejsca, w których przebywał Lenin. Urządzenie jednak nie działało, zapalało się naraz wiele miejsc*.

Bezpośrednim powodem wyjazdu Benjamina do Moskwy była jednak Asja Lacis, łotewska komunistka (zadurzenie jej osobą). Stajemy się świadkami intymnego opisu tej skomplikowanej relacji, w istocie trójkąta, bo w tym samym czasie Lacis spotyka się z dramaturgiem i krytykiem teatralnym, Bernardem Reichem. Wrażenie towarzyszące lekturze „Dziennika...” w tym wymiarze osobisto-uczuciowym jest takie, że chyba sporo dzieje się poza granicami codziennych zapisków. Nie otrzymujemy bezpośredniego komentarza, ale relację opracowaną i wygładzoną literacko. Poza tym ów romans był platoniczny. Z „Dziennika...” wyłania się obraz Lacis potrafiącej podporządkować sobie Benjamina, który jest

gotów spełnić każdą jej próżną zachciankę. Bezradność i uległość niemieckiego autora mocno irytuje. Na podobieństwo relacji z miastem – również stosunki z Asją Lacis mają charakter ambiwalentny. Poza „Dziennikiem moskiewskim”, w korespondencji prywatnej, potrafił nazwać ją *bolszewicką Łotewką z Rygi*, po czym od razu reflektował się i jakby przepraszało dodawał, że jest *jedną z najwspanialszych kobiet, jakie poznał*.

Dziennik Waltera Benjamina, wzbogacony ilustracjami z epoki, to skomplikowana relacja z miastem, kobietą i przechodniami napotykanymi w trzecim planie, z których mało kto gdzieś się spieszy, co tak różni Moskwę od zachodnich metropolii. Jest jeszcze coś, co czyni stolicę rosyjską wyjątkową i powoduje, powiada Benjamin, że nie sposób znużyć się jej obserwowaniem: *Moskwa jest praktycznie pozbawiona głosu dzwonów, który zwykle roznosi po dużych miastach tak nieodpartą melancholię*. Benjamin przyznaje, że powrócił z dwumiesięcznej wyprawy bogatszy wyłącznie o obrazy miasta, a to i tak duży zysk.

Jacek Uglik

---

WIZJONER FORD

Greg Grandin

## Fordlandia. Henry Ford i jego miasto-państwo w amazońskiej dżungli

---

*tłum. Jerzy Jan Górski,  
Świat Książki, Warszawa 2012,  
ss. 431.*

Wszelkie utopie mają to do siebie, że choć rozbudzają nadzieje na życie w powszechnej szczęśliwości, mówią o powrocie do utraconego raju, to w gruncie rzeczy są tylko pięknymi snami. Na szczęście, ponieważ są projekcjami wolnych myśli, rzadko dają się zrealizować w pełni. Przypadek Henry’ego Forda także zdaje się potwierdzać, że w pewnych dziedzinach, nawet z najlepszymi intencjami, można pójść o krok za daleko.

Książka Grega Grandina, publicysty i profesora historii z New York University, ma kilka zalet. Można ją czytać między innymi jako biografię Henry’ego Forda, człowieka, który miał wizję świata oraz ładu życia społecznego, a co więcej

swoje pomysły starał się wcielać w życie. Ponadto jest to barwna historia kapitalizmu pokazująca, na czym polegała gra różnych interesów, kto i dlaczego osiągał sukces. Lektura tej wielowątkowej opowieści pozwala zrozumieć skok cywilizacyjny związany z rozwojem różnych gałęzi przemysłu, w tym motoryzacyjnego. Grandin szczegółowo opisuje wcześniejsze działania wielkiego przemysłowca, odwołuje się do opinii ludzi, którzy znali Forda i współpracowali z nim, przywołuje liczne anegdoty. Żywy i obrazowy język tej opowieści sprawia, że czyta się ją niemal jak kryminał.

Wydawać by się mogło, że ktoś taki jak Henry Ford – budujący swoje imperium przemysłowe i przyczyniający się do skoku cywilizacyjnego, bo z pewnością rozwój motoryzacji przyczynił się do tego – musiał być do bólu pragmatyczny i racjonalny. I Ford taki też w dużej mierze był, ale chciał dokonać czegoś więcej. Tak zrodził się pomysł stworzenia Fordlandii.

Szybki rozwój przemysłu samochodowego pokazał, że w równym stopniu jest on uzależniony od kauczuku wulkanizacyjnego, jak i od ropy. O ile dostawy ropy Stany Zjednoczone miały pod kontrolą, o tyle dostawy kauczuku mogły być zagrożone. Monopol na całość dostaw tego surowca z Azji mieli Brytyjczycy. Dlatego Ford zaczął szukać innego źródła dostaw. W latach dwudziestych XX wieku nabył duży kawałek ziemi w brazylijskiej Amazonii z myślą o utworzeniu plantacji kauczukowca. Jego ludzie mieli odtworzyć w brazylijskiej dżungli Amerykę, która odchodziła, a której wizję Ford

wyniósł z czasów dzieciństwa i młodości spędzonych na farmie Dearborn. To była właśnie Fordlandia.

O ile jednak Ford wcześniej liczył się z radami ekspertów, o tyle tym razem je zignorował. Chciał zmierzyć się z dżunglą, ale ludzie, którym powierzył to zadanie, nie do końca zdawali sobie sprawę z siły przyrody. W naturze, na obszarze Brazylii, kauczukowce rosły w kępach oddalonych od siebie o kilka kilometrów, co chroniło je przed robakami i zarazą niszczącą liście. Tego czynnika nie wzięto pod uwagę przy tworzeniu Fordlandii, co szybko się zemściło. Ford w ciągu dwudziestu lat wydał dziesiątki milionów dolarów na założenie kolejnych plantacji kauczukowców (pierwszą zniszczyła zaraza).

Budowniczo wie zatrudnieni przez Ford Motor Company – oprócz Fordlandii, wybudowali jeszcze miasto Belterra oddalone o osiemdziesiąt km. Tam miały być dogodniejsze warunki dla upraw, co ostatecznie także się nie potwierdziło. Powstały osiedla z całą infrastrukturą niezbędną do życia i dobrego samopoczucia ludzi: domy wyposażone w bieżącą wodę, szpitale, kina, pola golfowe, asfaltowe drogi, po których jeździły, jakże by inaczej, samochody Forda. W pierwszych latach budowy miasto tonęło w odpadach i nieczystościach, było ogarnięte falą przemocy i rozpusty. Jednak z czasem w miejsce dzikiej i rabunkowej ekspansji gospodarczej i prymitywnej rozrywki zaczął pojawiać się ład. Wydawało się, że menadżerowie zapanowali nad ludzkim żywiołem

i zaczęli realizować wizję szefa. Pomóc miało wprowadzenie prohibicji. Życie w dżungli Amazonii miało przebiegać na wzór tego, jak żyli mieszkańcy Środkowego Zachodu Stanów Zjednoczonych. Fordowi wydawało się, że dobrze wie, czego ludzie potrzebują. Jeśli dla tych ze stanu Michigan ważne było bezpieczeństwo ekonomiczne związane z uczciwym wynagrodzeniem, warunki sanitarne i zdrowotne oraz profilaktyka, to myślał, że tak samo ważne będzie to i dla tych z interioru brazylijskiego. Tak jednak nie było, bo mentalność brazylijskich Indian to coś bardziej skomplikowanego, niż przypuszczano.

Dziś moglibyśmy powiedzieć, że cała Ameryka kibicowała Fordowi, był bardzo popularny i gdyby tylko chciał, mógłby zostać nawet prezydentem. Gazety donosiły o kolejnych etapach przedsięwzięcia, z rzadka tylko sygnalizowały opóźnienia. Idea przeschwiecenia amerykańskiego sposobu życia do dowolnego zakątka świata miała zwolenników. Już wcześniej entuzjastycznie odnoszono się do powstawania w Ameryce Południowej i Środkowej miast, których mieszkańcy pracowali w większości w jednym przedsiębiorstwie. Ale wiadomo było także, że część z tych miast zamierała. W Fordlandii miało być inaczej. Jej rytmu nie wyznaczałyby wyłącznie prawa popytu i podaży. Ford wyraźnie sprzeciwiał się zasadom rządzącym współczesnym społeczeństwem amerykańskim. *Niemalże wszystko, co działo się w amerykańskiej polityce wewnętrznej i amerykańskiej kulturze, frustrowało Henry'ego*

*Forda: wojny, działalność związków zawodowych, monopole energetyczne, Żydzi, nowoczesne tańce, krowie mleko, polityka prezydenta Roosevelta, palenie papierosów, picie alkoholu, coraz większy interwencjonizm państwa. Jednak niezależnie od wszystkiego główną przyczyną frustracji Henry'ego Forda były niedające się okiełznać siły przemysłowego kapitalizmu, siły, do których rozpetania sam się przyczynił, siły, które burzyły świat jego wyobrażeń, świat, który chciał teraz odbudować – pisze Greg Grandin.*

Ford uważał swoje różnorakie działania – wśród których Fordlandia była tylko jednym z wielu – za „przedsięwzięcia cywilizacyjne”. Wydaje się, że tylko tak można wytłumaczyć niektóre jego dziwne posunięcia. Bliskie były mu poglądy Waldo Emersona, który wierzył w postęp, niezależność, wysoko cenił pojawienie się pary jako energii ujarzmionej przez człowieka, a także kolei i fabryk jako sił odmładzających świat, dzięki którym człowiek mógłby docenić cuda przyrody.

Greg Grandin powołuje się także na krytyczne słowa publicysty Waltera Lippmanna, który w działaniach Forda dostrzegł elementy tendencji do „prymitywnego amerykańizmu”. Wiara w to, że skoro osiągnąłem sukces gospodarczy, to z powodzeniem będę mógł podejmować się wyzwaniom w nowych dziedzinach, jest powszechna. Ford wedle tej oceny miał uosabiać istotę amerykańizmu: „świat jest podobny do nas”.

*Sławomir Kwiecień*

---

POD PORANNĄ  
SZUBIENICZKĄ

**Sławomir Mrożek**

## **Dziennik, tom 2: 1970–1979**

---

*Wydawnictwo Literackie,  
Kraków 2012, ss. 856.*

Pierwszy tom „Dziennika” Sławomira Mrożka zastawił swego bohatera w niebezpiecznym miejscu. Umarła żona pisarza Mara, a żałoba otworzyła przed autorem „Tanga” nadmiar możliwości. Samobójstwo, zapicie się, osuwanie się w depresję, a może szaleńczy skok w nieznaną? Wszak zapiski z lat sześćdziesiątych wskazują, że rośnie apetyt na „doświadczenie amerykańskie”. Drugi tom „Dziennika” obejmujący lata 1970–1979 przynosi jedyną sensowną odpowiedź: wszystkiego po trochu.

Diariusz to niezwykle pojemny gatunek literacki. Czytelnik natknie się na prawdziwe arcydzieła, w których dogłębnie przemyślany zostanie czas i toczące się koło historii z pojedynczym człowiekiem jak osią. Natknie się na prace sfabrykowane – pisane nie do końca szczerze, poprawiane wielokrotnie i wystawione ze wsteczną datą. Jest wreszcie pośród nich dziennik będący świadomą kreacją

autorską, ukazujący swego bohatera jako ostoję cnót i przebiegłości intelektu. Na samym końcu znajdują się dzienniki w dosłownym tego słowa znaczeniu: notatki o różnej skali jakości literackiej, jakieś zapisy na kolanie, ćwiczenia stylu, z czasem, nieoczekiwanie, perła pośród sterty notat minionych dni. „Dziennik” Mrożka mieści się w tej ostatniej kategorii: pisany na trzeźwo i w pijackim amoku, boleśnie szczerzy w rejestrowaniu mijających dni i nastrojów. Ale też autor sumiennie deklarował – ten „Dziennik” nigdy nie był pisany z myślą o wydaniu. Zawsze był prywatny, własny, zaufany. Szczerość Mrożka odczuwa się boleśnie: wobec diariuszy przemyślanych i konsekwentnych – by wspomnieć jedynie Andrzeja Bobkowskiego, Witolda Gombrowicza czy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego – wypadła nader błado. Nie jest to dzieło literackie i tę świadomość należy mieć ciągle w czasie lektury. Nie należy oczekiwać dzieła mogącego konkurować z dziełami wymienionych pisarzy. Raz jeszcze: to bardzo szczerze zapiski. Po co więc pisać taki dziennik?

Mrożek własne zasiadanie nad kartkami diariusza nazywa poranną szubieniczką. Ton wisielczy będzie mocno ciążył nad tą częścią. Imre Kertész napisał kiedyś, że każda książka to odsunięte samobójstwo. „Dziennik” Mrożka to przejmujący zapis walki o życie. Autor wkleja się w gry damsko-męskie, mocuje się z własną niemocą artystyczną, a przede wszystkim pije i zazdrości. Nie czyta się tego lekko. Momentami przypomina to spis cierpień dnia powszechnego i kie-



dy chce się rzucić w kąt ten opasły tom, zaraz przychodzi refleksja: moje zapiski niewiele więcej są warte. Dominuje tu szczerłość i raz jeszcze szczerłość. I choć wydawać by się mogło, że lata siedemdziesiąte to czas niezwykle dla Mrożka – liczne podróże, życie ze stypendiów, „Emigranci”, obywatelstwo francuskie – niewiele znajdziemy tu uniesienia. Pod datą 28 sierpnia 1973 pisze: *Ach, Boże, daj mi, aby ta odrobina mojego rozumu, która nie należy do mojej epoki, mody, nawyków, edukacji, Polski i lektury dzisiejszej, nie szczyła, ale rozwinęła się choć trochę. Daj mi w niej żyć.* Dla badaczy twórczości Mrożka „Dziennik” stanowi z pewnością nie lada gratkę. Widać w tych tekstach zrywanie z fascynacją Gombrowiczem, wyraźną w okresie objętym pierwszym tomem diariusza. Nieoczekiwanie odkrywamy Mrożka, który braci po piórze znajduje na antypodach „gęby”. *Kafka jest mi bratem. Rilke jest mi bratem. Gombrowicz znienawidzonym i fascynującym dyrektorem szkoły (gimnazjum męskiego), którego tak nienawidziłem.* Równocześnie jest to Mrozek zafascynowany psychologią głębi, buddyzmem, sufizmem. Pisarz i emigrant, człowiek przeciwieństw składający się na oczach czytelnika w jedną całość – szczerłość.

Jaki jest pożytek z drugiego tomu Mrożka? Trudno to oceniać, wszak mamy do czynienia z dziełem niezamkniętym, ostatni tom z lat osiemdziesiątych wyjdzie dopiero w przyszłym roku. Przeczytam? Świeżo po lekturze aktualnego tomu jestem bardziej zniechęcony niż zachę-

cony. Choć pewnie za rok znów będę czekał na „Dziennik”, mruczając pod nosem to przesłanie z pierwszego tomu, które niezmiennie unosi się nad obecnym: stop mroźking, przestań mroźkować. I kiedy piszę w swoim kajecie własny dziennik, łudząco podobny do jęków niespełnienia i kryzysu, powtarzam sobie jak mantrę – stop mroźking.

Marcin Cielecki

---

## NIEKONWENCJONALNIE O WIERZE

**Sławomir Zatwardnicki**

# **Katolicki Pomocnik Towarzyski. Jak pojedynkować się z ateistą**

---

*Frona, Warszawa 2012, ss. 375.*

Podtytuł – „Jak pojedynkować się z ateistą” – to wyjaśnienie interesującego zamysłu tej książki. A zatem jest to pozycja, która ma dać katolikom argumenty w dyskusji z niewierzącymi i z krytykami Kościoła. W proponowanym zbiorze ujęto zagadnienia, które często występują zarówno w rozmowach towarzyskich, jak i w debatach publicznych. Z wyjątkiem homoseksualizmu i pedofilii wśród kleru – znalazły się tu niemal wszystkie istotne kwestie, o których mówi się w związku z wiarą, religią, chrześcijaństwem i Kościołem. Wypada pogratulować autorowi pomysłu i śmiałości w poruszaniu trudnych tematów. Trzeba również docenić

przygotowanie i wkład pracy. Wielką wartością są liczne odwołania do innych publikacji i bogata bibliografia. Książka napisana jest bez napuszenia, tak jak pisze się w Ameryce: obfituje w porównania przemawiające do wyobraźni oraz dykteryjki z udziałem autora i członków jego rodziny, dzięki czemu teoretyczne problemy sprowadzane są do prostych sytuacji, do których łatwo się odnieść przeciętnemu czytelnikowi. Na polskim gruncie, gdzie dominuje śmiertelna powaga i gdzie z pełnym namaszczeniem traktuje się problematykę religijną, jest to odważna próba nawiązania nowego dialogu z czytelnikiem.

Znaleźć tu można fragmenty zdecydowanie udane. Należy do nich na przykład rozdział rozważający – bardzo przecież trudną – tajemnicę Trójcy Świętej. Zawiera dużo informacji historycznych, przydatnych i interesujących cytatów z prac teologów i tekstów soborowych. W konkluzji autor przyznaje, że rozum nie jest w stanie poradzić sobie z koncepcją Trójcy, a jedynym wytłumaczeniem jej istnienia mogą być Objawienie i własne doświadczenie Boga. Bezsilność rozumu nie przekreśla jednak wiary, ale – paradoksalnie – może ją wzmacniać i uzasadniać. Wartościowy jest też rozdział o New Age. Można się dowiedzieć, na czym polega istota i atrakcyjność tej ideologii: *jest to zachęta do otwartości, do czerpania z wielu źródeł, (...) nieważne, w co się wierzy, jeśli tylko jest z tym człowiekowi dobrze*. Autor jasno też pokazuje, że twierdzenie, że każdy może mieć swoją wiarę i jest to jego prywatną sprawą, tylko

z pozoru świadczy o tolerancji; w gruncie rzeczy prowadzi to do rezygnacji z dążenia do poznania prawdy.

Słabiej wypada środkowa część książki pod tytułem „Kościół”, zawierająca dyskusje o ewolucjonizmie, inkwizycji, in vitro, aborcji, eutanazji. Autor zbyt łatwo rozprawia się tu z argumentami strony przeciwnej i – nie stroniąc od uproszczeń – nie pozwala ateistom posługiwać się argumentami ważnymi dla nich. Na przykład w rozdziale poświęconym eutanazji stwierdza, że życzenie śmierci *z logicznego punktu widzenia nie może być prawomocne, ponieważ nie można żądać czegoś, czego treści się nie zna. A przecież nie można pojąć swojej totalnej nieobecności.* W związku z tym zapytać należy, co autor ma na myśli, kiedy mówi o „prawomocnym życzeniu”, i co w takim razie zrobić z samobójstwem? Przecież skoro samobójstwa zdarzają się, to znaczy, że życzenie śmierci (choć może nieprawomocne) przytrafia się człowiekowi, mimo że nie może on pojąć swojej totalnej nieobecności. Mam kolejną wątpliwość co do wartości argumentacji, gdy autor pisze o in vitro. Przytacza bowiem treść kościelnego tekstu o prawie do godnego poczęcia, a pomija milczeniem argument podnoszony przez zwolenników tej metody, że ten, kto jeszcze nie został poczęty, nie może mieć takiego prawa, a ten, kto już jest poczęty, nie może zmienić sposobu, w który został poczęty. Czasem zastrzeżenia dotyczą stylu. I tak zbyt bezceremonialne wydają się dywagacje, co by się stało, gdyby Maryja skorzystała z prawa wyboru: donosić cią-

żę czy dokonać aborcji. Zaś w rozdziale dotyczącym homoseksualizmu razi fragment, że *podobnie jak nie wolno boczyć się na partnera seksualnego, bo proponował seks przy świecach, gdy samemu preferuje się szybkie numerki w toalecie, nie należy słyszeć w Dobrej Nowinie skierowanej do osób heteroseksualnych złej nowiny dla osób homoseksualnych.* To dobrze, że o sprawach wiary pisze się w sposób przystępny, nawet kolokwialny, ale czy naprawdę Dobra Nowina musi sąsiadować z numerkami w toalecie?

Na korzyść tej książki i jej autora przemawia fakt, że nawet jeśli nie zawsze podaje on argumenty przekonujące dla ateistów, nawet jeśli tu i ówdzie trochę się zagalopuje, to pomaga wierzącym w rozwijaniu zainteresowań tym, w co wierzą, oraz uczy, jak lepiej i pełniej wyjaśnić mają swoje stanowisko. Ponieważ sukcesem w podobnych dyskusjach jest nie tyle przedstawienie dowodów nie do odparcia, ile obalenie niesprawiedliwych stereotypów i spokojne pokazanie błędów w rozumowaniu, należy uznać, że mimo zgłoszonych zastrzeżeń ta próba niekonwencjonalnego dotarcia do czytelnika warta była ryzyka.

Małgorzata Felicka

**Lilianna Kiejzik**

# **Kobiety w filozofii. Filozofowie o kobietach. Eseje subiektywne**

---

*Oficyna Wydawnicza  
Uniwersytetu Zielonogórskiego,  
Zielona Góra 2012, ss. 211.*

Określenie roli kobiety w intelektualnej historii ludzkości to zadanie trudne, a nawet nieco ryzykowne, choć w dzisiejszym świecie – świecie względnego równouprawnienia – nie trzeba bać się o tym dyskutować. I faktycznie robi się to na polach psychologii, interdyscyplinarnych *gender studies* i właśnie filozofii. Jedną z takich prób podjęła autorka „Esejów subiektywnych” i ujawniła kolejną dziedzinę swych zainteresowań (znamy ją głównie z prac dotyczących filozofii rosyjskiej). Lilianna Kiejzik analizuje historię filozofii, w której punktem odniesienia jest kobieta. Píše o tym, co filozofia

o kobietach mówi, co im zawdzięcza oraz jak funkcjonuje bez nich i z nimi. Mamy tu ponad czterdzieści esejów o kobietach filozofkach i o wizerunkach kobiet narysowanych przez znanych filozofów na przestrzeni dziejów, od starożytności po współczesność. Możemy przeczytać pod tym kątem o poglądach Platona, Arystotelesa, Cycerona, świętego Augustyna, Rousseau, Kanta, Milla, Marksa i Hegla. Autorka kreśli także sylwetki sławnych kobiet: Hypatii z Aleksandrii, Hildegardy z Bingen, Jenny von Westphalen, Lou Andreas Salomé, Edyty Stein, Simone Weil, Simone de Beauvoir i Julii Kristewej. Książka jest owocem wspólnej pracy ze studentami Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Pierwszym ważnym przystankiem w refleksji autorki jest starożytność. Historia cywilizacji europejskiej zaczyna się oczywiście w Grecji – i tu także zaczyna się zniewolenie kobiet. Kultura starożytnej Grecji jest godna podziwu i szacunku, ale starożytność niejedno miała imię, bo oprócz wspaniałego rozkwitu ducha ludzkiego równocześnie miało miejsce mniej wspaniałe zdeptanie ducha istot uważanych za nie ludzi albo pół ludzi, czyli kobiet i niewolników. Starożytność to czas rozkwitu różnorodnych nauk, ale to także czas niezrozumiałego zacofania – niewolnictwa i dyskryminacji kobiet. W opiewanej demokracji ateńskiej (która była w gruncie rzeczy fikcją, skoro rządziły elity, drobna część społeczeństwa, posiadająca obywatelstwo) kobieta nie miała żadnych praw, należała do mężczyzny, a bez niego nie istniała. Mia-

ła tylko jedno zadanie – rodzenie i wychowanie dzieci; gdy była do tego niezdolna, stawała się całkowicie bezużyteczna.

Błędne i krzywdzące poglądy na kwestię kobiecą paradoksalnie „zawdzięczamy” największym tamtych czasów filozofom: między innymi Platonowi, Arystotelesowi i Demokrytowi. Największym antyfeministą był chyba Arystoteles, który uważał kobietę za nieplodnego mężczyznę. Nie brak oczywiście bardziej pozytywnego akcentu, wiemy, że Pitagoras miał kilka uczennic, znamy także najslawniejszą poetkę starożytności Saffonę, która założyła szkołę dla dziewcząt, wiemy o Hypatii z Aleksandrii, wieszczce Pytii i mądrej Diotymie z „Uczty” Platona. To najważniejsze kobiety greckiej starożytności.

Wraz z nastaniem nowego paradygmatu chrześcijańskiego niewiele się zmieniło. Kobieta jest „workiem z odchodami”, dziełem szatana, tylko pustynia może przed nią ochronić. Cnotą staje się teraz nie rodzenie dzieci, a dziewictwo (święty Augustyn). Średniowiecze z kolei kojarzy nam się głównie z Hildegardą z Bingen, wizjonerką z klasztoru benedyktynek, oraz Heloizą, sprawczynią cierpień Piotra Abelarda. Czasy humanizmu to między innymi Erazm z Rotterdamu i utożsamienie kobiety z Głupotą, bohaterką satyrycznego utworu „Pochwała głupoty”. Stara kobieta była ucieleśnieniem brzydoty, czegoś wstrętnego, samej śmierci. Wydaje się, że źródło takich poglądów bierze się z niezdrowego podejścia do cielesności i traktowania kobiety przedmiotowo („coś głupszego”, „coś innego, co bezprawnie

kusi”). Los kobiet poprawia się w czasach nowożytnych, kiedy większa ich liczba kształci się na uniwersytetach, a wielcy filozofowie tego czasu – Kartezjusz, Leibniz, encyklopedyści francuscy – wchodzą z nimi w interakcje, inspirują się nimi, a nawet wspólnie filozofują. Tak na przykład Kartezjusz zadedykował „Zasady filozofii” księżniczce Elżbiecie, królowa Zofia Charlotta stała się inspiracją dla „Teodycei” Leibniza, a Rousseau uznano za teoretyka kobiecości.

Wiek XIX to początki walki o emancypację kobiet. Autorka przedstawia poglądy wybranych przedstawicielek feminizmu, ale traktuje ten temat skrótowo, ponieważ feminizm to raczej ruch społeczny, a nie filozofia *sensu stricto*. Wiek ten cechuje także wielka różnorodność poglądów i nurtów filozoficznych: omówiono na przykład teorie Kierkegaarda, Marksa, Dostojewskiego, Freuda i innych, którzy ściśle związali swoje poglądy filozoficzne z kwestią kobiecą. Na podstawie zebranego materiału można pokusić się o stwierdzenie, że kobiety były i pozostają „twórczyniami męskiej sprawy”. Jest to opinia, rzecz jasna, subiektywna, ale autorka ma do tego prawo, nie bez powodu przecież użyła tego określenia w tytule.

Nie musimy przyjmować punktu widzenia autorki „Esejów subiektywnych”, być może nawet nie powinniśmy, ale jest to dobry wstęp do własnych przemyśleń.

Justyna Kroczak

---

## NIEZWYKŁY CZŁOWIEK, NIEZWYKŁY NAUKOWIEC

**Dorota Kielak,  
Józef Kulisz SJ (red.)**

# **Pamięć i wdzięczność ks. prof. Ryszardowi Rumiankowi. Wiara i kultura sercem teologii**

---

*Rhetos, Warszawa 2012, ss. 151.*

Ta książka to wyraz pamięci i wdzięczności wobec księdza profesora Ryszarda Rumianka, rektora UKSW, który zginął tragicznie 10 kwietnia 2010 roku w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. Pierwsza część książki zawiera świadectwa przyjaciół, znajomych i współpracowników profesora. Drugą poświęcono jego pracy naukowej jako biblisty i teologa. W trzeciej znajdują się wybrane teksty Rumianka napisane w ciągu trzydziestu lat działalności naukowej. Całość daje wgląd w bogatą spuściznę naukową i pokazuje, jakim był człowiekiem, czemu po-

święcił życie jako kapłan, biblista, rektor uczelni i co starał się przekazać zarówno swoim życiem, jak i tekstami.

Ze świadectw z pierwszej części książki wyłania się bogata osobowość księdza Rumianka. Był to człowiek pracowity, lojalny, szczery, otwarty, skromny, ujmujący serdecznością. W jego osobie kapłaństwo i funkcja rektora *zespalały się w sposób, który pozwalał nie tylko na ich wzajemne dopełnianie się, ale także tworzył przestrzeń ujawniania się w pełni jego człowieczeństwa*. Obowiązki rektorskie pełnił w duchu służby na rzecz całej społeczności akademickiej. Ryszard Rumianek był także harcerzem, świetnym organizatorem, zapalonym przewodnikiem po Ziemi Świętej, a nade wszystko prawdziwym przyjacielem.

Druga część książki to próba podsumowania dokonań naukowych księdza profesora. Z pierwszego artykułu poznajemy jego drogę akademicką, pasję i zainteresowania, które koncentrowały się przede wszystkim na Księdze Ezechiela i na tym, by ukazać aktualność jej przesłania. Świadczą o tym między innymi jego prace: doktorska, habilitacyjna i profesorska, w których podejmował zagadnienia tej księgi.

Drugi artykuł mówi, jak ksiądz Rumianek rozumiał i realizował w pracy naukowej naukę II Soboru Watykańskiego na temat Pisma Świętego jako serca teologii. W swoich badaniach Rumianek najpierw skupiał się na poszukiwaniu dosłownego sensu danego tekstu biblijnego, następnie interpretował Biblię w oparciu o metodę historyczno-krytyczną, przy

czym interpretacja ta zawsze dokonywała się w perspektywie wiary i miała pozo-  
stawać w jej służbie. Zdaniem profesora  
interpretacja powinna mieć zatem na  
uwadze żywą *Tradycję całego Kościoła*  
oraz *analogię wiary*. Wymaga to łączenia  
egzegezy naukowej z egzegezą duchow-  
wą. Dla Rumianka ważne były – z jednej  
strony – poszukiwanie prawdziwej treści  
Objawienia, z drugiej zaś – odkrywanie  
i wskazywanie jego aktualności w per-  
spektywie wiary całego Kościoła. Książ-  
dz profesor widział Kościół jako wspólno-  
tę, do której słowo Boże jest skierowane  
i którą ono buduje.

Trzeci artykuł pokazuje, na czym  
polegała specyfika refleksji teologicznej  
Rumianka jako biblisty. Książdz profes-  
sor prowadził swoje badania wewnątrz  
wiary chrześcijańskiej, dzięki czemu  
potrafił wydobyć ze Starego Testamentu  
zapowiedzi dotyczące istotnych prawd  
nowotestamentowych jak na przykład  
przyjście Mesjasza.

Ostatni artykuł dowodzi, że celem po-  
wołania Rumianka jako biblisty było przy-  
bliżanie i wyjaśnianie prawdy objawienia  
ludowi bożemu i ludziom współczesnym.  
Cel ten książdz profesor osiągał jako egze-  
geta, komentator i homileta. Jako egzege-  
ta analizował teksty biblijne pod kątem  
filologicznym, przy czym analiza ta miała  
zawsze prowadzić do ważnych spostrze-  
żeń teologicznych. Dlatego Rumianek  
korzystał z metody historyczno-egzy-  
stencjalnej po to, by pokazać aktualność  
słowa Bożego. Tego typu egzegeza *uobec-  
nia (...) historię zbawienia, aktualizuje  
ją dla współczesnych czytelników i czy-*

ni z nich uczestników zbawienia. Jako  
komentator Pisma Świętego Rumianek  
stosował metodę kontekstualną; jako  
homileta przybliżał swoim słuchaczom  
słowo Boże.

Całość tej niezwyklej książki stanowi  
poruszające świadectwo o człowieczeń-  
stwie profesora, rozwijanym w kapłań-  
stwie, nauce i obowiązkach rektorskich.  
Jest to też wyraz wdzięczności za to, kim  
był i co pozostawił po sobie. Dla ludzi zna-  
jących go osobiście będzie zawsze przy-  
jacielem i osobą, która *była na wskroś  
przeniknięta słowem Bożym i nim żyła*.  
Dla innych natomiast pozostanie jego bo-  
gata spuścizna naukowa i pamięć o nim  
przechowywana przez jego przyjaciół,  
znajomych, podwładnych, studentów  
oraz słuchaczy jego konferencji i homilii.

*Dariusz Gardocki SJ*

# TABLE OF CONTENTS

|    |                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                      |
|----|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| 7  | <b>Krzysztof Ołdakowski SJ</b><br><b>Just Think <i>Przegląd Powszechny</i></b>                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                       |
| 15 | <b>Magdalena Bajer, Halina Bortnowska, Dorota Kielak,<br/>Jan Kieniewicz, Jerzy Olędzki, Mieczysław Orski,<br/>Barbara Sułek-Kowalska</b><br><b>Word of Farewell for „PP”</b><br><b>A survey</b><br>At the end of 2012 „Przegląd Powszechny” will cease to be published in print. It will be available on the web site deon.pl. We asked our friends to participate in our survey on the importance of our magazine. |
| 25 | <b>Dea. Bogdan Sadowski</b><br><b><i>Once God spoken; twice I have heard this</i></b><br><b>(Ps 62,12)</b>                                                                                                                                                                                                                                                                                                           |
| 31 | <b>Maria Ciostek</b><br><b>About Romantic Love</b><br><b>The novel “Valerie” by Julianne de Krüdener and the poem<br/>“Dziady”(“Forefathers’ Eve”) by Adam Mickiewicz</b><br>Although the novel by de Krüdener is referred to in the “Dziady”, for all these years nobody has focused on the links between that novel and one of most important Polish dramas.                                                       |
| 51 | <b>You Asked for It, You Got It</b><br><b>Klaudia Iwanicka interviews Andrzej Seweryn</b><br>I thank God that he has thrown me into the remand. I am glad. In such place you feel you meet your weakness                                                                                                                                                                                                             |



**Jerzy Klechta**  
**Kill the President**

59

First Polish President, Gabriel Narutowicz was shot and killed ninety years ago. Some praised the perpetrator, others mourned the President and struggled to defend the democracy. That split came to be a national plague.

---

**The Singer Has Whole Her Life for Learning**

75

**Agnieszka Lewandowska-Kąkol**  
**interviews Teresa Żylis-Gara**

The opera theater has survived various different periods, thus the current one is going to pass as well – not so long ago the conductors led the field, now the directors do. We just have to wait it out, unfortunately the singers rarely are in the foreground.

---

**State of Impossibility**

89

**Marcin J. Witan interviews Marcin Bornus-Szczyciński**

The Gregorian chant is out of question so far, the resistance of the lay people used to religious songs would be too strong. We do not know how to make use of our heritage. Yet I do not lose my heart.

---

**Simple Ideas**

101

**Sławomir Kwiecień interviews Jan Gondowicz**

I was used to read since I was four. We had at home an incredible mixture of books in various languages, great encyclopedias by Brockhaus, Meyer, Gutenberg and Soviet one, the complete works by Brehma, entire shelves about military, ancient wars and the last one.

---

**Agnieszka Lewandowska-Kąkol**  
**A Pianist**  
**Reportage**

110

## Safe Sex

A record of a debate from the series "Debates at the Invitation" with Andrzej Komorowski, Jerzy Grzybowski, Magdalena Lipniacka, Małgorzata Maśiorska, Mira Jankowska. Hosted by Ewa Kiedio.

Does the catholic have right to just enjoy the sex or does he/she have to have constantly in mind the sphere of symbolic protection? Is an unsafe sex between spouses possible?

---

Wojciech Chmielewski

## Ash Wednesday

A short story

---

## Reviews



## **POŚLANIEC SERCA JEZUSOWEGO**

**Grudzień 2012**

W adwentowy nastrój oczekiwania wprowadzają nas teksty B. Całały „Przyjdź, Panie”, św. Karola Boromeusza „Adwent” oraz J. Poznańskiego SJ „Wcielenie i sens życia”. Do rodzinnych spotkań i kolędowania zachęca J. Kołacz SJ w artykule „Kolęda dla zagubionych”. Ciekawe świadectwo – „W dawnej wsi na Rzeszowszczyźnie...” – przedstawia J. Ożóg SJ, który wspomina przeżywanie Świąt w dzieciństwie.

Sylwetkę patrona miesiąca – w grudniu jest to św. Barbara – prezentuje S. Groń SJ, a na wycieczkę do Stoczka Klasztorowego zaprasza J. Gać.

Ponadto w numerze wiele innych artykułów oraz rozważania Ewangelii na kolejne niedziele miesiąca.

Cena 1 egz. w sprzedaży wynosi 5.00 zł. W prenumeracie indywidualnej cena 1 egz. wynosi 4.50, w prenumeracie zbiorowej (min. 3 egz.) 4.20 zł.  
www.poslaniec.co, e-mail: redakcja@poslaniec.co

## **ŻYCIE DUCHOWE**

**Zima 73/2013**

### **Godność w cierpieniu**

Jak zaznacza we wstępie S. Morgalla SJ, „problem cierpienia, stary niczym świat, nie znalazł do tej pory satysfakcjonującego rozwiązania. Albo inaczej – rozwiązanie zadowalające jednych, zdaniem innych pozostawia wiele do życzenia lub wprost jest nie do przyjęcia”. O tym, jak przekraczać ów impas i jak godnie cierpieć, piszą w numerze między innymi: ks. M. Rosik, J. Bremer SJ, S. Biel SJ, P. Czapla oraz ks. J. Makselon.

W dziale „Duchowość Ćwiczeń” publikujemy artykuł J. Poznańskiego SJ o ignacjańskiej kontemplacji, a w dziale „Modlitwa i życie” rekolekcyjną refleksję J. Augustyna SJ o codziennym powierzeniu się Bogu i hojności na modlitwie. W dziale „Z historii duchowości” zachęcamy do lektury fragmentów „Drabiny do raju” św. Jana Klimaka oraz artykułu L. Nieściora OMI o „Ośmiu namiętnościach w nauce Ewagriusza z Pontu”.

W numerze ponadto wywiady, świadectwa, felietony w dziale „Słowo, obraz, czyn” oraz recenzje książek.

W prezencie do numeru dołączamy płytę J. Augustyna SJ „Ból krzywdy, radość przebaczenia”.

Cena 1 egz. w sprzedaży wynosi 16.80 zł, w prenumeracie 13.70 zł.

Koszt prenumeraty rocznej 54.80 zł, półrocznej 27.40 zł.

www.zycie-duchowe.pl, e-mail: Zycie.Duchowe@wydawnictwowam.pl

„Pośłańca Serca Jezusowego” oraz „Życie Duchowe”

można zamówić w Wydawnictwie WAM, ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków,

tel. 12 629 32 60, 12 62 93 446-447, faks 12 62 93 261,

e-mail: zamowienia@wydawnictwowam.pl

PRZEGŁĄD POWSZECHNY  
WARSZAWA  
**ROK 129**  
**cena 13 zł (5% VAT)**



**Zapraszamy na**  
  
**deon.pl**  
**i**  
**przegladpowszechny.pl**



ISSN 0209-1127



9 770209 112122

12